SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

41 (671) 2025
6–12 października 2025
CENA: 12,90 zł
(w tym 8% VAT)

BUSINESS INSIDER > LIFESTYLE > NIGDY NIE CHCIAŁAM BYĆ MATKĄ. DZIŚ MAM 47 LAT, JESTEM BEZDZIETNA I SZCZĘŚLIWA

Nigdy nie chciałam być matką. Dziś mam 47 lat, jestem bezdzietna i szczęśliwa

Pismo. × premium

Niedzietni z wyboru

TYLKO U NAS

CZY NIEMCY CHCĄ, ŻEBY POLSKA WYMARŁA?

WELT × premium

Mam 40 lat i żałuję bycia matką. Nigdy więcej bym na to nie poszła

ZDRADA

Kacper ma 36 lat i zdradza żonę regularnie. Ale uważa, że jest uczciwy

KRYZYS WIEKU ŚREDNIEGO

Mają 40 lat i decydują się na rozwód. Odzyskałam życie

Z robotem, z najlepszym przyjacielem męża, na ołtarzu. Jest kilka powodów, dla których snujemy fantazje

W MEDIACH KONCERNU RINGIER AXEL SPRINGER POLSKA RODZINA JEST KOSZMAREM, ZDRADA I ROZWÓD SĄ WOLNOŚCIĄ, A BEZDZIETNOŚĆ POWODEM DO DUMY

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
41
9 772544 269502
Numer w sprzedaży do 13 X 2025 r.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Kongres Przyszłości Narodowej

15–16 października 2025

ZATOKA SPORTU POLITECHNIKI ŁÓDZKIEJ
– ALEJE POLITECHNIKI 10, ŁÓDŹ

Strefa Nowych Technologii

Gry i warsztaty dla dzieci i młodzieży

Rekonstrukcje historyczne

Panele dyskusyjne

Wystawy

Gale wręczenia nagród

Wydawnictwa IPN

Zeskanuj i zarejestruj się teraz!

Patronat Honorowy:

RP Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Karola Nawrockiego

Organizator:

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
Oddział w Łodzi

eprasa.pl 405bf1fd3a

Czarne chmury

Ważny polityk Prawa i Sprawiedliwości powiedział mi niedawno: w perspektywie 10–15 lat w żadnej z istotnych sfer naszego państwowego bytu nie mamy powodów do optymizmu. Sytuacja demograficzna jest katastrofalna, dzietność wciąż spada, Polaków ubywa w tempie już kilkuset tysięcy rocznie. Postawy młodzieży dają nam pewność, że będzie jeszcze gorzej, dzieci nie będzie przybywało. Nie lepiej jest w energetyce, stanowiącej podstawę naszego życia gospodarczego. Węgiel, bez którego nie przejdziemy suchą stopą przez najbliższe dekady, został obłożony karnymi podatkami w wysokości niemożliwej do przyjęcia. Z kolei energetyka odnawialna w naszych warunkach raczej destabilizuje system, niż stanowi wyjście z pułapki. A atom leży i kwiczy. Nie wiemy nawet, kto w rządzie odpowiada za budowę atomówek po tym, gdy rozpędzone już projekty gabinetu PiS trafiły w najlepszym wypadku do szuflady.

W sferze finansów – tragedia. Rząd bezwstydnie przekreśla własne szacunki i zapowiada, że w 2029 r. zadłużenie państwa przekroczy 75 proc. PKB. Dla porównania – w końcówce rządów PiS nie przekraczało 50 proc. mimo pandemii, wojny, wydatków socjalnych i rozpoczętych zbrojeń. Wygląda to na celowe działanie, które ma zmusić nasze państwo do oddania resztek suwerenności Brukseli i przyjęcia euro, co żadnemu państwu spoza unijnego centrum nie wyszło na dobre. Ale mimo to, jak otwarcie wzywa już Marek Belka, mamy brnąć w tym kierunku. Tu oczywiście nie chodzi o gospodarkę, ale o realizację celów politycznych i ideologicznych, zewnętrznych wobec sprawy polskiej. Jeśli dodamy do tego otwarcie szkodzącą polskim interesom politykę rządu Donalda Tuska oraz destabilizację otoczenia międzynarodowego (wojna z udziałem Polski jest co najmniej wyobrażalna, a może nawet namacalna), obraz jest naprawdę ponury. Jeśli najdalej za dwa lata nie dojdzie w Polsce do zmiany zasadniczej, przetrwanie naszego państwa stanie pod znakiem zapytania.

Zwycięstwo Karola Nawrockiego dało nam powody do optymizmu. W wyborach o wszystko obóz niepodległościowy wygrał mimo bardzo nierównego wyścigu. Ale mijają kolejne miesiące i jest już jasne, że nic nie zostało ostatecznie rozstrzygnięte. Prawo i Sprawiedliwość zachowuje swój elektorat, jednak kluczem do władzy w przyszłym Sejmie pozostaje Konfederacja. A to wielki znak zapytania. Posłowie związani ze Sławomirem Mentzenem mówią po cichu, że to on będzie premierem, nieważne, w jakiej konfiguracji. Jeśli Donalda Tuska zastąpi Radosław Sikorski, ten scenariusz stanie się jeszcze bardziej realny. Dogadają się „jak konserwatysta z konserwatystą". Już dziś widać prawdziwą, pełną złych emocji zjadliwość lidera Konfederacji wobec Jarosława Kaczyńskiego, a nie dla obecnego premiera.

W Konfederacji są oczywiście politycy bardziej skłonni do poważnego traktowania naszego państwa, rozumiejący, że nie da się zapewnić mu dobrej przyszłości za pomocą prostych, często już sfalsyfikowanych „libertariańskich" sloganów, ale nie wiadomo, ilu posłów wprowadzą do przyszłego Sejmu i co będą mieli do powiedzenia.

Jest też niemal pewne, że obóz rządzący znów spróbuje manewru z jakąś nową „trzecią drogą", która spróbuje zebrać głosy niezadowolonych. Zapewne temu służy szybkie wygaszanie projektu Hołowni i osłabianie PSL. Celem jest przygotowanie przestrzeni pod coś nowego. W imię zasady, że wiele musi się zmienić, by wszystko pozostało po staremu.

Stąpamy po kruchym lodzie. Wszystko rozstrzygnie się o kilka punktów procentowych. Jeśli PiS zmaksymalizuje swój wynik i zbliży się do 40 proc., co jest przecież możliwe, Polska może zostać ocalona. Nawet jeśli nie da to połowy posłów, będzie szansa na dobry rząd. Na taki, który nie tylko ogarnie sprawy polskie, lecz także spróbuje wywołać w naszej ojczyźnie niezbędną zmianę cywilizacyjną, kulturową. Zmianę, która zatrzyma nasze wymieranie. Innej nadziei nie widać.

Jacek Karnowski

Reklama | 22/0925/F

eprasa.pl 405bf1fd3a

SIECI spis treści

30 Kozetka Rafała
Konrad Kołodziejski

35 „Wyborcza", czyli katastrofa
Piotr Gursztyn

47 Potwór o dwóch ogonach
Jan Rokita

NA POCZĄTEK

5 **PIĘKNO CZY POSTĘP**
Bronisław Wildstein

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **WEJŚCIE SMOKA**
Dorota Łosiewicz

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **ZIELONY OBŁĘD – JAK TUSK SPRZEDAJE POLSKĘ BRUKSELSKIM MARZYCIELOM**
Daniel Obajtek

13 **KULISY MIGRACJI**
Marta Kaczyńska-Zielińska

14 **WALIZKA MAGDALENY OGÓREK**
Michał Korsun

16 **ZŁODZIEJSKIE CZASY**
Jan Pietrzak

16 **„UŚMIECHNIĘTA" ETYKA**
Samuel Pereira

17 **KLIMAT KLIMATEM, ALE PRZECIEŻ NIE KOSZTEM MERCEDESA**
Arkadiusz Mularczyk

18 **GALIMATIAS CODZIENNY**
Ryszard Makowski

TEMAT TYGODNIA

20 **CHCĄ, ŻEBY POLSKA WYMARŁA?**
Łukasz Wróblewski

KRAJ

24 **NUMER HOŁOWNI**
Stanisław Janecki

28 **AFERA NA CMENTARZU**
Piotr Filipczyk

30 **KOZETKA RAFAŁA**
Konrad Kołodziejski

32 **WOJNA ŚWIATOWA O WOLNOŚĆ SŁOWA**
Dariusz Matuszak

35 **„WYBORCZA", CZYLI KATASTROFA**
Piotr Gursztyn

38 **CZYJA NARRACJA W MUZEUM GETTA WARSZAWSKIEGO?**
Maciej Walaszczyk

41 **JAK BAJECZNE ŻURAWIE**
Artur Ceyrowski

ŚWIAT

44 **KTO WYGRA TĘ WOJNĘ?**
Marek Budzisz

47 **POTWÓR O DWÓCH OGONACH**
Jan Rokita

50 **ZA WALKĘ PRZECIWKO ROSJI CHCĄ MNIE WYRZUCIĆ Z AFD**
Z Timem Schrammem rozmawia Goran Andrijanić

OPINIE

52 **JAKA POLSKA ARMIA?**
Mariusz Błaszczak

HISTORIA

55 **NIE ŻYJE OSTATNI Z BRACI BIELSKICH. KACI POLAKÓW Z PUSZCZY NALIBOCKIEJ NA ZACHODZIE POZOSTAJĄ BOHATERAMI**
Stanisław Płużański

58 **KOBIETY W CENTRUM UWAGI**
Z Clare Mulley rozmawia Jolanta Rzegocka

SIECI KULTURY

61 **SIŁA WIĘZI**
Jolanta Gajda-Zadworna

64 **HITY I KITY**
Piotr Zaremba

66 **NA SZCZĘŚCIE TRUMP CHCE, BY PUTIN WYSZEDŁ Z WOJNY Z TWARZĄ**
Robert Tekieli

PODRÓŻE

68 **MOJE SZLAKI: FRYDERYK CHOPIN**
Jolanta Gajda-Zadworna

KUCHNIA

69 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

70 **FASZYZM, NAZIZM, BANDERYZM**
Wojciech Reszczyński

71 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

72 **POLACY STAMTĄD**
Aleksander Nalaskowski

73 **FILIPIŃSKI NIEDOSYT**
Ryszard Czarnecki

74 **ZAPARKUJ SWÓJ UMYSŁ**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

eprasa.pl 405bf1fd3a

BRONISŁAW WILDSTEIN

Piękno czy postęp

W Aix-en-Provence, mieście rodzinnym Paula Cezanne'a, trwa właśnie jego wielka wystawa. Słucham w „Dwójce" poświęconego jej reportażyku. „Ten rewolucyjny twórca wyprzedzał epokę... był prekursorem niemal wszystkich znaczących kierunków dwudziestowiecznego malarstwa... trudno bez niego wyobrazić sobie kubistów i w ogóle Picassa... nowoczesna sztuka rozpoczyna się właśnie od niego" itd., itp. Słowa o obrazach Cezanne'a.

Czy ich istnienie sprowadza się do tego, że „inicjowały" i „wyprzedzały"? Czy kategoria postępu w sztuce ma w ogóle sens?

Powtarzany do znudzenia wyimek z listu twórcy do Emila Bernarda: „Traktować naturę jako walec, kulę, stożek" to nie manifest artystyczny, jakimi karmił nas wiek XX, ale dowód zmagania się z tajemnicą natury. To jeden z efektów poszukiwania jej elementarnej struktury, ale nie żaden dogmat, jakimi zaśmiecali historię sztuki prawodawcy awangardy. Obrazy Cezanne'a to ponawiane cały czas wysiłki ujęcia tego, jak rzeczywistość mówi do nas poprzez swój wizualny kształt. Pomysł, aby sprowadzić ją do podstawowych, geometrycznych molekuł to tylko jedna, chociaż znacząca metoda jej zgłębiania.

Twórczość Cezanne'a to ponawiane z różnych perspektyw tropienie obrazowego języka świata. Modelem tego podejścia jest dążenie do uchwycenia fenomenu góry Sainte Victoire, której artysta poświęcił blisko 30 obrazów oraz akwarel, tworzonych nieustannie od 1877 r. aż do śmierci w 1906 r. Górę tę malował 15 października tamtego roku i pomimo burzy nie przerwał aż do utraty przytomności. Choroba, której nabawił się wtedy, uśmierciła go osiem dni później.

Pomimo zróżnicowania malarstwo Cezanne'a wykazuje zasadniczą tożsamość. Widzimy ją w traktowaniu barwy jako wyrazu głębi rzeczy, co nie pozwoliło mu – pomimo przyjaźni i czasowego zaangażowania się w środowisko impresjonistów – artystycznie się z nimi zidentyfikować. Odległa była mu fascynacja zmienną grą światła, która pierwotnie zdominowała tę szkołę, chociaż solidaryzował się z jej antyakademizmem. To impresjoniści zawrócili Cezanne'a z powrotem do natury, chociaż zawsze pozostał zapatrzony w wielką klasykę europejską: XVI-wiecznych Wenecjan, XVII-wiecznych Hiszpanów czy Eugeniusza Delacroix. Jego malarstwo to ciągły, świadomy wysiłek łączenia bezpośredniego doznania z doświadczeniem kultury, co wyraził w paradoksalnym sformułowaniu: „Robić Poussina z natury".

Mówienie o sztuce nie jest łatwe i z pewnością jest to jedna z przyczyn, dla których zamiast o obrazach słyszymy ciągle o rewolucyjnej formie, która wyprzedzała... i twórcy jako prekursorze... Można tak bez końca: Cezanne był postimpresjonistą i inicjował fowizm, kubizm, a nawet ekspresjonizm, które... itd.

Fakt, że analiza sztuki jest trudna i że łatwiej zastąpić ją opowieścią o jej historii, to rzecz banalna. Ważniejsze jest, że rozwój sztuki od wyzwolicielskiego aktu impresjonistów doprowadził do zakwestionowania wszelkich obiektywnych kryteriów, które pozwalały ją rozpoznawać. Ewolucja ta owocowała również wybitnymi dziełami, ale ogólnie prowadziła do zatracenia swoistości sztuki. Artysta miał stać się demiurgiem, który gestem kreacji powołuje do życia własne miary, a zatem sztuką jest każdy jego wytwór.

To podejście radykalnie obce jest Cezanne'owi, który wiedział, że prawdziwa niezależność łączy się z pokorą wobec natury i kulturowego dziedzictwa.

Tajemnica zgłębianej przez niego rzeczywistości, objawia się w przekraczającym nas i niedefiniowalnym pięknie. Najbardziej adekwatne opisy „Błękitnego wazonu" nie zastąpią zachwytu, który potrafi on wyzwolić. Powinniśmy zbliżać się do tego fenomenu również werbalnie, ale ze świadomością, że nie da się przełożyć go na dostępny nam język. Sztuka, malarstwo odwołują się właśnie do tego doświadczenia. Inaczej po co gapilibyśmy się na kawałki zamalowanego płótna i adorowali niektóre z nich? Po to, aby stwierdzić, że wyrastają z czegoś i do czegoś prowadzą?

Sztuka wyemancypowana z obiektywnych kryteriów, kwestionująca ideę piękna, traci sens. Staje się gadaniną autora, który w tej mierze akurat nie ma za dużo do powiedzenia – inaczej zająłby się literaturą czy filozofią. Zwykle więc polega na powtarzaniu na różne sposoby i ilustrowaniu dominujących dziś ideologicznych frazesów. „Wyzwoleni" artyści zostają podporządkowani kuratorom, którzy z ich dzieł tworzą arbitralne całości, naturalnie w duchu obowiązującej poprawności. „Wolni" twórcy obsługują ideologiczny kierat.

Zakwestionowanie piękna uderza nie tylko w sztukę. To odrzucenie podstawowej intuicji, która pozwala nam rozumieć i aprobować świat. Pozbawieni jej, a wraz z nią idei prawdy i dobra, pozostajemy zagubieni i wydani rządzącym, których samowoli nie ograniczają już żadne obiektywne normy. Świat, któremu odebrano miarę piękna, stacza się w kierunku kiczu i szpetoty. Coraz trudniej nam to zrozumieć, co nie znaczy, że nie odczuwamy tego boleśnie.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 405bf1fd3a

Sygnalista nadaje

Koniec pisowskiej drożyzny! Lokomotywy staniały! – ogłosił nam radosną wieść premier ***Donald Franciszek Tusk***. I co wy na to? Niestety premier ma ciężki los. Niewierny naród nie dorósł do demokracji i nie docenia jego starań. Ponad połowa obywateli Ten Kraju – 53,3 proc. – negatywnie ocenia działalność premiera. I nie ma kary na tych populistów. Prawdziwych demokratów walczących jest tylko 39,7 proc. (i tak jesteśmy zaskoczeni, że jest nas tak dużo).

Przy okazji cała ta biomasa została zapytana, kto powinien zastąpić na stanowisku premiera naszego charyzmatycznego przywódcę Donalda Franciszka. Większość wskazała, że następnym szefem rządu powinien zostać ***Radek „Brutus" Sikorski*** (ciekawe, czy teraz nie poślizgnie się na jakiejś skórce od banana). Jak nie Radek, to ewentualnie Rafał Trzaskowski mógłby być premierem. To twardy facet, przegrał już niejedną kampanię, więc i tutaj da radę wszystko spieprzyć. Dalej następcą – według ludożerki niedoceniającej pracy obecnego premiera – mógłby być Szymek Hołownia. On jednak szuka roboty za granicą. Zbieranie szparagów albo coś w tym stylu. Są też wskazania na Władka Kosiniaka-Kamysza. I dopiero na końcu ludzie wytypowali tak popularnych polityków jak Włodek Czarzasty i Krzychu Gawkowski. Ten ostatni był nawet niedawno całkiem aktywny, ale i tak nikt poza jego własną żoną nie wie, kto to jest. I potem się dziwicie, dlaczego Krzysiek tak bardzo chce zamknąć te wszystkie internety?

Jeśli chodzi o Radka i jego plany, to ciekawe rzeczy opowiadał znany celebryta kulinarny Adam Bielan (to ten, który prowadzi pokątną działalność gastronomiczną na osiedlu Biały Kamień w Warszawie). Otóż master chef Bielan powiedział, że Radek bryknął za Wielką Wodę z prośbą do jankesów, aby ci pozwolili mu być premierem Ten Kraju. Podobno Wielki Brat byłby nawet skłonny odobrazić się na Radka i mu pozwolić. Bo prawdą jest, że Radek to kompletny wariat, ale cały świat jest pełen takich. Problemem jednak jest stara Radka, czyli Anka. A ona jest absolutną furiatką. Z tego powodu cały plan Radka ma małe szanse. Dobrze, że to podatnicy płacą za te wyjazdy, bo inaczej zmarnowałoby mu się tyle pieniędzy.

Za to ten znerwicowany przydupas Radka ***Paweł Wroński*** (ten z twarzy oraz obyczajów podobny do Czerepacha z „Rancza") wybiera się na ambasadora do Bułgarii. Trzeba tu zadać pytanie: co tak złego wydarzyło się w stosunkach polsko-bułgarskich, że Warszawa zdecydowała się na ten wrogi krok wobec tego przyjaznego nam narodu? Co złego zrobili nam Bułgarzy, żeby karać ich Wrońskim?

A to już prawdziwa sensacja: ***Szymek Hołownia*** wysłał do ONZ podanie o pracę, CV, wyniki badań lekarskich i komplet zdjęć. ONZ jest za granicą i tam Szymek chce pracować. Interesuje go fucha komisarza do spraw inżynierów, lekarzy i innych biednych ludzi szukających swojego miejsca na świecie. Fajna robota. Będzie

eprasa.pl 405bf1fd3a

trochę wyjazdów w teren, ale poza wygłaszaniem słów pełnych troski i robieniem sobie zdjęć z osobami pigmentoidalnymi nie będzie tam czegoś bardziej męczącego. Nawet ten Nawrocki okazał się być tu uczynny, bo powiedział, że poprze Szymona w staraniach o tę robotę. Podejrzane, prawda? Może obaj coś knują na tę sytuację, gdy po następnych wyborach Donald i jego ekipa będą uchodźcami politycznymi?

W związku z decyzją Szymka czeka nas bój gigantów o atrakcyjny spadek, jakim jest ceniona i lubiana (choć w bardzo wąskim kręgu swych wielbicieli) partia „Polska 20 łamane na 50". Wybierzcie swojego wojownika: Kaśkę Pełczyńską-Nałęcz, Paulinę Hennig-Kloskę i czarnego ogiera tego boju, czyli Ryśka Petru. Każde z nich to unikalny styl walki, oryginalna osobowość i niepowtarzalne ruchy. Czas wkroczyć do akcji i zostać bohaterem. Zwycięzca będzie tylko jeden!

Campus żyje, Campus walczy. ***Rafał*** znów w świetnej formie. Tak jak w czasie kampanii prezydenckiej, gdy nie miał z kim przegrać. I gdy było pewne, że Nawrocki nie wejdzie nawet do drugiej tury. Nurtuje nas jednak ważne pytanie: dlaczego uczestnicy Campusu muszą się tak głupio ubierać? Od tylu lat w te same bluzy z kapturem. Jedyna osoba, która się z tego wyłamała i dzięki temu wizerunkowo wygrała to Staszek Lubnauer. Zawsze świetnie wyglądający w rozmiarze XXXL.

Posłuchaliśmy Rafała na Campusie. I innych mędrców również, np. Sławka Sierakowskiego. To są głowy! Wytłumaczyły nam, kto wygrał ostatnie wybory prezydenckie. To nie ten Nawrocki wygrał. To wygrał jakiś Algorytm i jakiś Trend. Znacie ich? My nie, ale tak w ogóle to czekamy na tę wielką chwilę, gdy mec. Giertych i dr Kontek wreszcie przeliczą głosy i udowodnią całemu światu, że wygrał jednak Rafał.

Przykra sprawa, nie lekceważymy jej. Stasiek, syn Rafała Trzaskowskiego, wypisał się z edukacji zdrowotnej. Mieliśmy kłopot, ale byliśmy przygotowani na to narracyjnie. Przekaz dnia był następujący: biedny Stasio od najmłodszych lat marzył o zajęciach z edukacji zdrowotnej. Niestety padł ofiarą atmosfery pogromowej wytwarzanej przez watykańskich okupantów terroryzujących laickie społeczeństwo Ten Kraju. Na szczęście nastąpił zwrot. Presja ma sens. Rafał poinformował społeczeństwo i swój wąski, ale bardzo elitarny elektorat, że Stasio wróci na edukację zdrowotną. Zebrała się bowiem grupa bohaterskich uczniów z różnych klas i można dla nich stworzyć grupę łączoną, międzyoddziałową. Dodajmy, że komplety z edukacji zdrowotnej będą tajne, tak aby nie narazić się na represje z strony watykańskiego okupanta.

Informacje ze świata kabaretów: grupa impresaryjna Sroka, Trela, Zembaczyński i Partnerzy zaprosiła na występy znanego stand-upera Zbyszka „Zizu" Ziobrę. Bardzo udany występ artysty, który przybył do nas z Brukseli. Jedyne zastrzeżenia, jakie mamy, są takie, że „Zizu" niepotrzebnie gadał o Sławku Nowaku i Romku Giertychu. To są przykre sprawy i nie ma co ich wywlekać publicznie. Ale poza tym brawa dla Magdy Sroki. Nominacja do nagrody Ig Nobla już zapewniona, a szanse na jej zdobycie – przeogromne. Oczywiście za całokształt działalności.

Nasz ulubiony minister Waldek Żurek udzielił wywiadu dla jednego z portali. Tytuł: „Chcę pojednać Polaków". Popłakaliśmy się ze wzruszenia. Tak jak wtedy, gdy płakaliśmy nad konstytucją. A może jeszcze bardziej, od łez rozmiękł nam ekran i nie mogliśmy przeczytać całego wywiadu. Ale potem się wściekliśmy. Jak to pojednać Polaków? Pisowców i wszystkich tych, którzy głosowali na Nawrockiego?

Osoby niedojrzałe i nieuczciwe atakują Romka Łazarskiego. To bliski współpracownik Sławka Mentzena i człowiek sukcesu. Jego biznes to sprowadzanie ciapatej siły roboczej do Polski. To tak można? Przecież Konfederacja krytykuje sprowadzanie migrantów. Padają takie pytania, więc odpowiadamy: sprowadzanie migrantów jest złe, zwłaszcza przez PiS, ale handel kolorowymi niewolnikami jest dobry. Konfederacja jest za wolnym rynkiem, więc jeśli ktoś ma pieniądze i chce sobie kupić ciapatego niewolnika, to dlaczego państwo miałoby mu zabraniać? A Romek Łazarski tylko zaspokaja popyt.

Żydzi porwali Franka Sterczewskiego. A Grzegorz Braun milczy! I nie sięga po gaśnicę, mimo że żydowskie kondominium porwało też innego bohatera naszej wyobraźni – Andrzeja Szejnę.

PS Halo, Andrzeju! Słyszysz nas? Mały tip, jak przetrwać niewolę w Izraelu. Najbardziej opłaca się kupować arak Tubi 60. Ma lekko cytrynowy smak, nie czuć tak bardzo anyżu. I reklamują się, że nie ma się po nim kaca. Lachaim!

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Julita Szewczyk, Ludmyla Skwarczyńska

eprasa.pl 405bf1fd3a

WIEŻA BAB

Wejście smoka

Brzmi to jak tytuł kiepskiej komedii romantycznej: „Polska 2050 Ryszarda Petru – miłość w czasach poparcia poniżej progu”

Ryszard Petru znów chce być ważny i wielki lub przynajmniej – żeby częściej o nim mówiono. Postanowił więc wdrapać się na szczyt, a może raczej – na pagórek. Niczym bohater kina akcji, który w każdej części serii ginie, by w następnej cudownie zmartwychwstać, były lider Nowoczesnej ogłosił, że chce przejąć stery w Polsce 2050. I wie, jak odzyskać zaufanie społeczne. Bo choć Szymon Hołownia też deklarował, że „wie, jak to zrobić”, to jednak nie wiedział, bo jego partia oscyluje teraz wokół 1 proc. poparcia.

Marszałek Sejmu, twarz telewizyjna, człowiek o niespożytym zapasie bon motów na każdą okazję, zdecydował, że już mu się nie chce być szefem własnej partii. Być może zmęczyło go wyjaśnianie co drugi dzień, że Polska 2050 to nie plan naprawy ZUS, tylko ugrupowanie polityczne. A tak na serio – każdy normalny człowiek miałby dość współrządzenia z Donaldem Tuskiem.

Ryszard Petru czekał na taki obrót spraw. Niczym przyczajony tygrys czy ukryty smok lub jak rybak, który godzinami wpatruje się w spławik, by w końcu złapać... starą oponę. Ale tym razem opona ma logo Polski 2050 i Petru być może wierzy, że da się ją jeszcze napompować. Przecież gdy odebrano mu Nowoczesną, cieszyła się ona poparciem na poziomie 9 proc., co w przypadku Polski 2050 wydaje się teraz szczytem marzeń.

„Postanowiłem ubiegać się o funkcję przewodniczącego partii Polska 2050. Podejmuję to wyzwanie, wierząc, że jesteśmy w stanie odzyskać wyborców, którzy zaufali nam w 2023 r. I wiem, jak to zrobić” – oświadczył Petru z powagą, z którą ogłaszał, że ryba psuje się od góry lub że od samego mieszania w szklance nie zmieni się słodkość herbaty. Kłopot w tym, że on zawsze „wie”. Wie, jak założyć partię (Nowoczesna), wie, jak ją stracić (Nowoczesna bez niego), wie, jak założyć kolejną (Teraz!), i wie, jak sprawić, by nikt o niej nie pamiętał (Teraz! nigdy nie było). Był też plan Petru, którego nikt nie zrealizował, a sam Petru miał być premierem. Tyle wie, a wciąż tonie!

Historia Petru to podręcznikowy przykład kariery sinusoidalnej: najpierw szybki start, chwila triumfu, fotki z podróży na Maderę, która po czasie okazała się Lizboną, spadek poparcia, rozstanie z własnym dzieckiem (Nowoczesną), eksperymenty z kołami poselskimi, aż wreszcie zupełne zniknięcie z radaru. A jednak – oto znowu stoi przed nami, jakby nic się nie wydarzyło, z uśmiechem człowieka, który wierzy, że można przejąć partię sygnowaną cudzym nazwiskiem. Bo przecież pełna nazwa ugrupowania to Polska 2050 Szymona Hołowni. Czy da się tam wstawić „Ryszarda Petru”? Brzmi jak tytuł kiepskiej komedii romantycznej: „Polska 2050 Ryszarda Petru – miłość w czasach poparcia poniżej progu”. Co więcej, Petru próbuje się przedstawiać jako człowiek przyszłości. To zabawne, bo jego przeszłość wciąż kładzie się cieniem na jego teraźniejszości. Każdy jego powrót przypomina trochę wznowienie serialu, którego nikt nie zamawiał.

Dlaczego miałoby mu się udać teraz? To pytanie, które ciśnie się na usta nawet najbardziej cierpliwych wyborców. Może liczy na to, że społeczeństwo ma krótką pamięć, a memy i pamięć o jego lapsusach starzeją się szybciej niż wino? A może naprawdę wierzy, że wystarczy odrobina samozaparcia, by zamienić partię telewizyjnego showmana w liberalno-społeczny eksperyment nr 158?

I wreszcie – dlaczego struktury Polski 2050 miałyby wybrać Ryszarda Petru? Przecież pamiętamy, jak już po odebraniu mu Nowoczesnej przez Katarzynę Lubnauer i Kamilę Gasiuk-Pihowicz startował na konwencji do Rady Krajowej Nowoczesnej. Było 51 kandydatów na 50 miejsc, Ryszard Petru się nie dostał. Do tej pory niekwestionowaną liderką na nową szefową partii wydawała się Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, po piętach depcze jej Paulina Henning-Kloska. A Petru źle kończy głównie przez kobiety.

Jedno jest pewne: w tym politycznym teatrze Ryszard Petru wie, jak nie dać o sobie zapomnieć. Polska 2050 z Petru na czele? Brzmi jak scenariusz na sitcom, gdzie wszyscy wiedzą, jak się skończy – oprócz samego Petru.

Dorota Łosiewicz

Reklama | 07/0325/FZAL

Rok 2025 został ogłoszony przez ONZ MIĘDZYNARODOWYM ROKIEM SPÓŁDZIELCZOŚCI

Polska spółdzielczość finansowa jest częścią światowej społeczności.

Pomagamy, troszczymy się, jesteśmy blisko.

Dzięki spółdzielniom świat staje się lepszy

FUNDACJA STEFCZYKA

eprasa.pl 405bf1fd3a

Wybory pod presją

Rządząca Mołdawią proeuropejska formacja Akcja i Solidarność zdobyła w ubiegłotygodniowych wyborach 55 mandatów w stuosobowym parlamencie, a utworzony przez siły prorosyjskie Blok Patriotyczny – zaledwie 26. Wyniki są pewnym zaskoczeniem, bo sondaże wskazywały, że Blok Patriotyczny, któremu przewodzi były prezydent Igor Dodon, idzie łeb w łeb z siłami proeuropejskimi.

Prezydent Maia Sandu [na zdj.], opowiadająca się za integracją Mołdawii z Unią Europejską, powiedziała po głosowaniu, że siły prorosyjskie chciały wygrać wybory, odwołując się do zakazanych praktyk. Mowa o nielegalnym przewożeniu wyborców do lokali wyborczych za granicą, fałszywych alarmach bombowych, kupowaniu głosów oraz przypadkach tzw. karuzeli, czyli próbach głosowania w kilku lokalach.

Również rządzący bez skrupułów używali swoich wpływów w administracji, aby wpłynąć na wynik wyborów, które, choć formalnie demokratyczne, trudno uznać za wolne od ingerencji. Państwowa służba statystyczna przełożyła datę publikacji danych na temat sytuacji gospodarczej kraju, aby wyborcy nie działali pod wpływem niepokojących informacji. Do wyborów nie dopuszczono także dwóch partii uznawanych przez władze za otwarcie prorosyjskie, a partii Moldova Mare zabroniono uczestniczyć w wyborach, kiedy głosowanie już trwało, co oznacza, że nie została ona skreślona z list wyborczych i część głosów niechętnych rządowi zostało w ten sposób unieważnionych. Centralna Komisja Wyborcza wprowadziła zaś limity środków, jakie mogą być wydane na reklamę wyborczą, aby siły powiązane z prorosyjskimi oligarchami nie mogły wykorzystać swojej przewagi finansowej.

W Rosji, gdzie mieszka znacząca mniejszość mołdawska, otwarto jedynie dwa lokale wyborcze, a komisje zlokalizowane blisko separatystycznego Naddniestrza, którego mieszkańcy też mogą głosować, odsunięto od przejść granicznych. Samą granicę zaś zamknięto, bo policja miała dostać doniesienia „o podłożeniu ładunków wybuchowych". To wszystko przełożyło się na premię w postaci 3–4 mandatów dla rządzącej formacji, która i tak miałaby zapewne większość, ale dość kruchą.

Polityczna gra wokół Mołdawii nie jest jeszcze skończona. Premier Dorin Recean powiedział, że „nie sądzi, aby Kreml nas tak po prostu zostawił", a zdaniem obserwatorów wejście do parlamentu partii Demokratia Akase (Akcja Demokratyczna), która zdobyła sześć mandatów i którą kieruje mający powiązania z rosyjskim FSB Vasile Kostiuk, zapowiada nowy rozdział w wewnętrznej walce politycznej.

Marek Budzisz

Fot. Belish/Shutterstock.com

Wojenny kryzys paliwowy

Ukraińskie ataki dronów na rosyjskie rafinerie zaostrzyły kryzys na tamtejszym rynku paliw. Ceny gwałtownie wzrosły, a w wielu regionach Rosji zaczęło brakować paliwa na stacjach benzynowych.

Jak wynika z obliczeń agencji Bloomberg, w sierpniu ceny hurtowe paliw osiągnęły rekordowy wzrost o 40–50 proc. w porównaniu ze styczniem. Latem zużycie benzyny i oleju napędowego zwiększa się z powodu wyjazdów wakacyjnych oraz prac polowych. Do wybuchu wojny na Ukrainie nie stanowiło to problemu, jednak od kiedy priorytetem są dostawy dla wojska, ataki ukraińskich dronów znacząco pogorszyły sytuację na rynku. Tylko w sierpniu Ukraina zaatakowała osiem rosyjskich rafinerii, wyłączając z użytku ok. 10 proc. czynnej mocy produkcyjnej kraju.

W najgorszej sytuacji są właściciele niewielkich stacji benzynowych, zwykle położonych na prowincji, które z powodu wysokich kosztów transportu nie są obsługiwane przez duże koncerny naftowe. Z tego powodu duże niedobory paliwa występują na rosyjskim Dalekim Wschodzie. W obwodzie zabajkalskim przy granicy z Chinami dostawy były utrudnione z powodu przeciążenia jedynej linii kolejowej. Także w położonym nad Pacyfikiem Kraju Nadmorskim występują zakłócenia. Kierowcy we Władywostoku musieli stać w wielogodzinnych kolejkach po benzynę. Wiele stacji zostało zamkniętych, a inne podniosły ceny.

Trudna sytuacja panuje również na okupowanym Krymie. Przerwy w działaniu rafinerii wywołane atakami dronów doprowadziły do całkowitego wyczerpania zapasów benzyny w wielu miejscowościach. Rosyjskie władze półwyspu wprowadziły ostatnio faktyczną reglamentację paliw, aby zapobiec katastrofie. Kierowcy mogą kupić w urzędowo ustalonej cenie jedynie 30 l na miesiąc.

Rosnące ceny są poważnym problemem dla Kremla, bo droga benzyna wywoływała już protesty, m.in. w 2018 r. Aby uniknąć niedoborów, rząd ograniczył eksport paliw. Na razie – jak zaznaczają eksperci – pełnowymiarowy kryzys jest jeszcze odległy, bo większość rafinerii uszkodzonych podczas ataków działa, choć w ograniczonym zakresie. Z pewnością jednak na rynku detalicznym – najmniej istotnym dla funkcjonowania rosyjskiej gospodarki i prowadzenia wojny – poważne problemy będą się pogłębiać.

Konrad Kołodziejski

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl 405bf1fd3a

Niemcy

Słony rachunek za transformację

W umowie koalicyjnej rządzący Niemcami chadecy i socjaldemokraci uzgodnili, że transformacja energetyczna musi być kontynuowana. Dziś źródła odnawialne (OZE) pokrywają 60 proc. niemieckiego zużycia energii elektrycznej, a do 2030 r. ma to być 80 proc. Wszystkie elektrownie jądrowe zostały odłączone od sieci i w tej chwili trwa ich rozbiórka.

25 października mają zostać wysadzone dwie chłodnie kominowe elektrowni w Gundremmingen, a rok temu wysadzono chłodnie elektrowni Grafenrheinfeld. Siłownia mogła działać jeszcze dekady – została oddana do użytku względnie niedawno, bo w 1981 r. Wiele elektrowni węglowych również zostało zamienionych w gruz, łącznie z tą w Moorburgu koło Hamburga, uruchomioną w 2015 r. i należącą do najnowocześniejszych w Europie.

Niemiecka Energiewende trwa więc w najlepsze. Podczas prezentacji raportu na ten temat minister gospodarki Katherina Reiche rysowała obraz „transformacji energetycznej na rozdrożu". „Niezawodność, bezpieczeństwo dostaw i przystępność cenowa muszą być na pierwszym planie" – zaznaczyła. Z 260-stronicowego raportu wynika, że w pierwszej połowie 2025 r. aż 29 proc. energii słonecznej wyprodukowano przy ujemnych cenach prądu. Jest to prąd, którego nikt nie potrzebuje. Podobnie jest z wiatrakami – jest ich za dużo i są bezużyteczne, gdy nie wieje. Wykorzystanie wodoru od lat przedstawia się jako kluczowy aspekt osiągnięcia neutralności emisyjnej. Jednak koszty dostaw – zwłaszcza wodoru odnawialnego – są „znacznie wyższe niż obecna gotowość do ich pokrycia".

Również rozbudowa sieci pod OZE będzie niesłychanie droga. Do 2045 r., kiedy Niemcy mają osiągnąć neutralność klimatyczną, pochłonie ok. 700 mld euro. Budowa 71 nowych elektrowni gazowych to kolejne 50 mld euro. Nic dziwnego, że ceny energii elektrycznej biją rekordy. Obecnie średni koszt dla odbiorców końcowych przekracza 41 centów/kWh. W 1999 r. wynosiły one 16,5 centa/kWh. Pani minister Reiche otwarcie przyznała, że przemysł „zużywa coraz mniej prądu, bo ucieka z Niemiec lub wstrzymuje produkcję". Jednak jej zdaniem „można ograniczyć wzrost kosztów" i pogodzić „neutralność klimatyczną z konkurencyjnością". Tylko w jaki sposób?

Według Niemieckiej Izby Przemysłowo-Handlowej (DIHK) ratunkiem jest handel emisjami CO_2. Gdyby ktoś się zastanawiał, po co istnieje system ETS, tu znajdzie odpowiedź. Wszyscy zapłacimy za pomyloną politykę energetyczną Berlina.

Aleksandra Rybińska

Fot. pmvfoto/Shutterstock.com

Węgry

Dość lewackiego terroru

Viktor Orbán poinformował, że jego rząd pójdzie w ślady prezydenta Trumpa i zdelegalizuje Antifę jako skrajnie lewicową organizację terrorystyczną. Węgierski premier zapowiedział także stworzenie krajowej listy organizacji terrorystycznych i podjęcie „najsurowszych możliwych kroków" wobec nich.

Orbán podkreślił, że politycy nie mogą dopuścić, aby „napięta, agresywna, pełna przemocy atmosfera wynikająca z ogólnej sytuacji na naszym kontynencie" przedostała się do dyskursu publicznego. „Wkrótce jedynie Europa Środkowa, przede wszystkim Węgry, będzie uważana za wyspę pokoju" – ocenił. Orbán przypomniał atak Antify na uczestników obchodów Dnia Honoru organizowanego przez węgierską prawicę w rocznicę oblężenia Budapesztu przez Armię Czerwoną w 1945 roku. 9 i 10 lutego 2023 r. doszło do serii napaści, w których dziewięć osób zostało ciężko rannych. Wśród nich znalazło się także troje polskich turystów. Policja aresztowała wówczas m.in. dwójkę Niemców i pochodzącą z Mediolanu Ilarię Salis. Ta ostatnia, od lat uczestnicząca w działalności bojówkarskiej na terenie Włoch, została jednak uwolniona po tym, jak została wybrana do Parlamentu Europejskiego, co zapewniło jej immunitet parlamentarny.

Nazwa bojówki pochodzi w od Antifaschistische Aktion, paramilitarnego skrzydła Niemieckiej Partii Komunistycznej (KPD) działającej w latach 30. ub.w. Współcześnie jest szyldem sieci luźno powiązanych lewackich grup stosujących akty terroru wymierzone w prawicę. Chodzi o pobicia, atakowanie manifestacji, biur, księgarń i wydawnictw, zakłócanie publicznych wystąpień, a nawet zastraszanie rodzin polityków.

Organizacja jest najbardziej aktywna we Francji i Niemczech. Podejrzewa się ją także o udział w działalności sabotażowej na terenie całej Europy. W maju francuski rząd zapowiedział delegalizację organizacji La Jeune Garde Antifasciste (Młoda Gwardia Antyfaszystowska). Jej były lider Raphaël Arnault, który w zeszłym roku został posłem z ramienia skrajnie lewicowej LFI Jeana-Luca Mélenchona, był oskarżany o stosowanie przemocy. Również holenderski parlament rekomendował we wrześniu wprowadzenie zakazu działalności dla tamtejszej mutacji Antify. Być może kończą się złote lata dla zamaskowanych bojówkarzy.

Maciej Walaszczyk

eprasa.pl 405bf1fd3a

Zielony obłęd – jak Tusk sprzedaje Polskę brukselskim marzycielom

Czas wrócić do prawicowego rozsądku, bo zielone szaleństwo to nie wizja, lecz zdrada narodowych interesów

Zielony Ład to unijna fanaberia, która pod płaszczykiem ratowania planety dusi suwerenne narody w kajdanach biurokratycznych absurdów. Dla Polski to recepta na energetyczną katastrofę – rosnące ceny, blackouty i uzależnienie od kaprysów pogody. A wszystko to pod auspicjami koalicji Tuska, tej lewicowo-liberalnej zbieraniny, która z entuzjazmem realizuje brukselskie dyrektywy, ignorując realne potrzeby narodu. ETS2, CBAM, dyrektywa budynkowa – to nie narzędzia postępu, lecz łańcuchy, które krępują gospodarkę i windują ceny diesla, gazu i węgla opałowego o setki euro. Ubóstwo energetyczne? Już gryzie 15 proc. naszych rodaków, bo kto wytrzyma węgiel po 2 tys. zł za tonę? Energochłonne branże – od śląskich hut po kujawskie fabryki nawozów – tracą konkurencyjność szybciej, niż Tusk traci zaufanie wyborców. Po co budować na solidnych fundamentach, skoro można gonić za ekomrzonkami, które duszą gospodarkę?

Obecny rząd? Koalicja 13 grudnia obiecująca zieloną idyllę utknęła w chaosie wewnętrznych swarów. W 2024 r. i połowie 2025 r. – zero aktualizacji Polityki Energetycznej do 2040 r., zero Funduszu Transformacji, zero Agencji Bezpieczeństwa Energetycznego. Górnictwo? Umowa społeczna z górnikami w lesie, bo Komisja Europejska marszczy brew. Atom? Opóźnienia godne socjalistycznych budów – pierwszy reaktor za ponad dekadę, druga lokalizacja we mgle, trzecia – w bajkach dla niegrzecznych dzieci. Ustawa wiatrakowa? Lobbystyczny koszmarek, który na szczęście zawetował prezydent.

Tusk mrozi ceny prądu do końca 2025 r., ale to marna kroplówka dla gospodarki i Polaków, którą sam zatruł negocjacjami w Brukseli serią kapitulacji, godząc się na klimatyczne pułapki bez tarczy. 100 wtop w rok? To nie fikcja, to ich „osiągnięcia". Zielony Ład? 72 proc. Polaków widzi w nim same straty, zwłaszcza odbijające się na portfelach.

Szkoda, że zapomnieli o rządzie Morawieckiego – tym prawdziwie konserwatywnym bastionie, który bronił polskiej suwerenności przed unijnym zielonym dyktatem. Za tamtych czasów udział węgla w miksie spadł z 82 proc. w 2015 r. do 63 proc. w 2023 r., ale mądrze, planowo, bez histerii. OZE rosło, stabilnie, fotowoltaika z 1 GW do 15 GW, wiatraki – z 6 do 9 GW, ale na warunkach polskich, nie brukselskich. „Mój Prąd", „Czyste Powietrze" – miliony beneficjentów nie dzięki eurokratycznej łasce, lecz narodowej determinacji.

Baltic Pipe? Majstersztyk z 2022 r. – 10 mld m^3 norweskiego gazu rocznie, uwolnienie od rosyjskiego szantażu – to poprzedni rząd uratował nas przed putinowską pułapką. Rynek mocy? Stabilne ceny, wygaszenie kilku kopalń bez rewolucji, umowa z górnikami do 2049 r. – obrona tradycji węglowej, tego krwiobiegu polskiej gospodarki. Atom? Przygotowany i wynegocjowany planowo i sprawnie wystartował. Interkonektory z Litwą i Słowacją? Były gotowe. Polska stawała się regionalnym liderem, a nie unijnym wasalem jak teraz. Morawiecki walczył z Zielonym Ładem jak lew – wetował absurdy, negocjował derogacje, chronił Polskę przed pseudoekologicznym terrorem, który w polskiej gospodarce niszczy więcej niż zaniechania Tuska.

Dziś, w 2025 r., Komisja Europejska grozi karami za brak implementacji zielonych absurdów, Tusk bredzi o deregulacji, a Polska płaci – ceny energii idą w górę o dziesiątki procent, sieci energetyczne są na skraju załamania, wieś została bez infrastruktury. Sarkazm? Może, ale eksperci alarmują: bez oporu przeciw temu obłędowi stracimy wszystko. Tymczasem koalicja smacznie śpi lub walczy między sobą o stołki. Czas wrócić do prawicowego rozsądku, bo zielone szaleństwo to nie wizja, lecz zdrada narodowych interesów. Niech Tusk nie zrzuca wszystkiego na „unijne spiski" – to jego ekipa je wdraża z uśmiechem.

Daniel Obajtek

Fot. Archiwum autora

eprasa.pl 405bf1fd3a

Kulisy migracji

Marta Kaczyńska-Zielińska

Większość państw afrykańskich nie poparła rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ potępiającej wojnę Rosji na Ukrainie. Prognozy wskazują, że do 2050 r. populacja Afryki osiągnie 2,5 mld, co oznacza, że kontynent ten będzie odgrywał coraz większą rolę w światowej gospodarce, będzie też wzrastać jego potencjał migracyjny.

W ostatnich latach Rosja nawiązała bliskie relacje z elitami rządzącymi w kilku krajach afrykańskich, w tym Republice Środkowoafrykańskiej, Mali, Zimbabwe i Etiopii. Kraje te postrzegają Moskwę jako kluczowego sojusznika, który zapewnia im utrzymanie władzy. W związku z tym nie są skłonne narażać rosyjskiego poparcia, głosując za rezolucjami ONZ potępiającymi działania Moskwy.

Frontex twierdzi, że w miarę, jak Rosja umacnia swoją pozycję polityczną i militarną w Sahelu i Libii, może być ona „w stanie tworzyć i ewentualnie kierować przepływami migracyjnymi, których skutki mogą być odczuwalne przez wiele lat".

Wschodnia Libia, a zwłaszcza lotnisko w Bengazi, stały się centralnym węzłem komunikacyjnym dla migrantów, którzy wykorzystują ten kraj jako punkt tranzytowy, aby dotrzeć do Europy drogą morską. Według Globalnej Inicjatywy Przeciwko Międzynarodowej Przestępczości Zorganizowanej w ostatnich latach w ten sposób przybywali do UE migranci, zwłaszcza z Egiptu, Syrii, Bangladeszu i Pakistanu. Większość ekspertów zgadza się, że taki rozwój sytuacji byłby niemożliwy bez zaangażowania wspieranych przez Rosję libijskich sił zbrojnych.

Mimo rozszerzenia działań i wysłania w ostatnich latach tysięcy najemników do regionu Rosjanie nie rozwiązali problemów bezpieczeństwa w Afryce Zachodniej i Środkowej. Coraz częściej spotykają się z oporem ze strony lokalnej społeczności z powodu łamania praw człowieka i braku możliwości odparcia ataków grup zbrojnych. Głównym celem Rosjan w regionie nie jest bowiem położenie kresu agresji grup zbrojnych, ale otrzymywanie zapłaty za swoje usługi, którą mogą następnie przeznaczyć na wojnę na Ukrainie. Rosjanie udzielają wsparcia krajom afrykańskim w zamian za kontrolę nad ich zasobami mineralnymi. Dochodzenia wykazały, że firmy powiązane z byłym przywódcą Grupy Wagnera zdobyły koncesje na wydobycie złota i diamentów w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie prawie 70 proc. populacji żyje w skrajnym ubóstwie. Według Departamentu Skarbu USA jedna z tych firm posiada prawa do kopalni złota Ndassima, której przychody są szacowane na ponad 1 mld dol. W Nigrze Moskwa zawarła umowy dotyczące współpracy nuklearnej oraz wydobycia uranu i litu. Zawarto również umowy dotyczące zasobów mineralnych między Moskwą a Mali. Raport międzynarodowego stowarzyszenia producentów złota szacuje rosyjskie dochody z nielegalnego handlu złotem na ok. 2,5 mld dol. od początku wojny Rosji z Ukrainą.

Rozpędzona przez politykę byłej kanclerz Ageli Merkel nielegalna migracja jest jednym z głównych problemów Europy, a w interesie Rosji leży jego pogłębianie. To narzędzia destabilizacji Starego Kontynentu. Frontex ostrzegał, że Moskwa może wykorzystać migrację i rosnące wpływy w Libii i Sahelu do wywarcia presji na Europę. Tymczasem prowadzona od 2017 r. współpraca UE z władzami Libii w zakresie migracji staje się coraz mniej skuteczna. Gwałtowny wzrost liczby migrantów, głównie z Bliskiego Wschodu i Afryki, na wschodnich granicach Polski, Litwy i Finlandii stał się jaskrawym dowodem na istnienie szlaku służącego nielegalnemu szmuglowaniu ludzi do UE przez Rosję i Białoruś.

„The Telegraph" doniósł o wycieku dokumentów wywiadowczych, które szczegółowo opisują rosyjskie plany dotyczące utworzenia z byłych funkcjonariuszy libijskiej milicji „siły straży granicznej liczącej 15 tys. ludzi", która miałaby kontrolować napływ migrantów. Według ekspertów rosyjscy najemnicy podsycają migrację, nasilając niestabilność i przemoc na kontrolowanych przez siebie obszarach Afryki oraz transportując migrantów do granic i wspierając przemytników. Szlaki migracyjne są powiązane z obszarami, na których działają rosyjskie jednostki paramilitarne.

Naszemu Koledze

PIOTROWI KUBIKOWI

ORAZ

JEGO NAJBLIŻSZYM

Składamy wyrazy szczerego współczucia z powodu śmierci

MAMY

Zapewniamy o naszej pamięci w trudnych chwilach

Zarząd i pracownicy Saltus Ubezpieczenia

18/0925/F

eprasa.pl 405bf1fd3a

Walizka Magdaleny Ogórek

dziennikarki, pisarki, prezes Polish Lost Art Foundation

Od trzech lat moja walizka jest tylko w jednej czwartej typowym bagażem podręcznym, ponieważ reszta jej zawartości zdecydowanie odbiega od normy, tak jak wydarzenia, które ostatnio mają miejsce w moim życiu.

Od trzech do czterech razy w miesiącu odwiedzam Dolny Śląsk, nadzorując muzeum, którego budowa dobiegła końca już pół roku temu, trwają ostatnie prace wykończeniowe. Nie śpię, pracuję ponad siły, wykonując całkowicie *pro bono* prace na rzecz powstania placówki, która opowie o systemowym, metodycznym przygotowaniu się Niemców do grabieży polskich skarbów narodowych.

Mimo że placówka została zbudowana w ekspresowym tempie (dwa lata!), pracownicy mediów, m.in. z Onetu i OKO.press fałszywie kolportowali tezę, że muzeum nie powstało, a po upadku rządów Zjednoczonej Prawicy budowa wyhamowała. Długo nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak prowadzono narrację, ukrywano przed opinią publiczną zdjęcia pięknego architektonicznie budynku muzealnego od dawna ukończonego. Nadmienię dla porównania, że Muzeum Rodziny Pileckich, którego powierzchnia jest sporo mniejsza od mojego muzeum, powstało po sześciu latach i kosztowało prawie 14 mln zł. Moja placówka kulturalna powstała po dwóch latach, a ja zostawiłam w niej krew, pot, radość i łzy.

Zostawiam zatem otwarte pytanie, kto tak bardzo się starał, kto dotował podróże pracownic OKO.press na miejsce budowy oraz komu tak zależało na intencjonalnym wprowadzaniu opinii publicznej w błąd.

„KRÓL OLCH. WILM HOSENFELD, OFICER, KTÓRY URATOWAŁ WŁADYSŁAWA SZPILMANA"

Moją trzecią książkę poświęciłam wyjątkowemu Niemcowi, kapitanowi Wehrmachtu, który w bestialskich czasach II wojny światowej zachował resztki człowieczeństwa. Co ciekawe, współczesne władze Niemiec traktują Hosenfelda jako zdrajcę. Jeden egzemplarz „Króla Olch" zawsze zabieram w podróż, gdyż zawsze spotykam kogoś, kto pyta, czy mam może przy sobie tę książkę.

eprasa.pl 405bf1fd3a

ZIELONA HERBATA

To jest must-have, bez którego nigdzie się nie ruszam. Opakowanie na zdjęciu – prezent od koleżanki z Japonii – zawiera specjalną mieszankę matchy i zielonej herbaty.

SHOT ODPORNOŚCIOWY

Teraz z uwagi na czas jesienny zawsze rano wypijam tzw. shot odpornościowy – mieszankę kurkumy i imbiru od polskiej firmy EkaMedica. Wszystkim polecam wzmacnianie układu odpornościowego, wybierajmy polskie, naturalne produkty.

PRÓBKI FRONTÓW

Jestem w ferworze wykańczania wnętrza Muzeum Zagrabionej Sztuki w Sulisławicach, dlatego w bagażu podręcznym często mam różne wyroby szeroko kojarzące się z sektorem budowlanym.

JEANSY

Na budowie najłatwiej mi się w nich biega.

SUKIENKA I SZPILKI

Zawsze muszą być na sytuacje awaryjne. Od lat to się nie zmieniło.

ZABYTKOWY CZAJNIK DO HERBATY

Moja własność – w przyszłości będzie jednym z eksponatów wystawionych jako depozyt w muzeum. Należał do wybitnego polskiego rysownika Antoniego Uniechowskiego. Walczyłam o niego podczas aukcji w Desie z myślą o umieszczeniu go na ścieżce wystawy muzealnej.

KOSMETYCZKA

Produkty związane z codzienną pielęgnacją muszą znaleźć się w walizce. Gdy jest mało snu zawsze używam kremu nawilżającego albo serum, zwłaszcza że po telewizyjnych makijażach skóra na twarzy jest przesuszona.

„UCIECZKA" ADAMA MICKIEWICZA

Prawdziwy biały kruk. Absolutny rarytas na rynku wydawniczym, ponieważ jest to egzemplarz z pierwszego wydania broszurowego z 1832 r. o nakładzie 100 sztuk. „Ucieczka" została uznana przez wszystkich krytyków za utwór, w którym Mickiewicz wzniósł się na absolutne wyżyny swojego poetyckiego geniuszu – polecam analizę Marii Janion i Wacława Borowego.

PERFUMY

Każdy zapach musi mieć jakąś opowieść, a ten ma nuty jesienne.

MODLITWA DO ŚW. SZYMONA Z LIPNICY

Święty, który szerzej jest znany czytelnikom „Historii żółtej ciżemki". Postać historyczna, wielki święty Krakowa, przywracający zdrowie ludziom w potrzebie. Przez całe moje dorosłe życie jest mi bardzo bliski.

OBRAZ NORBLINA

W moim muzeum będę aranżowała Izbę Pamięci w formule gabinetu Władysława Szpilmana, który stanie się częścią sekcji „Ocaleni z Holokaustu". Obraz wylicytowałam na słynnej aukcji pamiątek po wielkim pianiście. W aukcji brały udział międzynarodowe instytucje z całego świata, m.in. Instytut Yad Vashem, który kupił fortepian Szpilmana.

OSOBISTE

Zawsze towarzyszą mi przedmioty od mojej córki, z którą utrzymuję bardzo bliską relację. To może być jakaś pamiątka, gadżet, czasami książka. Ostatni prezent, jaki dostałam, to antykwaryczna pozycja o sztuce w renesansowej Florencji.

Wysłuchał i zapisał Michał Korsun

Fot. Andrzej Wiktor, Magdalena Ogórek, Shutterstock

eprasa.pl 405bf1fd3a

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Złodziejskie czasy

Jan Pietrzak

Kradną na potęgę. Wiem, że to duże uproszczenie pachnące pomówieniem, być może karalne. Są przecież formalne umowy. Są potwierdzone przepisami decyzje. Ekspertyzy fachowców... Ale z punktu widzenia Polaka szaraka po prostu ktoś nas okrada dzień po dniu. Coś było nasze i już nigdy nie będzie. Np. nabrzeże portowe w Gdyni. Np. ogromne przedsiębiorstwo PKP, po kawałku „oddawane" Niemcom. Przetarg na budowę kolei ustawiono tak, by nie wygrała żadna polska firma. Tereny przy Odrze, choć na mapie należą do Polski, są zarządzane przez niemieckich klimatystów. Zamykane szpitale, już na zawsze, na amen. Pustoszeją placówki zdrowia, na prowadzenie których zabrakło pieniędzy, bo wyparowały. Taki właśnie trend zrobił się pod obecnym rządem. Być może dlatego branżę zdrowotną przerzucono do szkół. One – te szkoły – mają leczyć edukacją, a nie medycyną. Jak mówi znajomy znachor: nie leszczyną, a padiną.

Trwa afera KPO, polegająca na tym, że fundusze na odbudowę zostały użyte do rozliczenia partii ze sponsorami. To też są ukradzione nam pieniądze, choć niby z Brukseli. Tyle zmian przeżyliśmy, tylu reformatorów. Prehistorycznie zaczęło się od Marksa, który zauważył, że kapitaliści kradną proletariuszom wartość dodatkową. Wysnuł z tego teorię, że jak się wartość odbierze burżujom – zapanuje socjalizm i ogólne szczęście. Wszystkie te projekty przerabialiśmy w Polsce.

Teraz rządzą niby liberałowie z lewicą. Jak się nazywa taki ustrój, w którym rząd okrada naród? Na to złodziejstwo nie ma nawet nazwy. Któryś z fachowych redaktorów powinien sporządzić listę największych przekrętów III RP, poczynając chyba od „powszechnej prywatyzacji" osławionego Lewandowskiego. Potem: FOZZ, Art-B, Amber Gold, aferę hazardową, dziką prywatyzację kamienic w Warszawie... itp., itd.

Wygląda na to, że wielkie afery zawsze są związane z kręgami urzędowymi. Że to co przed wojną było domeną fachowców typu Szpicbródka, teraz jest domeną różnych Sławków – niby polityków. Przy czym tradycyjne złodziejstwo ma się w normie.

À propos... stary żart. Mąż wieczorem zdenerwowany, nie może zasnąć. Żona pyta: „O co chodzi?". „Ten Dzidek z naprzeciwka pożyczył mi forsę. Jutro mija trzeci termin, ja nie mam z czego oddać". Żona mówi: „Ja to załatwię". Otwiera okno i woła: „Dzidek! Mój chłop pożyczył ci kasę?". „Tak". „To on ci w życiu nie odda!". I zamknęła okno. Mówi do męża: „Teraz śpij spokojnie. On się denerwuje!". Inna anegdotka z tego cyklu... Gość po wyczyszczeniu konta, opuszczając bank z walizką pełną pieniędzy, klepie przy drzwiach ochroniarza i mówi: „Jeżeli o mnie chodzi, może pan iść do domu!".

Chwila dydaktyki: naszym wspólnym domem, a także pracodawcą, żywicielem, wychowawcą jest nasza ojczyzna. Nie możemy spokojnie zamknąć się w swoich izbach, licząc na zagranicznych ochroniarzy. Też mogą okraść.

„Uśmiechnięta" etyka

Samuel Pereira

W ostatnich dniach polskiego życia publicznego są dwie opowieści, które tłumaczą więcej niż stosy konferencji i oświadczeń. Pierwsza to sprawa Sławomira Nowaka. Sąd ukrywa uzasadnienie umorzenia, a z tego, co ujawnił portal wPolityce.pl, wynika, że kluczowego świadka – Jacka P., „małego świadka koronnego" i byłego przyjaciela Nowaka – nawet nie przesłuchano. Z góry uznano jego zeznania za „pomówienie", a gdy już trzeba było coś napisać, pojawił się np. kuriozalny wywód o „nieprawidłowości faktograficznej", bo rzekomo w latach 2007–2009 Nowak nie był „ministrem u Tuska". Tyle że pełnił funkcję sekretarza stanu i szefa gabinetu politycznego premiera – w praktyce dla rozmówców „minister" pełną gębą, z realnym dostępem i wpływami. Ten detal nie jest drobiazgiem: pokazuje, że wrażliwe wątki odsuwa się techniką językowych uników. Zamiast odpowiedzi na pytanie o ciąg przyczynowo-skutkowy (wpływy – decyzje – korzyści) mamy formalistykę, która robi za parawan władzy.

Druga opowieść to duet Wrzosek–Żurek, czyli wzorcowy obrazek nowej „bezstronności". Pani prokurator od lat manifestuje polityczne emocje – od ulicznych haseł po agitację, a jednocześnie kreuje się na twarz praworządności. Gdy padają konkretne przykłady wpisów i aktywności, minister Żurek nie widzi problemu: albo „nie zna", albo „nie porównujmy", albo odsyła do kolejnych wywiadów, gdzie słyszymy, że nie można się trzymać litery prawa, a ona czuje „niedosyt". Taki model wymiaru sprawiedliwości – skrajnie pod dyktando politycznych dyrektyw i rozgrzeszający swoich – ma realne konsekwencje. Jeśli prokurator może być aktywistą, a sędzia publicystą, to obywatele nie otrzymują bezstronnej oceny faktów, tylko wynik politycznej kalkulacji. A wtedy sprawa Nowaka nie jest wyjątkiem, lecz logicznym finałem: zamiast starcia dowodów – naginanie rzeczywistości.

I tak z jednej strony mamy manipulację w uzasadnieniu sądu, z drugiej – etykę urzędu rozciągnięto jak gumki recepturki, którymi zwijano banknoty dla Nowaka, byle nie pękły na „naszych". Taki układ potrzebuje cenzury, kłamstwa i zamiany państwa prawa na system bezprawia. Walczyć z nimi można tylko za pomocą prawd i faktów. One same nie zwyciężą.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Klimat klimatem, ale przecież nie kosztem Mercedesa

Nagle wchodzi on, cały na biało – Friedrich Merz, lider CDU, w obronie Niemców przed... niemiecką szefową Komisji Europejskiej. Dzis apeluje o zniesienie unijnego zakazu sprzedaży nowych aut spalinowych od 2035 r. Piękne słowa, dramatyczne ostrzeżenia... Tylko że to nie nagła troska o Europejczyków, a zwykły strach przed miliardowymi stratami niemieckiej gospodarki.

Bo któż od sześciu lat stoi na czele Komisji Europejskiej? Była niemiecka minister z CDU, partyjna koleżanka Merza. To właśnie ona z zapałem większym niż niejeden aktywista klimatyczny forsuje „zielone wariactwo" – zakazy, limity i regulacje, które kosztują Europejczyków miliardy euro. Nikt w Berlinie nie protestował, kiedy pomysły te jak z kapelusza – niczym magik – wyciągała Ursula i unijna biurokracja. Bruksela miała się stać narzędziem ideologicznego projektu, a rachunek mają zapłacić zwykli obywatele.

Dziś jednak rzeczywistość puka do drzwi. Niemieckie koncerny motoryzacyjne – symbol narodowej potęgi gospodarczej – zaczęły przegrywać. Nie tylko dlatego, że koszty rosną, ale przede wszystkim z tego powodu, że chińskie marki wjechały na europejski rynek jak burza. Oferują o połowę tańsze auta elektryczne, spełniające wszystkie wyśrubowane normy, podczas gdy niemieckie firmy nie nadążają ani technologicznie, ani cenowo.

I co teraz? Teraz Berlin zmienia front. Teraz Merz apeluje, by zrewidować politykę klimatyczną, bo niemiecka gospodarka może się załamać. Dlaczego? Bo kiedy traci na tym polski rolnik, węgierski kierowca albo czeski przedsiębiorca – Bruksela pozostaje głucha. Ale kiedy traci niemiecki koncern, nagle całej Unii trzeba zrewidować ambitne – jak to mówią – a tak naprawdę oderwane od rzeczywistości plany „zielonej drogi".

Czyli jak zawsze unijne prawo jest pisane tak, by opłacało się przede wszystkim Niemcom. Bruksela tańczy tak długo, jak długo Berlin gra melodię, a sama Unia przetrwa tylko dopóty, dopóki niemiecka gospodarka będzie z niej czerpać pełnymi garściami. My, Polacy, musimy wreszcie odrzucić złudzenia i spojrzeć na to trzeźwo: gdy w Brukseli rozbrzmiewają górnolotne hasła o „solidarności europejskiej i wspólnej Europie", trzeba od razu pytać nie o to, kto na tym skorzysta, ale ile miliardów więcej wpadnie do niemieckiej kasy.

Arkadiusz Mularczyk

Warto robić dobre małe wielkie filmy

Z Matyldą Giegżno rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Nagroda za główną rolę kobiecą, i to w 50. edycji Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych, to jest coś!

Matylda Giegżno: Można powiedzieć, że aż z tego powodu zaniemówiłam [uśmiech]. Zapalenie krtani trochę utrudniało mi podziękowania podczas gali finałowej, ale nie zmniejszyło wielkiej radości. Ta nagroda pokazuje, że warto robić dobre małe wielkie filmy.

Od premiery „Światłoczułej" minęło trochę czasu. Co zostało w pani z Agaty, która żyje i kocha na przekór swojej niepełnosprawności?

Dużo empatii, czułości, trochę większej pewności siebie i spokoju.

Czy łapie się pani jeszcze na gestach osoby niewidomej?

Czasem trochę się bujam, żeby złapać równowagę. Zauważyłam, że ten ruch pojawia się zwłaszcza wtedy, gdy się stresuję.

A czy jest pani bardziej czuła na dźwięki?

Na dźwięki i dotyk, ale myślę, że za sprawą Agaty wyostrzyły mi się wszystkie zmysły. Inaczej też odbieram niektóre sytuacje. Kiedy przygotowywałam się do tej roli, wiele czynności wykonywałam z zamkniętymi oczami.

Pamiętamy panią jako pocztylionkę w nagrodzonym Złotymi Lwami 2023 filmie „Kos", a z tej edycji także jako filmową córkę Bogusława Lindy z „Zamachu na papieża". Czym się pani teraz zajmuje?

Przygotowuję się do kolejnych projektów, o których na razie nie mogę mówić. Poza planem trochę medytuję i m.in. jeżdżę konno. Może kiedyś wrócę też do pływania na bezdechu, które trenowała bohaterka „Światłoczułej".

W drodze do głównej nagrody kobiecej pokonała pani Agatę Turkot, poruszającą w roli młodej kobiety maltretowanej przez partnera z „Domu dobrego" Wojciecha Smarzowskiego.

Staram się nie myśleć, że kogoś pokonałam. Nie mogę się podzielić tą nagrodą, więc mogę być za nią tylko wdzięczna.

Fot. Anna Bobrowska/KFP

eprasa.pl 405bf1fd3a

TRENDY I OWĘDY

Galimatias codzienny

Ryszard Makowski

Sytuacja jest mało komfortowa. Nie wiadomo, czy III wojna światowa wybuchła, czy nie. Jedni twierdzą, że to, co się dzieje na Ukrainie i Bliskim Wschodzie, to zalążki pełnoskalowego konfliktu. Inni zapewniają, że nic nam nie grozi. Jednak u nas na najwyższym szczeblu narracja jest wymijająca. Minister spraw zagranicznych na pytanie, czy wybuchnie wojna z Rosją, odrzekł: „Robimy wszystko, żeby jej zapobiec". Czyli lepiej mieć pod ręką plecak ewakuacyjny.

Napięcie międzynarodowe jest coraz bardziej wyczuwalne. Prezydent Trump, który ponoć zakończył siedem wojen, podejmuje inicjatywy pokojowe. Jak uczy historia, wiele takich inicjatyw dolewało tylko oliwy do ognia. Gość z Kremla zaproszony na Alaskę przeszedł się po amerykańskim czerwonym dywanie, pomachał z butną miną z okna Bestii, pokazał swoim rodakom, jak go szanują w Ameryce i tyle. Niczego, co ustalono, nie dotrzymał. Sowiecka norma.

Podobnie postępuje prezydent Izraela. Jeździ do USA lansować się jako miłośnik pokoju, a potem wraca, by kontynuować eksterminację cywilnej ludności w Gazie i ostrzeliwanie sąsiadów.

Żeby tego było mało, narasta presja informacyjna, że może nas odwiedzić UFO. Teraz gruchnęło w mediach, że coś leci w kierunku Ziemi. NASA twierdzi, że to asteroida. Może uderzyć w 2032 r. Ale kto by wierzył NASA, może jedynie kosmici? A jeśli ktoś ma nałogowe upodobanie, by zagłębiać się w meandry krajowej polityki, to do fiksum dyrdum jeden krok. Na szczęście rusza Konkurs Chopinowski. Wspaniała okazja, by genialną muzyką ukoić skołatany umysł.

POWOLNE MEDIA WEDŁUG MICHAŁA KORSUNA

SIECI

ISSN 2544-2694

www.SIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 255 93 32, (22) 255 93 33; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, RYSZARD CZARNECKI, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, PIOTR GURSZTYN, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, KONRAD KOŁODZIEJSKI, JAROMIR KWIATKOWSKI, LECH MAKOWIECKI, RYSZARD MAKOWSKI, DARIUSZ MATUSZAK, ALEKSANDER NALASKOWSKI, MARZENA NYKIEL, SAMUEL PEREIRA, STANISŁAW PŁUŻAŃSKI, JAN PIETRZAK, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PIOTR SŁABEK, ROBERT TEKIELI, MACIEJ WALASZCZYK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ROBERT GOŁASZEWSKI, ROBERT.GOLASZEWSKI@FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00 (GODZ. 14.00 – 16.00)
PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.SIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA, W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT.: ANDRZEJ WIKTOR, ST. KPR. WOJCIECH KRÓL/ZOOM.MON.GOV.PL, ARCHIWUM PRYWATNE, SHUTTERSTOCK/MILANO M, STUDIOSTOKS, INARA PRUSAKOVA, OSMAN BUGRA NUVASL

Zamów prenumeratę Sieci! Od 2 stycznia 2025 r. według nowego cennika

CENNIK PRENUMERATY*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
Krajowa	118 zł	207 zł	375 zł
Zagraniczna	296 zł	566 zł	1099 zł

**Dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 405bf1fd3a

Chcą, żeby Polska wymarła?

Dlaczego RASP, koncern medialny z niemieckim kapitałem, tak konsekwentnie promuje w Polsce styl życia będący jedną z przyczyn katastrofalnego spadku dzietności?

Fot. CornelPuran/Shutterstock.com

ŁUKASZ WRÓBLEWSKI

„Część społeczeństwa nadal oczekuje od kobiet, że sensem ich życia będzie macierzyństwo. Na szczęście w przestrzeni publicznej coraz wyraźniej słychać głosy: »dziecko nie stanowi o mojej wartości«" – cieszy się autorka artykułu opublikowanego w Onecie. „Słowo »bezdzietność« bywa zastępowane już »niedzietnością«. Kobiety nie czują bowiem, że czegoś im brakuje. Otuchy dodają im te, które uśmiechają się do nich z okładek kolorowych pism" – przekonuje dziennikarka portalu należącego do koncernu Ringier Axel Springer.

Takich tekstów w mediach RASP, właściciela m.in. Onetu, „Faktu" czy „Newsweeka", można znaleźć setki, jeśli nie tysiące rocznie. Bezdzietność czy też „niedzietność" z wyboru staje się tu powodem do dumy. Będący najważniejszym warunkiem posiadania dzieci trwały związek, rodzina – przeciwnie, bywa strasznym obciążeniem. Rozwód, zdrada, najdziksze fantazje seksualne – wyzwoleniem i szczęściem.

„Niemcy obrzydzają Polakom dzieci. Chcą, żebyśmy wyginęli?" – pytają konserwatywni politycy i publicyści.

Nie ma żadnego powodu, by zbywać tego typu głosy wzruszeniem ramion. Przeciwnie: trzeba pytać, dlaczego potężny koncern z niemieckim kapitałem tak konsekwentnie promuje w Polsce styl życia będący jedną z przyczyn – nie ma co do tego wątpliwości – katastrofalnego spadku dzietności. Stawiamy to pytanie publicznie, przedstawiając analizę materiałów opublikowanych w mediach RASP w 2025 r.

TRZY OCZYWISTOŚCI

Zacznijmy jednak od trzech oczywistości. Po pierwsze, sytuacja demograficzna Polski jest tragiczna. Z opublikowanego w minionym tygodniu raportu Głównego Urzędu Statystycznego wynika, że na koniec 2024 r. liczba ludności naszego kraju wyniosła 37 mln 489 tys., czyli o ponad 147 tys. mniej niż w końcu 2023 r. W 2024 r. zarejestrowano niespełna 252 tys. urodzeń – o 20 tys. mniej niż rok wcześniej i trzy razy mniej niż w okresie wyżu demograficznego lat 80. ub.w.

Aby zapewnić stabilny rozwój demograficzny kraju, na każde 100 kobiet w wieku 15–49 lat powinno przypadać średnio co najmniej 210–215 urodzonych dzieci rocznie. A przychodzi ich na świat ok. 110. „Zastępowalność pokoleń gwarantuje współczynnik dzietności na poziomie 2,1. W Polsce w 1990 r. [...] spadł on poniżej 2, a od 1997 r. przyjmuje wartości niższe od 1,5, co potwierdza niską dzietność. Wartości współczynnika utrzymujące się w dłuższym okresie poniżej wartości 1,5 prowadzą do nieodwracalnych zmian w strukturze wieku ludności" – podkreślił w swoim raporcie GUS.

Po drugie, czym trwalszy i bardziej tradycyjny związek, tym więcej dzieci. Według badań z 2021 r. 89 proc. bezdzietnych Polaków żyjących w małżeństwie wyznaniowym chce mieć w przyszłości dziecko, a tylko 4 proc. na pewno tego nie chce. Dla singli wartości te wynoszą odpowiednio 57 i 18 proc.

Po trzecie, wbrew zaklęciom rozsądniejszej części lewicy (ta nierozsądna twierdzi, że czym łatwiejszy dostęp do aborcji, tym więcej rodzi się dzieci), a także części konserwatystów, widzących rozwiązanie problemu demografii w większej dostępności mieszkań, żłobków czy po prostu transferze pieniędzy do rodzin, główny problem leży gdzie indziej. Żeby być dobrze zrozumianym – programy wsparcia finansowego są świetne i potrzebne, a większa dostępność mieszkań może pomóc (wbrew pozorom ze żłobkami nie jest to wcale oczywiste). Nic jednak nie zmieni się na lepsze, jeśli nadal będzie postępować rozpad rodziny, a rytm w kulturze – w szerokim, obejmującym tzw. styl życia rozumieniu – wybijać będą wartości, takie jak „samorealizacja", „wolność" czy „poszukiwanie przyjemności". Po prostu mamy coraz mniej dzieci nie dlatego, że nas na nie stać, tylko z tego powodu, że tak naprawdę nie chcemy ich mieć. I nie mamy z tym problemu, bo zewsząd słyszymy, że posiadanie dzieci wcale nie jest dobre. A w skrajnych przypadkach: że jest to po prostu marnowaniem sobie życia i nieodpowiedzialna głupota.

MEDIA MAJĄ ZNACZENIE

Słynny demograf Paul Morland, autor znanej książki „Nikt nie zostanie: dlaczego świat potrzebuje więcej dzieci" („No One Left: Why the World Needs More Children" – książka nie została jeszcze wydana po polsku) przekonuje, że nie wszystko jest jeszcze stracone. Jako przykłady demograficznego sukcesu podaje m.in. Izrael ze wspólnotami żydowskich ortodoksów czy konserwatywne stany USA z silnymi ośrodkami tradycjonalistycznego katolicyzmu. Morland postuluje budowę pronatalistycznej narracji atrakcyjnej dla liberałów (takich jak on), podkreślając, że „problem z dzietnością ma znacznie głębszy charakter kulturowy – chodzi o coś związanego z nowoczesnością, z samą istotą współczesnej kondycji człowieka". Upraszczając: w brawurowy sposób dowodzi że czynniki ekonomiczne, choć ważne, są absolutnie niewystarczające, by wytłumaczyć dramatyczny spadek dzietności.

Elementem wpływającym na kondycję i zapatrywania współczesnego człowieka – to oczywista oczywistość – są masowe media. Tutaj mamy kilka warstw: samo upowszechnienie nowoczesnych środków masowego przekazu treści i wartości negatywnie wpłynęło na dzietność. Udowadniali to np. w 1976 r. Sherwood Williams i Krishna Singh, pokazując na przykładzie 96 krajów korelację wzrostu dostępności do telewizji ze spadkiem liczby narodzin. Powtórzenie ich analizy dla 144 krajów w 1997 r. wykazało, że posiadanie odbiornika telewizyjnego zbiegało się ze spadkiem dzietności dokładniej niż wysokość PKB czy poziom wykształcenia kobiet w danym kraju. Dziś – co też udowodniono wiele razy i ponad wszelką wątpliwość – powszechna dostępność do informacji i mediów społecznościowych powoduje, że coraz gorzej porozumiewamy się z innymi ludźmi, nie potrafimy się skoncentrować, nie mamy po prostu czasu na rodzinę i dzieci.

Media rysują zazwyczaj pesymistyczny obraz sytuacji gospodarczej, promują kulturę samorealizacji i sukcesu za wszelką cenę, kreują też straszą katastrofę klimatyczną, która nas czeka (wszystko to raczej zniechęca, niż zachęca do posiadania dzieci). Ale niezwykle istotny jest – jak prze-

eprasa.pl 405bf1fd3a

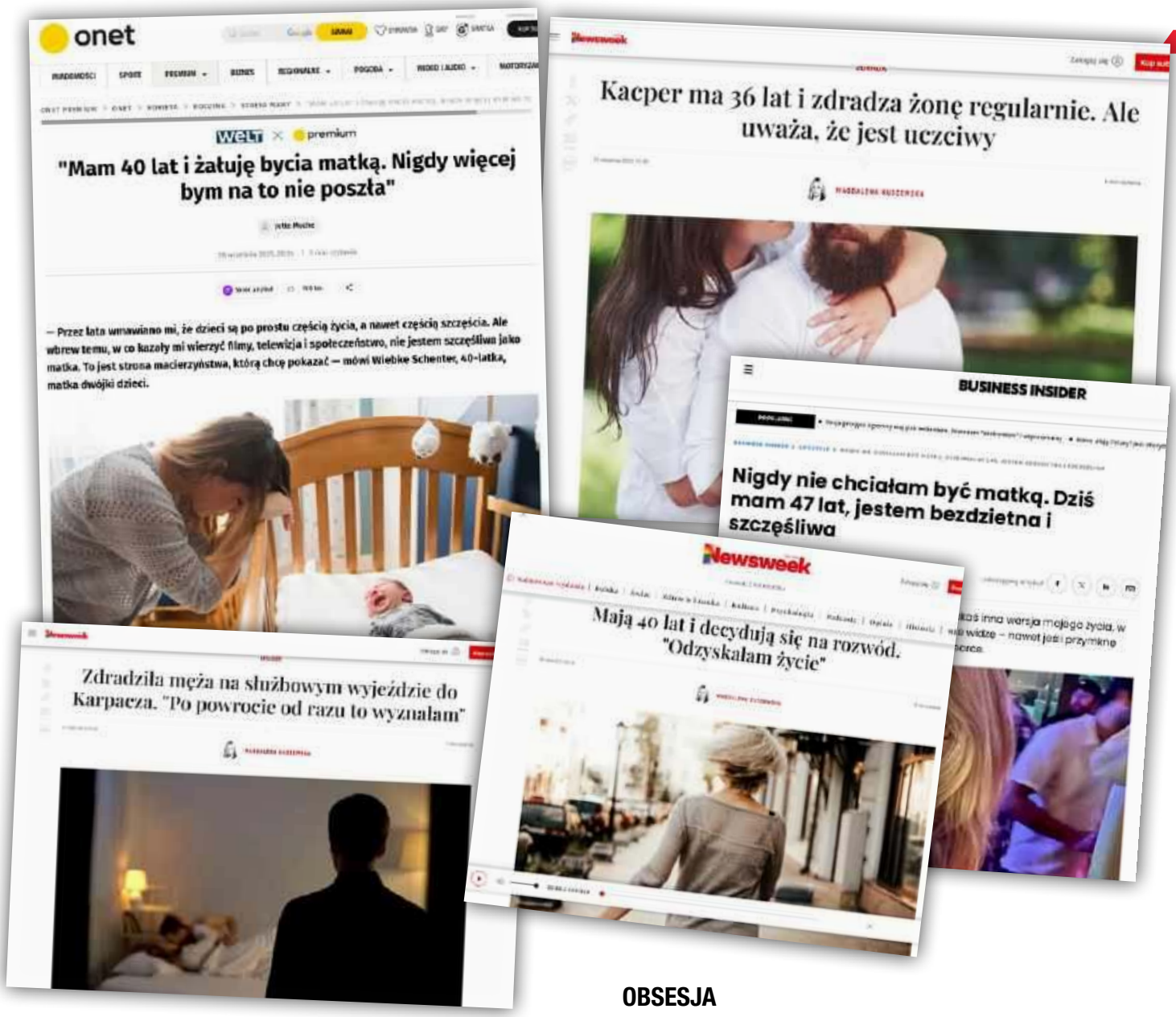

konuje np. polski badacz Mateusz Łakomy – „kontakt z treściami bezpośrednio wiążącymi się z rodziną i posiadaniem potomstwa".

„Czynnikiem niesprzyjającym posiadaniu dzieci jest kontakt z treściami dotyczącymi stylu życia, który jest konkurencyjny dla trwałych związków i wychowywania dzieci. Przykładowo w krajach nordyckich już samo posiadanie dziecka może być postrzegane jako »nienowoczesne«". [...] Negatywny wpływ na chęć posiadania dzieci jest neutralizowany, jeśli w mediach społecznościowych użytkownik ma kontakt z treściami, które przekazują wzorce wiążące się z relatywnie wyższą dzietnością" – pisze Łakomy w szeroko komentowanej książce „Demografia to przyszłość".

„W kierunku działającym przeciwstawnie do działań funkcjonalnej rodziny po części ustawiają się media, których wzorce funkcjonowania i przekazywane treści sprzyjają upowszechnianiu wyolbrzymionych lęków i potencjalnie niesprzyjających formowaniu rodziny oraz posiadaniu dzieci norm i wzorców" – przekonuje.

OBSESJA

I oczywiście ma rację. To właśnie dlatego bierzemy na tapet Ringier Axel Springer, międzynarodowy koncern medialny mający ogromy wpływ na polską opinię publiczną, a także codzienne życie przeciętnych obywateli. W portfolio spółki są media informacyjne, gospodarcze, polityczne, lifestylowe, poradniki. Wszystkie o lewicowo-liberalnych liniach redakcyjnych. Wiele – piórami swoich autorów, a także poprzez dobór przedruków – krzyczy codziennie do milionów Polaków: „Rodzina to koszmar, a zdrada, rozwiązłość są OK". Dlaczego? Bo posiadanie dzieci ogranicza wolność.

Czasami przybiera to kształt obsesji. Np. w jednym z licznych serwisów Onetu w ciągu 10 dni na przełomie września i października br. opublikowano artykuły tylko jednej autorki o:

- matce, która boi się własnego syna, uzależnionego od gier komputerowych;
- Australiczykach, którzy głodzili swoją córkę;
- zdradzanej kobiecie, która nie potrafi odejść od partnera;
- mężu zazdrosnym o wibrator podarowany żonie przez jej koleżanki;

eprasa.pl 405bf1fd3a

– molestowaniu seksualnym dziewczynki przez ojca;
– chłopcu, który nie czuł się kochany przez rodziców;
– wróżce, która tak przepowiadała przyszłość, że zabrała czytelniczce Onetu męża;
– kobiecie porzuconej przez męża dla innego mężczyzny;
– uldze, która przychodzi wraz z rozwodem w podeszłym wieku;
– matce, która wstydzi się za swojego syna, bo ten porzucił żonę i dziecko;
– romansie podwładnej z żonatym szefem;
– mężu, który wyszedł z psem z domu, a po chwili zadzwonił do żony, że ją zostawia;
– niestosownych, intymnych wiadomościach wysyłanych nastolatce z Francji przez jej ojczyma;
– Joannie, która zostawiła męża po 40 latach małżeństwa;
– matce mającej do siebie pretensje, że wyręczała syna w opiece nad chorym mężem;
– dziewczynie zmuszonej do aborcji przez matkę.

„Jakby potoczyło się moje życie, gdybym wtedy urodziła? Byłoby na pewno inne. Nie skończyłabym studiów, nie wyjechałabym z rodzinnego miasta. Czy byłabym szczęśliwa? Wątpię" – twierdzi bohaterka tego ostatniego tekstu.

ABORCJA I ZDRADA

Media RASP oczywiście w zdecydowanej większości opowiadają się za aborcją, najlepiej na żądanie. Jednoznacznie wartościowe są tu związki homoseksualne, dlatego autorzy Springera chcą, by były one legalne. Hetero? Małżeństwa? Nie zawsze. Może nawet rzadko. Liczy się spełnianie siebie i fizyczna przyjemność, nawet jeśli prowadzi do dramatów. W tej optyce rodzina jest źródłem problemów. „Dzieci się do mnie nie przyznają. Ale pieniądze biorą" – pisze w liście do redakcji jedna z czytelniczek (Onet, 31 maja).

„Pogarda matki nie musi definiować całego życia. Choć zostawia głębokie blizny, możliwe jest odnalezienie w sobie siły, by zbudować nową, lepszą przyszłość. Uznanie własnej wartości, niezależnie od tego, co mówiła matka, jest pierwszym krokiem do wolności" – czytamy w opublikowanym przez newsweek.pl 28 sierpnia br. fragmencie książki Nataszy Sochy „Udupione przez matki".

„A jeśli kryzysu nie udaje się przezwyciężyć i związek zaczyna się rozpadać, czy warto za wszelką cenę walczyć o to, by być razem?" – pyta szwedzka pisarka Moa Herngren (newsweek.pl, 23 maja br.). Oczywiście, że nie warto – odpowiada.

Rozwód jest więc szczęściem, wyzwoleniem. Na rozwód nigdy nie jest za późno.

„Najpierw latami żyją uśpieni. Wchodzą w związki, pracują, ale jak na automacie. I nagle po czterdziestce coś się zmienia. Pojawiają się kryzysy w związkach, w pracy, w życiu. Potrzeba zmian. Często dopiero rozwód bywa bodźcem, dzięki któremu dojrzałość staje się nowa, ekscytująca i pełna" (newsweek.pl, 5 lipca).

A co, jeśli jednak nie chcemy się tak od razu rozwieść? Można zdradzać. Dlatego „Kacper ma 36 lat i zdradza żonę regularnie", uważając przy tym, że jest wobec swoich kochanek „uczciwy, tak samo jak wobec żony" (newsweek.pl, 25 sierpnia br.). Dodajmy, że żona Kacpra ma dla niego czas tylko w nocy, bo wcześniej zajmuje się dziećmi.

FANTAZJE I ŻALE

Można też – a nawet trzeba – fantazjować o seksie.

„W trójkącie, w kinie, z obcym facetem spotkanym w sklepie albo z Pedro Pascalem – wachlarz kobiecych fantazji erotycznych jest bardzo szeroki. I wreszcie zaczynamy o nich mówić" – przekonuje autorka artykułu opublikowanego 21 września w „Newsweeku". Jest on poświęcony omówieniu książki „Pragnę" autorstwa znanej z ról w serialach „Z archwium X" i „Sex Education" Gillian Anderson. Wśród zanotowanych przez aktorkę fantazji były m.in. te o „zdradzeniu męża z jego najlepszym przyjacielem, seksie na kościelnym ołtarzu, a także różnych nietypowych upodobaniach [...] od seksu z humanoidalnym robotem, patrzenie na seks własnego męża z inną kobietą, aż po fantazje związane z karmieniem piersią".

> Media RASP w zdecydowanej większości opowiadają się za aborcją, najlepiej na żądanie. Jednoznacznie wartościowe są tu związki homoseksualne, dlatego autorzy Springera chcą, by były one legalne. Hetero? Małżeństwa? Nie zawsze. Może nawet rzadko. Liczy się spełnianie siebie i fizyczna przyjemność, nawet jeśli prowadzi do dramatów

Kobieta może więc realizować swój instynkt erotyczny na wiele sposobów. Inaczej ma się z instynktem macierzyńskim. Tego bowiem prawdopodobnie po prostu nie ma. Tak uważa np. Aleksandra Fabjańska, psycholog i psychoterapeutka, specjalistka od opieki okołoporodowej i założycielka Psychologicznej Szkoły Rodzenia. „Koncept instynktu macierzyńskiego zakłada, że kobieta nie musi uczyć się matkowania, tylko że ona już to wie, już to ma, kiedy rodzi się jej dziecko" – twierdzi, dodając, że „jest to konstrukt opresyjny" (Onet, 26 maja br.).

Skoro zdrada może być w porządku, a rozwód bywa rozwijającym przeżyciem, to dzieci mogą być opisywane jako problem. Media RASP są tutaj konsekwentne.

„Jestem bezdzietna i szczęśliwa. Jeśli istnieje jakaś inna wersja mojego życia, w której pcham wózek z dzieckiem, to teraz jej nie widzę – nawet jeśli przymknę oczy" – pisze w felietonie

eprasa.pl 405bf1fd3a

przedrukowanym 13 lipca br. przez businessinsider.com.pl z amerykańskiej wersji pisma niejaka Bobby Bearce.

Niemcy – tym razem dosłownie, bo chodzi o przedruk z „Die Welt" – objaśniają nam też znaczenie coraz popularniejszego podobno terminu „żałowanie macierzyństwa" (ang. „regretting motherhood"). Czynią to na przykładzie Wiebke Schenter. Jak czytamy w „Die Welt" via Onet, „największym wyzwaniem" jest dla niej „konieczność bycia dostępną przez cały czas i na zawsze".

„Już nigdy nie będę wolna – wzdycha, ale zamiast radzić sobie z tym uczuciem sama, jak robiła to na początku, idzie krok dalej i głośno o tym mówi" (Onet.pl, 28 września br.).

DINK I „MIT MATKI"

Żeby nie żałować macierzyństwa, najlepiej przejść na model DINK (double income, no kids – podwójny dochód, żadnych dzieci).

„Coraz więcej par na całym świecie, w tym także w Polsce, świadomie decyduje się na życie bez dzieci. Zjawisko to, określane mianem DINK, staje się tematem licznych dyskusji i badań. Co kryje się za tym terminem i dlaczego młodzi ludzie coraz częściej wybierają taki model życia?" – wyjaśniał 30 stycznia br. Onet.

Niestety nie wszyscy jeszcze to akceptują, nawet w oświeconych Niemczech. „Dlaczego kobiety dzisiaj nadal zmagają się z tak wielką presją społeczną, by zostać matkami?" – zastanawiał się dziennikarz tamtejszego „Die Welt".

„Mit matki wciąż trwa. Kobiecość i macierzyństwo są wciąż silnie ze sobą powiązane. Kobiety, które świadomie decydują się na życie bezdzietne, są częściej postrzegane jako egoistyczne lub niekompletne" – odpowiadała socjolog Claudia Rahnfeld. Jej przemyślenia przedstawił polskojęzycznej publiczności 18 lipca br. Fakt.pl. Dzięki temu mogliśmy dowiedzieć się, że zdaniem Rahnfeld „młode matki doświadczają niesamowitej samotności, głębokiej społecznej alienacji", a nie bez znaczenia dla niskiej dzietności „pozostają globalne problemy, takie jak kryzys klimatyczny czy obawy związane z konfliktami zbrojnymi".

W Polsce jest oczywiście jeszcze gorzej. „Dopytywania dziadków i ciotek o dzidziusia to pikuś w porównaniu z tym, co zaczyna się dziać wkrótce po porodzie. Mam wrażenie, że kobiety jeszcze długo będą traktowane jak maszynki do robienia dzieci, żeby uszczęśliwić wszystkich wokół. Kiedy moja Ania skończyła roczek, jak lawina zaczęły się pytania o drugie. Nie chcę mieć więcej dzieci, tak trudno to zrozumieć?" – czytamy w tak zwanym liście do redakcji opublikowanym przez serwis Onet.rodzina 25 września br.

Nadzieją na zmianę tej tragicznej sytuacji są celebryci, którzy „odważnie opowiadają" o swojej bezdzietności z wyboru. Takich publikacji w mediach RASP, potentacie w segmencie plotek i celebryctwa, jest oczywiście mnóstwo. W tym roku odbiorcy koncernu mogli zapoznać się z wyznaniami m.in. Tomasza Kammela, Beaty Pawlikowskiej, Olgi Bończyk, Aleksandry Kwaśniewskiej, Grażyny Torbickiej czy Magdaleny Cieleckiej.

Przykładem niech będą tutaj słowa trenerki personalnej Ewy Chodakowskiej, która czuła się poddawana presji otoczenia w związku ze swoją bezdzietnością, aż wreszcie przyszedł moment, „w którym poczuła wewnętrzną siłę, żeby się temu przeciwstawić i powiedzieć, że chce sama decydować o tym, jak będzie wyglądać jej życie, w jakiej roli się widzi, a w jakiej nie" (Onet.pl, 31 stycznia br.).

Na koniec: psieci, czyli zwierzęta zamiast dzieci. 17 sierpnia br. na Onecie opublikowano przedruk tekstu z magazynu „Pismo" o bezdzietności z wyboru. Znalazła się w nim opowieść Joanny, która na pytania o dziecko reaguje tak: „Odpowiadam, że mam czternastoletnią córkę Krysię i pokazuję w telefonie zdjęcie mojego konia. Koń nazywa się Kryza. Nie wszyscy podchwytują ten żart" – mówi.

Joannę cieszy to, że kobiety wreszcie mogą decydować, czy chcą, czy nie chcą mieć dzieci. „Wcześniej mężczyźni mogli wybierać najlepsze kąski ze szwedzkiego stołu życia, a kobiety miały wydzielony tylko mały stolik w kącie sali i jedno danie do wyboru: macierzyństwo. Teraz ten stół jest wspólny. Joanna wybrała z niego wolność od dzieci".

Zapytaliśmy RASP, czy firma ma politykę dotyczącą przedstawiania problematyki związanej z dzietnością, macierzyństwem albo związkami. Poprosiliśmy też o odpowiedź, czy szefostwo koncernu zgadza się z tezą, że w jego mediach promuje się bezdzietność z wyboru, a także dlaczego w portalach i gazetach RASP jest tak wiele materiałów w pozytywnym lub neutralnym kontekście przedstawiających zdradę małżeńską, bycie singlem, bezdzietność. Do chwili zamknięcia tego wydania tygodnika „Sieci" odpowiedzi nie było.

REKLAMA

18/0925/F

eprasa.pl 405bf1fd3a

Fot. Ludmyła Skwarczyńska

Numer Hołowni

Próba ucieczki marszałka Sejmu z polityki wynika głównie z tego, że ma serdecznie dość Donalda Tuska

STANISŁAW JANECKI

Kiedy 8 lipca 2025 r. w radiu TOK FM Szymon Hołownia stwierdził: „Być może bardziej nadaję się do ONZ niż do tej durnej polskiej nawalanki politycznej”, nikt właściwie nie potraktował tego poważnie. Ale po 11 tygodniach okazało się, że być może była to jego „złota myśl”.

29 września marszałek Sejmu umieścił na Facebooku „List do wszystkich, z którymi od sześciu lat idziemy drogą Polski 2050”. Najważniejsza w nim była informacja, że 26 września 2025 r. złożył „aplikację w publicznym naborze ogłoszonym przez Sekretarza Generalnego ONZ Antonio Guterresa na funkcję Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców (UNHCR)”. To prawdziwa bomba, która przykryła inną ważną informację z tego listu, że nie będzie „kandydował na przewodniczącego Polski 2050 w styczniowych wyborach”.

Od razu pojawiły się spekulacje, że Szymon Hołownia ma dość krajowej polityki. Że przestał widzieć sens w prowadzeniu własnego projektu, czyli partii Polska 2050. Że musiało stać się coś, co nim wstrząsnęło. Być może było to sondażowe poparcie dla jego partii na poziomie 2,1 proc. (w sondażu IBRIS dla „Rzeczpospolitej”). A po decyzji o odejściu Hołowni to poparcie spadło do 1 proc.

W kręgu najbliższych współpracowników Szymona Hołowni za główny powód jego decyzji uważa się Donalda Tuska. Obecny marszałek Sejmu miał dostać informacje, że premier „nie ustanie, dopóki go nie zniszczy” i miałaby to być zemsta, jakiej nie doznali w przeszłości nawet Paweł Piskorski i Grzegorz Schetyna – a oni zostali potraktowani przez Tuska wyjątkowo okrutnie. I Szymon Hołownia miał dość perspektywy bycia niszczonym przez najbliższe dwa lata.

Tylko nieliczni spekulowali, że twórca Polski 2050, współtwórca Trzeciej Drogi, ojciec sukcesu rządzącej koalicji

Autopromocja

eprasa.pl 405bf1fd3a

w wyborach parlamentarnych w 2023 r. i marszałek Sejmu może chcieć ukoronować swoją polityczną karierę stanowiskiem, jakiego nie zajmował żaden Polak. I miałoby to wynikać z jego wyjątkowo rozbuchanego ego.

W każdym razie jedna z najbardziej spektakularnych politycznych karier ostatnich lat znalazła się na zakręcie. Nieżyczliwi Szymonowi Hołowni uważają, że on tego zakrętu „nie wyrobi" i na zawsze wypadnie z polskiej polityki, a przecież ma dopiero 49 lat. Sam marszałek czuje gorycz: „Za ostatnich kilka miesięcy zapłaciłem dużą osobistą cenę. [...] Nadal uważam, że to dobrze, że udało się przeprowadzić Polskę bezpiecznie przez ryzyko dramatycznego w skutkach konstytucyjnego kryzysu". Faktem jest, że nie poparł „zamachu stanu", którym byłaby odmowa zaprzysiężenia prezydenta Karola Nawrockiego. Ale ten etap w polskiej polityce wcale się jeszcze nie skończył. Prezydenta Nawrockiego wciąż się delegitymizuje, a marszałkowi Hołowni grozi się odwetem i zemstą.

SYMETRYSTA BEZ SYMETRII

W swoim liście Szymon Hołownia napisał: „Powtarzałem Wam tysiące razy: najważniejszym zadaniem szefa jest szukać nie zastępcy, a następcy. Szukać mądrzejszych, silniejszych, bardziej kreatywnych od siebie. I nie po to, żeby ich wybić, by nie stanowili konkurencji, ale by wynieść ich na piedestał, dać im szansę, by oni dali z siebie to, co najlepsze. [...] Na dwa lata przed wyborami mam odwagę powiedzieć: »etap założyciela« w Polsce 2050 się skończył. Czas na nowe przywództwo. Nowe wizje. Nowe siły".

Te słowa potraktowano przeważnie jako piękonoduchowskie tłumaczenie przegranego. Wątpliwości budzi też przekonanie Szymona Hołowni, że jest i będzie łącznikiem między politycznymi światami Donalda Tuska oraz Jarosława Kaczyńskiego. „Jeżdżąc w kampanii do najmniejszych polskich miast i wsi, słyszałem: »A dlaczego pan z tym Tuskiem?!«, wracając do Warszawy, z miejsca dostawałem: »A dlaczego pan rozmawia z Kaczyńskim?!«. Cóż, nadal rozmawiał będę z Donaldem Tuskiem. I – jeśli będzie taka potrzeba – z Jarosławem Kaczyńskim. Nie zapiszę się do jednego z polityczno-medialnych chorych na nienawiść plemion. Zabijajcie się, jak chcecie, plujcie jadem, traćcie czas – beze mnie. Obozy mogą być dwa, ale Polska wciąż jest jedna. [...] Nie szukajcie dziś wojny w kraju. Mało mamy tej, która dotyka już, a czasem przekracza, nasze polskie granice?" – dramatyzował w liście Hołownia.

Obecny jeszcze marszałek Sejmu kreuje się na symetrystę, dążącego do zakończenia wojny polsko-polskiej, choć chyba wie, że tu nie ma symetrii. Sam zresztą poznał skutki przeciwstawienia się „demokracji walczącej", w której implementacji Sejm miał duży udział przez ostatnie prawie dwa lata. I temu jako marszałek izby niższej nie zdołał lub nie chciał się przeciwstawić.

Ładnie brzmią słowa, że jest „dumny z tego, a nie zakłopotany tym, że ma dobre – i mogę chyba powiedzieć: serdeczne – relacje zarówno z polskim premierem, jak i polskim prezydentem. Nie zgadzamy się i z jednym, i z drugim w wielu kwestiach, spieramy się, ale jest – i to częsta – rozmowa. O rzeczach, nie o emocjach. O rzeczach ważnych dla ludzi. I z jednej, i z drugiej dziesięciomilionowej Polski. I z tej trzeciej (tych samych rozmiarów), która ani tej, ani tamtej nie rozumie. To nie naiwność. To normalność. Wielu rzeczy nie umiem, ale umiem rozmawiać, a nie umiem nienawidzić. Dziś dla wielu po tzw. naszej stronie, to wada. Nie będę spowiadał się z tego, czego za grzech nie uważam".

Szymon Hołownia wie jednak na pewno, że podziały nie wynikają z różnic charakterów czy rozbuchanych emocji, lecz z fundamentalnej różnicy w kwestii suwerenności i niepodległości Polski. To jest przecież spór o to, czy nasz kraj ma być jedną z prowincji w niemieckiej Europie, czy jednym z liderów Europy jako najsilniejszy element w jej środkowo-wschodniej części.

eprasa.pl 405bf1fd3a

UCIECZKA OD DONALDA TUSKA

Dlaczego funkcja Wysokiego Komisarza ONZ ds. Uchodźców stała się celem Szymona Hołowni? „Temat wsparcia humanitarnego znam lepiej niż politykę, bo zajmowałem się nim dwa razy dłużej, rozwijając moje fundacje na całym świecie. Te dwa lata nauczyły mnie zaś budować więź między państwami. Nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć, jak ważne byłoby dodanie do tego ogromnego wyzwania polskiej i szerzej – wschodniej i północnoeuropejskiej perspektywy". O tym, że nie jest to jakiś dziwny skok ambicji, ma świadczyć poparcie, jakiego udzielają Hołowni prezydent, premier oraz wicepremier i minister spraw zagranicznych, „uruchamiając osobiste kontakty i całą naszą dyplomatyczną maszynę".

Marszałek Sejmu jest jednak realistą: „Szanse na dziś nie są wielkie, ONZ to skomplikowany, nieprzewidywalny świat. Jednak tydzień temu, gdy zaczynaliśmy ten proces, nie było ich wcale". Szymon Hołownia wskazuje na motyw ucieczki: „A mi – przyznam – po całym tym szambie, przez które przeszedłem, radość daje myśl, że mógłbym znów znaleźć się tam, gdzie można skupić się na języku, który znam z mojego »poprzedniego« życia, a który rozumie każdy człowiek, niezależnie od poglądów, wyznania, języka czy koloru skóry: języka chleba, opatrunku, przytulenia, nadziei".

Czy od „poprzedniego" życia na pewno da się uciec, szczególnie gdy projekt z ONZ nie wypali? Szymon Hołownia zostawił sobie furtkę – to zgoda na objęcie z puli Polski 2050 stanowiska wicemarszałka Sejmu. Tyle że to stanowisko nie daje mu polisy bezpieczeństwa, którą zapewniała funkcja marszałka. Donald Tusk nie mógł mu właściwie nic zrobić, nawet gdy dochodziło do kolizji między nimi. Wicemarszałkowi też formalnie nie może nic zrobić, ale może się znacznie efektywniej mścić. Premier Tusk mógłby zrobić Hołowni najwięcej złego, gdyby ten wszedł do rządu, np. objął funkcję wicepremiera i ministra kultury. Ale marszałek nie dał premierowi takiej okazji. Chyba zresztą nie ma złudzeń, mimo zapewnień o „serdecznych relacjach". Ale Tusk nie wybacza nigdy, a lista jego „ofiar" jest długa, wystarczy przypomnieć najważniejsze: Maciej Płażyński, Andrzej Olechowski, Paweł Piskorski, Zyta Gilowska, Grzegorz Schetyna, Jan Rokita.

Szymon Hołownia wie, że Tusk nigdy mu nie odpuści. Ale przede wszystkim miał już serdecznie dość premiera i przewodniczącego Platformy Obywatelskiej. Bo to przede wszystkim on zamienia w piekło życie tych, z którymi współpracuje. To jest uroczy „dziadziuś" tylko w tandetnych obrazkach mających ocieplić wizerunek. W rzeczywistości dla tych, którym dopiekł, jest strasznym „dziadem".

> Szymon Hołownia wie jednak na pewno, że podziały nie wynikają z różnic charakterów czy rozbuchanych emocji, lecz z fundamentalnej różnicy w kwestii suwerenności i niepodległości Polski. To jest przecież spór o to, czy nasz kraj ma być jedną z prowincji w niemieckiej Europie, czy jednym z liderów Europy

NIE MA UCIECZKI OD POLITYKI

„Poprowadziłem Was do zwycięstwa w 2023 r., do zwycięstwa w 2027 poprowadzi Was kto inny. Bo 2023 roku już nie ma. Przez te dwa lata świat zmienił się o całe dekady. Za kolejne dwa – będziemy znów o parę dekad do przodu. Powtarzanie starych zaklęć: »byle nie PiS«, »byle nie PO«, już Polsce nie wystarczy. Czas dodać nowe wrażliwości, punkty widzenia, zasoby, tak by jeszcze odważniej, a co najważniejsze: skuteczniej przekonywać, że jest życie, jest nadzieja poza polaryzacją. Że są rzeczy, które po prostu trzeba załatwić dla naszych dzieci, razem, a nie tracić energię na durne domowe wojny o to, co śmiertelnie poróżniło nas dwadzieścia lat temu" – napisał Szymon Hołownia.

Nic nie napisał o alternatywnym scenariuszu. Chyba nie jest prawdą, że „nie ma znaczenia, czy będę wicemarszałkiem Sejmu, »zwykłym« posłem, czy »nikim« politycznie nie będę". To jednak ma znaczenie, dlatego Szymon Hołownia raczej nie wycofa się ze swojego aktualnego zadania: stworzenia nowej Trzeciej Drogi, która może zdecydować o tym, kto będzie rządził Polską po wyborach parlamentarnych w 2027 r. Wprawdzie zapewnia: „Zostanę z Wami tak długo, jak będziecie mnie jeszcze potrzebować. Z drugiego rzędu będę wspierał, pomagał. Może zainspiruję?", ale w partii, której niedługo przestanie przewodniczyć, ma sporo przeciwników.

W sejmowej reprezentacji jest ich połowa. Z nimi raczej nie dałoby się już zrobić niczego wymagającego odwagi i samodzielności. Zresztą chyba tylko czekają na transfer do Koalicji Obywatelskiej. Dlatego nowa Trzecia Droga ma bazować na zupełnie nowych ludziach i nowych siłach, a lojalni wobec obecnego przewodniczącego członkowie byliby tylko jej częścią. Ta nowa Trzecia Droga jest tworzona przede wszystkim po to, by Szymon Hołownia nie był po wyborach w 2027 r. skazany na Donalda Tuska (jeśli oczywiście nie powiedzie mu się z planem pracy w ONZ). Każdy, kto doświadczył współpracy z obecnym premierem, a nie chce być jego Kierwińskim czy Gawkowskim, woli się wyzwolić z tego „związku", a nie pogłębiać poddaństwo.

Oczywiście istnieje możliwość, że Szymon Hołownia ma prostu dość polityki. Tyle że on nie ma już powrotu do świata poza polityką. Sprawował zbyt ważne funkcje i odgrywał zbyt ważne role. A nie może też być niepolitycznym politykiem. Zapowiedział zresztą: „Będę wspierał moje koleżanki i kolegów z partii. Odwiedzał Was w regionach. Pomagał ogarniać boisko, na którym to Wy będziecie wygrywać Wasze mecze. Pilnując też reguł gry".

Autopromocja

eprasa.pl 405bf1fd3a

Nowe e-wydanie wSIECI HISTORII w prezencie!

- Blaski i cienie Jagiellonów
- Klejnoty wielkich kobiet historii
- Słynne karabiny w historii wojen

Zamów subskrypcję

SIECI i wPolityce.pl Premium + 50% taniej

Zamów już dziś na **siec.wpolityce.pl/oferta**

ZESKANUJ KOD
I DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ

Afera na cmentarzu

Gdańska prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie ustawienia wartego ponad 50 mln zł przetargu na zarządzanie cmentarzami. Za nekropolie z ramienia miasta odpowiada Barbara Tusk, siostrzenica premiera Polski

PIOTR FILIPCZYK

Platformerski samorząd w działaniu – tak najkrócej można streścić gdańską „aferę cmentarną". Mamy tutaj przekazanie części obowiązków miasta usadowionej w tymże mieście od lat firmie, kolosalne pieniądze wypływające z publicznego skarbca do prywatnych kieszeni i kompletny brak transparentności. A na dodatek niczym wisienka na torcie w sprawie tej pojawia się Tusk. A konkretnie: Barbara Tusk, siostrzenica premiera Rzeczypospolitej.

Ale od początku. Przedsiębiorstwo Produkcyjno-Usługowe „Zieleń" rozpoczęło swój żywot w 1992 r. jako spółka pracownicza powstała z przekształcenia Miejskiego Przedsiębiorstwa Zieleni. Jak czytamy na stronie internetowej Zieleni, od 1992 r. spółka „prowadzi administrację cmentarzy komunalnych w Gdańsku". Jednocześnie konkuruje na rynku pogrzebów z mniejszymi podmiotami.

Prywatyzacja usług komunalnych to normalna rzecz w szalonych latach 90. Czy jednak dzisiaj nadal musi być tak, że to prywatna spółka, a nie samorząd prowadzi typowo komunalną działalność, jaką jest utrzymanie cmentarzy? Choć wcale nie jest to w Polsce regułą, to zdaniem władz Gdańska tak właśnie być musi.

70 HEKTARÓW I DWA LATA

Dlatego 25 stycznia 2023 r. ogłoszono kolejny przetarg na utrzymanie i administrowanie cmentarzami komunalnymi w mieście na cztery lata. W specyfikacji znalazł się zapis, że o udzielenie zamówienia mogą się ubiegać wykonawcy, którzy „w okresie ostatnich 3 lat przed upływem terminu składania ofert, a jeżeli okres prowadzenia działalności jest krótszy – w tym okresie, wykonali lub nadal wykonują: a) minimum jedno zamówienie polegające na utrzymaniu cmentarzy komunalnych przez okres minimum 2 lat, o łącznej powierzchni minimum 70 ha, b) minimum jedno zamówienie polegające na wykonywaniu czynności administracyjnych na terenie cmentarzy komunalnych, o wartości minimum 2 000 000,00 zł brutto".

W Gdańsku od lat cmentarzami zajmuje się spółka Zieleń. To jasne, że lokalnie tylko ona mogła wykazać, iż przez minimum dwa lata utrzymywała cmentarze o łącznej powierzchni minimum 70 ha (w Gdańsku największe nekropolie, czyli Łostowice i Srebrzysko, liczą w sumie 78 ha). Zieleń jako jedyna przystąpiła do przetargu. Wygrała, choć zażądała za usługę 54,8 mln zł, a więc o ponad 5 mln więcej, niż chciało zapłacić miasto i o prawie 24 mln więcej, niż za tą samą pracę zarobiła jako zwycięzca przetargu na lata 2019–2023.

„Przetarg na zarządzanie naszymi cmentarzami został tak przygotowany, że wygrać go mogła tylko jedna firma, bo nikt inny w całej Polsce nie spełniał kryteriów pozwalających na wzięcie w nim udziału. Tym kryterium było wcześniejsze minimum dwuletnie zarządzanie cmentarzami o powierzchni minimum 70 ha, i to w ramach jednego zamówienia. Jeżeli to nie był ustawiony przetarg, to mi kaktus na dłoni wyrośnie" – mówił na konferencji prasowej poseł PiS Kacper Płażyński. Konkurencja Zieleni powiedziała bowiem: „Dość", zwróciła się o pomoc do parlamentarzysty i otwarcie wystąpiła przeciwko władzom miasta. Przedstawicielki biznesowych rywali Zieleni stały na briefingu obok Płażyńskiego.

Fot. Robson90/Shutterstock.com

eprasa.pl 405bf1fd3a

Z TYCH TUSKÓW

O Barbarze Tusk zrobiło się głośno, kiedy prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz zdecydowała o podziale Gdańskiego Zarządu Dróg i Zieleni na dwie odrębne instytucje: Gdański Zarząd Dróg i Gdański Zarząd Zieleni. Tą drugą od stycznia 2026 r. ma zarządzać właśnie córka Soni Tusk, tłumaczki języka niemieckiego, a prywatnie – siostry premiera.

„Rodzina na swoim" – komentowali politycy i zwolennicy opozycji, wskazując na – ich zdaniem – niestosowną sytuację.

Dodajmy od razu: w tym akurat wypadku ostra krytyka była raczej nietrafiona. Owszem, podobnie jak w przypadku syna premiera Michała Tuska, który pracuje w Urzędzie Marszałkowskim w Gdańsku, mamy do czynienia z niezręczną sytuacją, ale nie ma mowy o zatrudnieniu po znajomości osoby niekompetentnej. Barbara Tusk jest z wykształcenia architektem i urbanistką, ma na swoim koncie sporo dużych projektów, a w GZDiZ pracuje od lat. Zakres obowiązków i kompetencji Tusk nie zmienią się zresztą po utworzeniu nowej instytucji. Dzisiaj siostrzenica premiera jest zastępcą dyrektora GZDiZ ds. przestrzeni publicznej, odpowiada m.in. za zieleń miejską i cmentarze. Będzie to robić, tylko z nową funkcją i pewnie pensją, także jako „pełnoprawny" dyrektor.

Co ciekawe, Barbara Tusk objęła zajmowane obecnie stanowisko po tym, jak prezydent Aleksandra Dulkiewicz wyrzuciła z pracy poprzedniego wicedyrektora GZDiZ Michała Szymańskiego. Zdaniem władz miasta ponosił on odpowiedzialność za aferę „owca gate", związaną z – a jakże – ustawionym przetargiem. Chodziło o wspaniały, ekologiczny projekt „Opływ na Wypasie". Polegał on na tym, że, zamiast kosić trawę nad Motławą, miasto wynajęło owce, które miały ją zjeść. Przetarg wygrała firma zajmująca się... pracami ziemnymi, która podnajęła zwierzęta od innej spółki. W jej zarządzie zasiadał... pracownik ZDiZ. Tego było już za dużo nawet jak na Gdańsk.

TAK PRZEJRZYŚCIE, ŻE NIC NIE WIDAĆ

Barbara Tusk została wicedyrektorem GZDiZ z końcem 2022 r. Odpowiadała więc za gdańskie cmentarze w czasie, kiedy ogłoszono przetarg będący obecnie przedmiotem prokuratorskiego śledztwa. Według widniejącej na stronie GZDiZ struktury organizacyjnej instytucji w pionie Zastępcy Dyrektora ds. Przestrzeni Publicznej znajduje się Biuro Zieleni, a w nim odpowiadający za „zarządzanie cmentarzami komunalnymi, ich nadzór i bieżące utrzymanie" Dział Pomników, Cmentarzy i Obiektów Rekreacyjnych. Z kolei „obsługa formalno-prawna postępowań o udzielanie zamówień publicznych, m.in. przygotowaniem projektów specyfikacji istotnych warunków zamówienia i pozostałych niezbędnych w procesie przetargowym dokumentów" znajduje się w gestii podlegającego Dyrektorowi Naczelnemu Działu Zamówień Publicznych.

Według pisma, które poseł Kacper Płażyński otrzymał z miasta, w GZDiZ „odpowiedzialność za przeprowadzenie postępowania o udzielenie zamówienia publicznego spoczywa na Dyrektorze tej jednostki [...]". Jednocześnie, jak poinformował wiceprezydent Piotr Kryszewski, „przed wszczęciem przez GZDiZ postępowania o udzielenie zamówienia publicznego [...] w dziale merytorycznym GZDiZ (którym był Dział Pomników, Cmentarzy i Obiektów Rekreacyjnych) dokonano zgodnie z art. 83 PZP analizy potrzeb i wymagań Zamawiającego". Z pisma wynika, że tę analizę przeprowadzono w 2022 r.

Mamy więc następującą sytuację: niewątpliwie przetarg ogłoszono w czasie, kiedy za cmentarze odpowiadała Barbara Tusk. Analizę wykonano jednak w 2022 r. – do sierpnia tego roku wicedyrektorem GZDiZ był urzędnik zwolniony za „owca gate". Formalnie odpowiedzialność za zamówienia publiczne spoczywa zaś na dyrektorze naczelnym, który z końcem roku przechodzi na emeryturę.

Czy Barbara Tusk uczestniczyła więc w jakiś sposób w przygotowaniu zamówienia? Jeśli tak – w jakim zakresie? Rzecz jest skomplikowana i delikatna, zapytaliśmy więc o to w GZDiZ.

– Mamy 14 dni na udzielenie odpowiedzi i w takim trybie ją wyślemy – usłyszeliśmy po kilku dniach oczekiwania od Zygmunta Gołębia, rzecznika prasowego GZDiZ.

PRZESŁUCHIWANIE ŚWIADKÓW

Do chwili zamknięcia tego wydania naszego tygodnika odpowiedzi nie dotarły. Nie wiemy więc także – bo i o to pytaliśmy – czy GZDiZ jest w stanie pokazać jakąkolwiek firmę w Polsce inną niż Zieleń, która mogłaby spełnić stawiane przez zamawiającego warunki i wygrać przetarg z 2023 r. Takie samo pytanie zadał władzom Gdańska Kacper Płażyński.

W odpowiedzi urzędnicy zarzucili parlamentarzyście, że myli „zarządzanie" cmentarzem z „administrowaniem" nekropolią i podali przykłady miast, gdzie administrowaniem zajmują się prywatne firmy. „W związku z powyższym można jednoznacznie stwierdzić, że GZDiZ nie adresował postępowania do jednego wykonawcy, gdyż rozpoznanie rynku potwierdziło, że istnieje grono firm mogących podjąć się tego zadania" – czytamy w stanowisku miasta. Jakie to konkretnie firmy? Nie wiadomo.

„My pytaliśmy o jedną bardzo ważną rzecz, taką chyba najbardziej oczywistą: żeby podali przykłady innych firm niż spółka Zieleń, które te wymagania przetargowe spełniają" – mówił na kolejnej, lipcowej konferencji prasowej Płażyński. „W większości dane zawarte w odpowiedzi są po prostu bzdurą. Nie wynika z niej, że jakakolwiek inna firma w Polsce byłaby w stanie te naprawdę wyśrubowane wymagania przetargowe spełnić. Poza spółką Zieleń" – podkreślił. I zawiadomił prokuraturę o możliwości popełnienia przestępstwa. Ta ku zdziwieniu uważnych obserwatorów gdańskiej polityki 8 sierpnia wszczęła śledztwo.

– Pozostaje ono w toku i jest prowadzone w sprawie, co oznacza, że nikomu nie przedstawiono zarzutów – powiedział nam rzecznik Prokuratury Okręgowej w Gdańsku prokurator Mariusz Duszyński. – W toku prowadzonego śledztwa przesłuchano przedstawicieli zakładów pogrzebowych, którzy zgłosili zastrzeżenia do sposobu przeprowadzenia przetargu, a także przedstawiciela GZDiZ. Obecnie trwa gromadzenie dokumentacji oraz przesłuchiwanie kolejnych świadków celem zweryfikowania okoliczności wskazanych w zawiadomieniu. Na obecnym etapie postępowania nie można wskazać terminu jego zakończenia – podkreślił Duszyński.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Kozetka Rafała

Zbolały prezydent stolicy potrzebował terapii, a cóż może być dla niego lepszą terapią od entuzjastycznie reagującej widowni? Dopiero wtedy może się poczuć naprawdę bezpieczny i doceniony. Trzaskowskiemu jest to widocznie potrzebne, aby zachować zdrowie psychiczne

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Zorganizowany w Międzyzdrojach „zlot młodzieży" pod auspicjami Rafała Trzaskowskiego był tylko cieniem po jego dawnym Campusie Przyszłości. Zabrakło paru sponsorów, a i gości pojawiło się mniej niż poprzednio. Najwyraźniej główny bohater imprezy po swojej przegranej w wyborach prezydenckich przestał być już tak atrakcyjny jak kiedyś. Chciałby to jednak zmienić.

BAD BOY

Trzaskowski sprawiał wrażenie, że ciągle nie może pogodzić się z porażką. Fotel, na którym rozsiadł się na scenie w Międzyzdrojach, przypominał raczej kozetkę u psychoterapeuty. Prezydent stolicy ze zbolałą miną wylał na niej mnóstwo żółci, szukając winnych swojej przegranej. Był niczym rozkapryszony smarkacz, który najpierw zawalił mnóstwo rzeczy, ale potem zabrakło mu odwagi, aby się do tego przyznać. Na pytanie jednego ze słuchaczy, co czuł po ogłoszeniu wyników czerwcowych wyborów, odpowiedział, że ogarnęło go „totalne wk...rwienie", za co dostał rzęsiste brawa.

Ja nieco inaczej pamiętam ten historyczny wieczór. Trzaskowski, przedwcześnie ogłoszony triumfatorem wyborów, po prostu uciekł i potem nie pojawiał się publicznie przez kilka dni. Być może płakał – nie wiem tego – a może szukał porady u psychologa? W każdym razie dziś chce uchodzić za gościa, który twardo i bohatersko walczył, ale gdy został przez wszystkich opuszczony, mocno się z tego powodu „wk...rwił". I tyle.

Kto chce, niech wierzy w tę wersję wydarzeń – ja w każdym razie sądzę, że prezydent stolicy postanowił „zaimponować" młodzieży i jak przystało na rasowego dziadersa rzucił bluzgiem. W ten sposób chciał zapewne zademonstrować swój luz i wzbudzić powszechny podziw młodej widowni. Pokazać jej, że nie jest wymuskanym lalusiem, ale prawdziwym „bad boyem". I jakoś zamaskować smutny fakt, że tak naprawdę jest kompletnym looserem.

Może też być tak, że nasz nieszczęsny „bad boy" chciał zwrócić na siebie uwagę mediów i opinii publicznej. Byłby to jednak prawdziwy gest rozpaczy, gdyby się okazało, że Trzaskowskiemu pozostało już jedynie rzucanie bluzgami.

PRZYJACIELE I SPONSORZY

Jeszcze trzy miesiące temu Campusu miało w ogóle nie być. Trzaskowski był tak pewien wygranej w wyborach prezydenckich, że promującą go imprezę uznano najwyraźniej za niepotrzebną. Po co bowiem prezydentowi Polski jakiś Campus?

Oficjalnie rezygnację z wydarzenia tłumaczono zaangażowaniem młodych działaczy PO w kampanię wyborczą. Wszyscy z nich zakładali jednak, że Trzaskowski wygra. Rzeczywistość okazała się brutalna i „murowany faworyt" przegrał wybory. Postanowiono zatem utrzymać Campus przy życiu. Jednak przegranemu zawsze wiatr wieje w oczy, więc przygotowanie imprezy na ostatnią chwilę z pewnością nie było łatwe. Ostatecznie zorganizowano ją w wersji niskobudżetowej dla 300 osób pod nazwą Campus Academy w Międzyzdrojach. Lokalizacja na Pomorzu Zachodnim okazała się chyba nieprzypadkowa, skoro głównym animatorem przedsięwzięcia był pochodzący z tego regionu Sławomir Nitras.

Wśród partnerów wymienionych na stronie internetowej Campusu znalazła się m.in. Open Society Foundations George'a Sorosa oraz powiązana z niemiecką CDU Konrad Adenauer Stiftung. Daje to nam pewien obraz powiązań Trzaskowskiego. Z jednej strony mamy tu środowiska liberalnej lewicy reprezentowane przez fundację Sorosa, a z drugiej – obecny obóz rządzący w Niemczech. Widać więc, że na Trzaskowskim nie postawiono jeszcze krzyżyka. Skądinąd nic w tym dziwnego, jest to bowiem polityk, który ma w swoim portfolio 10 mln głosów zebranych podczas ostatnich wyborów.

Biznesowych partnerów reprezentowała m.in. Żabka (złośliwi sugerowali tu związki ze sprawą nocnej prohibicji

Fot. Campus Polska Przyszłości/x.com

eprasa.pl 405bf1fd3a

w Warszawie), Polskie Stowarzyszenie Energetyki Wiatrowej oraz dwie zagraniczne korporacje medyczne Lux Med oraz Medicover. To również może – choć nie musi – być pewną wskazówką co do sieci interesów bliskich Trzaskowskiemu.

Oprócz organizacji imprezy i znalezienia sponsorów równie ważnym zadaniem było zapewne nakłonienie do niej samego Trzaskowskiego, który po przegranych wyborach był przecież „totalnie wk...rwiony". Być może po kilku wizytach u psychoterapeuty udało się go przekonać, że nie wszystko jest jeszcze stracone i nie warto wywieszać białej flagi. Tym bardziej że jego nieformalny konkurent z Platformy Radosław Sikorski po wielu niedanych próbach wyraźnie szykuje się do startu w kolejnych wyborach prezydenckich, na co wskazuje choćby firmowany przez niego Zryw, opisywany jako nowa „inicjatywa społeczno-polityczna".

Trzaskowski zdecydował się więc pozostać w grze. Wprawdzie oberwał już po głowie podczas niedawnej awantury prohibicyjnej w Warszawie i mówi się, że ma stracić stanowisko wiceszefa PO, ale będzie próbował dalej. Nie wiadomo tylko, na ile jest to skutek jego urażonej ambicji, a na ile podszeptów różnych kół polityczno-biznesowych z Polski i zagranicy, które widzą w nim lepszą alternatywę zarówno dla obecnych rządów, jak i ewentualnej wymiany Tuska na Sikorskiego.

BOLEŚNIE SKRZYWDZONY

Trzaskowski ma pewną cechę, która z punktu widzenia jego stronników i protektorów jest zarazem zaletą i słabością. Chodzi o jego zupełnie niepohamowany egocentryzm i narcyzm. Zaleta polega na tym, że Trzaskowski jest łatwo sterowalny – wystarczy go komplementować i zręcznie naprowadzać w pożądaną stronę. Jednocześnie taki przewrażliwiony na swoim punkcie człowiek jest mało odporny na wszelkie przeciwności losu – jeśli cokolwiek idzie nie po jego myśli, natychmiast się obraża i zniechęca.

Widzieliśmy to jak na dłoni podczas ostatniej kampanii prezydenckiej. Trzaskowski z byle powodu musiał szukać porady u psychoterapeuty i kompletnie gubił się podczas zetknięcia z przeciwnikami. Jego głos nabierał histerycznego falsetu, gdy próbowano go przekrzyczeć na wiecu lub skandować przeciwko niemu. „Hej, brygado! Uśmiechnijcie się!" – pełen złości jazgot Trzaskowskiego przeszedł już do historii, stając się sloganem, memem ośmieszającym jego autora.

Prezydent stolicy chce być wyłącznie podziwiany i bardzo boleśnie odczuwa każde zetknięcie z rzeczywistością. Z tego powodu kampania wyborcza była dla niego traumatycznym przeżyciem, bo od razu doznał wstrząsu, gdy tylko wychylił się poza własną bańkę. Nic więc dziwnego, że na Campusie w Międzyzdrojach musiał się wyżalić widowni.

> Trzaskowski sprawiał wrażenie, że ciągle nie może się pogodzić z porażką. Prezydent stolicy ze zbolałą miną wylał z siebie mnóstwo żółci, szukając winnych swojej przegranej

Przede wszystkim Trzaskowski uważa, że stała mu się krzywda. Nie dlatego, że kompletnie odklejony ruszył zawojować Polskę, ale z tego powodu, że niedostatecznie go chroniono, chwalono i popierano. Jak bowiem inaczej tłumaczyć jego – zupełnie niedorzeczne – sugestie, że był obiektem krytyki liberalnych mediów? Tych samych, które nie brzydziły się publikacją najbardziej ohydnych wrzutek, aby tylko pogrążyć Karola Nawrockiego i utorować drogę do prezydentury Trzaskowskiemu. Dla niego to jednak było za mało.

Trudno powiedzieć, czego oczekiwał Trzaskowski. Być może publikacji pochwalnych wierszy na swój temat, a może ścisłej cenzury informacyjnej. Do tej ostatniej miał zresztą pewne skłonności, czego dowodem było konsekwentne wypraszanie z konferencji prawicowych dziennikarzy.

Obrażony był również na koalicjantów, wyłączywszy PSL, które „zachowało się jak trzeba". W szczególności nie mógł chyba zrozumieć, że Polska 2050 i Lewica wystawiły swoich kandydatów. I choć zarówno Szymon Hołownia, jak i Magdalena Biejat bez większych zastrzeżeń poparli go w drugiej turze, to i tak sam ich start musiał być dla niego niegodziwością.

SEANS PSYCHOTERAPEUTYCZNY

Przede wszystkim Trzaskowski ma jednak pretensje do wyborców o to, że nie poparli go w wystarczającym stopniu. „Moi koledzy geje głosują na Konfederację. Dlaczego to robią? Zastanówmy się. To jest do rozkminy dla nas wszystkich, nie tylko dla mnie" – powiedział swoim słuchaczom w Międzyzdrojach. Oczywiście żadnej „rozkminy" nie było, chodziło raczej o inny przekaz: zawiedliście mnie i teraz uderzcie się w piersi.

Co charakterystyczne, Trzaskowski nie obwinia za swoją porażkę Tuska, a to akurat byłoby uzasadnione. Wystarczy bowiem przypomnieć brawurową akcję premiera z Jackiem Murańskim („postać znana, także aktor w takich niedużych rolach"). Jednak prezydent stolicy nie jest aż tak odważny, żeby stawiać się Tuskowi.

Rzecz jasna starannie wyselekcjonowana widownia nie zadawała Trzaskowskiemu trudnych pytań. Bo i o to przecież chodziło. Zbolały prezydent stolicy potrzebował terapii, a cóż może być dla niego lepszą terapią od entuzjastycznie reagującej widowni? Dopiero wtedy może poczuć się naprawdę bezpieczny, doceniony i pogłaskany. Trzaskowskiemu jest to widocznie potrzebne, aby zachować zdrowie psychiczne.

Problem polega na tym, że on chciał zamienić całą Polskę w swoją salę terapeutyczną. Na szczęście nic z tego nie wyszło. Niech więc już pozostanie przy swoim Campusie. I niech wyjdzie mu on na zdrowie.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Wojna światowa o wolność słowa

Rząd Tuska przyjął projekt ustawy sprowadzającej się do powszechnego czytania cudzych listów i wiadomości, która ma oznaczać wdrażanie w Polsce cenzorskich przepisów unijnych znanych jako DSA

DARIUSZ MATUSZAK

Rankiem 29 września na lotnisku Okęcie, przy samolocie, który wylądował z Brukseli, zjawiła się policja, by zatrzymać Zbigniewa Ziobrę i doprowadzić go na posiedzenie ciała, które niektórzy nazywają sejmową komisją śledczą ds. Pegasusa, a inni – w tym Trybunał Konstytucyjny – uznają za zebranie posłów niemających żadnych uprawnień do prowadzenia jakiegokolwiek dochodzenia. Chodzi o decyzję zakupu i używania izraelskiego oprogramowania, które pozwala podsłuchiwać i przeglądać treści na urządzeniach elektronicznych inwigilowanych osób. Wedle (nie)komisji służby za czasów PiS podsłuchiwały sędziów, prokuratorów, dziennikarzy itp. oraz sprawdzały, jakie np. wiadomości i zdjęcia sobie przesyłają.

Dokładnie sześć dni wcześniej rząd przyjął projekt ustawy, który ma nie tylko pozwolić, lecz także nakazywać wskazanym przez Komisję Europejską platformom i przeglądarkom, takim jak X, Google czy Meta, które mają ponad 45 mln użytkowników miesięcznie, automatyczne przeglądanie i moderowanie treści jeszcze przed ich wysłaniem, aby nie można było publikować i rozsyłać tych, które jakieś instytucje rządowe mogą uznać za nielegalne. To mniej więcej tak jakby poczta sprawdzała listy, które chcemy wysłać, a operator sieci telefonicznej decydował o tym, co wolno nam mówić.

UNIJNY KNEBEL

Ta propozycja powszechnego czytania cudzych listów i wiadomości stanowi część większego pakietu projektów ustawy cenzorskiej, która ma oznaczać wdrażenie w Polsce cenzorskich przepisów unijnych znanych jako DSA

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 405bf1fd3a

– Digital Service Act (Akt o Usługach Cyfrowych). Zgodnie z nimi wszystkie kraje unijne do sierpnia br. mają wprowadzić cenzurę w internecie. Jak widać, termin minął, więc może władcy i właściciele Unii zaczną teraz nakładać na Polskę kary za nie dość gorliwą walkę z wolnością słowa. I nie chodzi o to, że obecny rząd szanuje i dba o swobodę głoszenia poglądów, tylko o to, że nie jest w stanie dotrzymać żadnych terminów i wprowadzać nawet szkodliwych i głupich przepisów, które sam wymyśla.

Dzień po akcji zatrzymania i doprowadzenia byłego ministra sprawiedliwości przed (nie)komisję nieuznawany przez rząd Trybunał Konstytucyjny uznał za niekonstytucyjną nowelizację Kodeksu karnego, która mówi o tzw. mowie nienawiści, czyli rozszerza katalog wypowiedzi i poglądów, które należy cenzurować i za które trzeba karać. Wątpliwości co do rozszerzania przepisów cenzorskich miał jeszcze prezydent Andrzej Duda, a Karol Nawrocki je podtrzymał. Sędzia sprawozdawca Justyn Piskorski tak uzasadniał orzeczenie TK: „Trybunał uznał, że o ile niedopuszczalność w przestrzeni publicznej wypowiedzi o charakterze obraźliwym wobec jakichkolwiek grup oraz jednostek publicznych nie budzi wątpliwości, o tyle ograniczenie wolności wyrażania poglądów przez ustanowienie typów czynów zabronionych o niedostatecznie określonych znamionach narusza konstytucyjną wolność słowa [...]. Istnieje ryzyko zakwalifikowania jako przestępstwa krytycznych uwag, polemik czy badań dotyczących tożsamości seksualnej, norm kulturowych, ruchów społecznych czy odnośnego ustawodawstwa [...]. Prawo karne nie powinno być narzędziem ograniczenia pluralizmu poglądów, wykluczając wypowiedzi o charakterze kontrowersyjnym, które są istotą demokratycznego dyskursu".

Rządzący nami obecnie chcieli, by prezydent i TK pozwolili wprowadzić przepisy przewidujące m.in. kary więzienia do 2, 3 i 5 lat za tzw. mowę nienawiści, w zależności od tego, czy zostanie ona zakwalifikowana jako zwykła zniewaga, czy bezprawna groźba. Przestępstwa miałyby być ścigane z urzędu – nawet zwykłe znieważenie. I tak np. jeśli bym napisał, że Szczerba jest intelektualnie wykluczony, to nie trzeba by było nawet reakcji europosła, tylko minister Żurek sam nasłałby na mnie swych prokuratorów.

CENZURA JAK ZA PRL

Mamy więc wojnę o wolność słowa i prawo do prywatności na całego. Oprócz imigracji i szaleństw Zielonego Ładu to jedna z najistotniejszy spraw, które mogą określić przyszłość Europy Zachodniej. Z wolności słowa, głoszenia dowolnych nawet i kontrowersyjnych czy głupich poglądów wywodzą się podstawowe prawa obywatelskie, jak choćby do wyboru władzy. Bez wiedzy, w warunkach narzuconych przez władzę kłamstw, bez dyskusji i wymiany argumentów nie da się bowiem dokonać takiego wyboru, a tym samym współdecydować o państwie, wspólnocie, w której się żyje.

Przyjęcie przez parlament i prezydenta projektu ustawy, którą 23 września zaproponował rząd, oznaczałoby powrót do cenzury – takiej, jaka była w PRL, więc nie dziwi, że owe przepisy opracował resort cyfryzacji dowodzony przez wicepremiera Krzysztofa Gawkowskiego. Stara miłość – do zamordyzmu – nie rdzewieje. Różnica między PRL a dziś byłaby tylko taka, że cenzura objęłaby internet, a nie to, co drukowane czy emitowane w tradycyjnych stacjach telewizyjnych i radiowych. To zmiana tylko techniczna, bo cały świat informacji i treści przeniósł się do sieci. Rolę PRL-owskiego Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w części pełniłby Prezes Urzędu Kontroli Elektronicznej (UKE), który jako organ państwa decydowałby, jakie treści miałyby być z sieci usuwane czy blokowane. W tym drugim przypadku chodzi np. o ograniczenie dostępu do treści – tak jak w czasach PRL – gdy niesłuszne książki mogły być drukowane w małym nakładzie, a niesłuszny film pokazywano w jakimś zatęchłym małym kinie.

Po zaprowadzeniu cenzury prezes UKE będzie miał do dyspozycji armię cenzorów i donosicieli, którzy będą przeczesywali sieć w poszukiwaniu nieprawidłowych czy nielegalnych treści. Część z nich to będą urzędnicy, policjanci, a także prawnicy, np. z powołanego jeszcze w czerwcu 2024 r. przy Prokuraturze Krajowej przez Adama Bodnara zespołu ds. przeciwdziałania mowie nienawiści i przestępstwom motywowanym uprzedzeniami. Dodatkowo cała armia donosicieli i prywatnych cenzorów z tzw. organizacji pozarządowych, czyli najczęściej utrzymywanych za pieniądze obcych rządów – tak jak w przypadku choćby wydawców „Krytyki Politycznej", którzy brali pieniądze od amerykańskiej administracji. Zresztą takie ciała, jak założony przez kryminalistę Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, były hojnie wspierane także przez słuszne władze państwowe i samorządowe.

„PIE…OL SIĘ W RYJ"

Na szczęście wolni Europejczycy mają w wojnie o wolność słowa wielkiego sojusznika – Stany Zjednoczone, ale tylko dlatego, że prezydentem został Donald Trump. Kamala Harris zapowiadała zaprowadzenie cenzury, jej administracja zlekceważyłaby drugą poprawkę do konstytucji gwarantującą wolność słowa i pod byle pretekstem przycisnęła media społecznościowe.

Komitet Sprawiedliwości Izby Reprezentantów (jak u nas komisja sejmowa) pod przewodnictwem Jima Jordana, z którym jeszcze jako kandydat spotkał się w Waszyngtonie Karol Nawrocki, wezwał Komisję Europejską do zaprzestania „eksportu cenzury" i uchylenia DSA i DMA – Aktu o Rynkach Cyfrowych. Na ich mocy Bruksela grozi firmom takim jak Meta i X Muska karami w wysokości 6 proc. ich globalnych dochodów, a nawet zablokowaniem ich działalności na terenie UE (pomińmy rozważania, czy to możliwe), jeśli nie zaprowadzą cenzury.

Dyskusja o cenzurze na nowo wybuchła w Kongresie po tym, gdy latem ukazał się raport Komitetu Sprawiedliwości. Wskazano w nim, że przepisy zawarte w DSA zachęcają gigantów mediów społecznościowych do stosowania cenzury prewencyjnej: „Niejasne, nadmiernie uciążliwe przepisy ukierunkowane na tzw. ryzyka systemowe tworzą środowisko, w którym platformy chętniej usuwają lub obniżają rangę zgodnych z prawem treści, aby uniknąć potencjalnych kar".

eprasa.pl 405bf1fd3a

Inaczej mówiąc, media społecznościowe na wszelki wypadek wolą zablokować czy ocenzurować jakieś treści, byle się nie narazić na kary i nie użerać z biurokratami. To oznacza zaprowadzanie cenzury systemowej. Takiej, która nie jest incydentem, ale na stałe dotyczy pewnych treści, np. o imigrantach, LGBT+, globalnym ociepleniu czy czymkolwiek, co unijni władcy akurat sobie wymyślą. Komitet stwierdził, że Unia zmienia standardy swobody wypowiedzi na całym świecie, a nie tylko na obszarze, którym włada.

Autorzy kongresowego raportu piszą, iż UE prowadzi „światową krucjatę" na rzecz zdławienia wolności słowa i zaprowadzenia międzynarodowej cenzury. Nie ma wątpliwości, że to, co wymyślą w Berlinie i Brukseli, to i w Warszawie zaordynuje obecny rząd. Nie ma takiej tandety intelektualnej, jakiej byśmy nie sprowadzili z Zachodu. Tam jest cenzura, to będzie i u nas – jasno oświecona, postępowa, wolnościowa i tolerancyjna. Słowacki pisał o Polsce: „Pawiem narodów i papugą byłaś". No więc będziemy papugą, tyle że z zawiązanym dziobem.

To brzmi jak żart, ale Unia chce decydować nawet o tym, co wolno publikować Amerykanom, co im wolno czytać, słuchać i oglądać. Jako przykład wskazano m.in. to, że w sierpniu 2024 r. ówczesny unijny komisarz rynku wewnętrznego Thierry Breton zażądał od Elona Muska, by ten ocenzurował swój wywiad z ponownie ubiegającym się o prezydenturę Donaldem Trumpem. Francuski cenzor na Europę w specjalnym piśmie domagał się od Muska, by usunął treści, które „promują nienawiść, nieporządek, podżeganie do przemocy lub pewne przypadki dezinformacji". Musk odpowiedział w swoim stylu, publikując na platformie X mem z komentarzem, który w swobodnym tłumaczeniu brzmi mniej więcej „Pie...ol się w ryj".

Nie wiemy, czy unijny komisarz skorzystał z rady, ale sprawa się rozmyła, a niecałe trzy miesiące później Trump znów został prezydentem. Gdyby nie jego wygrana, to UE z błogosławieństwem Harris by go cenzurowała, tak jak się stało w 2021 r.

Oczywiście pretekstem do dławienia wolności słowa jest mowa nienawiści i fake newsy, pod co można podciągnąć każdą wypowiedź, która się nie spodoba władcom i właścicielom Europy. Chodzi też o to, by prawo do kłamania, jak np. w sprawie ruskiego drona, który niby rozwalił dom w Wyrykach, miała tylko władza czy upoważnione przez nią media, a nie jacyś byle internauci. Chodzi też o sytuacje, jak rok temu w Kotlinie Kłodzkiej, kiedy chłopaka, który ośmielił się napisać w sieci, że władza nie radzi sobie z powodzią, zgarnęła policja. Szczęściem w nieszczęściu jest to, że w Europie nie powstało żadne znaczące medium społecznościowe. Te najważniejsze należą do firm amerykańskich, więc wolni obywatele Europy mają sojusznika w USA.

> Przyjęcie przez parlament i prezydenta projektu ustawy, którą 23 września zaproponował rząd, oznaczałoby powrót do cenzury – takiej, jaka była w PRL

OBRAZA NIEMIECKIEGO MAJESTATU

Zgodnie z propozycjami rządu Tuska prezes UKE, czyli naczelny cenzor kraju, ma współpracować z podobnymi ośrodkami dławienia swobody słowa w innych państwach. W Europie Zachodniej doświadczenie w tej materii jest ogromne. We Francji można trafić do więzienia za samo zniechęcanie kogoś do aborcji. Za głoszenie tzw. bigoterii religijnej grozi 1,25 mln euro grzywny. W odwiecznie demokratycznych i praworządnych Niemczech platformy, które nie usuną treści uznanych za nieprawidłowe, mogą zapłacić nawet 150 mln euro grzywny. Jak działa niemiecka cenzura, mógł przekonać się niedawno emerytowany sierżant wojskowy Stefan Niehoff. Pewnego dnia o 6.00 do drzwi jego domu na bawarskiej wsi załomotali funkcjonariusze policji z nakazem przeszukania posesji. Okazało się, że kilka miesięcy wcześniej opublikował on mema przedstawiającego ówczesnego wicepremiera, szefa Zielonych Roberta Habecka i butelkę niemieckiego szamponu do włosów „Schwarzkopf Professional". Tyle że oryginalną nazwę sierżant przerobił na „Schwachkopf Professional" – co tłumaczy się jako „profesjonalny idiota". Była rewizja, zarekwirowano sprzęt i ostatecznie po dziewięciu miesiącach śledztwa i rozpraw skazano go na 825 euro grzywny. Przestępca emeryt złamał prawo znane jako lèse-majesté – obraza majestatu, którym otoczeni są władcy Niemiec. Uznano, że Niehoff, sugerując, iż Habeck jest profesjonalnym idiotą, utrudnił mu sprawowanie urzędu.

Oczywiście problemy związane z sianiem bredni w sieci czy nawoływaniem do przestępstw są prawdziwe. Wpływ na to mają zasięg i szybkość, z jaką rozchodzą się treści. Stajemy przed realnymi dylematami. I tak np. prezydent Trump i sekretarz departamentu zdrowia Robert F. Kennedy Jr. ogłaszają, iż najnowsze badania wskazują, że przyjmowanie tylenolu przez kobiety w ciąży może narazić ich dzieci na autyzm. Lewicowe media rechoczą, a jakieś ciężarne idiotki garściami zaczynają łykać specyfiki z tylenolem, nagrywają z tego filmiki i wrzucają do sieci, byle wyszydzić Trumpa. Zablokować więc to, by kretyńska moda nie szerzyła się jak pożar, czy też zostawić? Stajemy przed poważnym wyborem. Wolność ma cenę, którą musimy zapłacić, ale czy powinna być nią ewentualna zgoda na nieszczęście dzieciaków? Nie ma wątpliwości, że fałszywe wiadomości mogą wyrządzić wiele szkód. Ale na szali mamy drugą wartość, którą jest wolność słowa, swoboda ekspresji i wypowiedzi. Lekarstwo nie może być gorsze od choroby. To, że są włamywacze, nie oznacza konieczności zakratowania wszystkich okien. To tak jakby zlikwidować przestępczość, zaprowadzając państwo policyjne jak w NRD. Ta idea akurat jest Niemcom – a więc całej Unii – coraz bliższa.

eprasa.pl 405bf1fd3a

„Wyborcza", czyli katastrofa

Rządy Donalda Tuska stanowią faktyczny koniec III RP – to bardzo popularna dzisiaj teza. Przeżyły się formy i pojęcia uznawane za dogmaty. Dawne autorytety wzbudzają śmiech, a nie respekt. Kończy się też hegemonia dawnych potęg medialnych. Najlepszym przypadkiem tego jest katastrofa, która dotknęła „Gazetę Wyborczą"

PIOTR GURSZTYN

„Jestem redaktorem naczelnym »Gazety Wyborczej«, największego dziennika między Łabą a Władywostokiem" – chwalił się kilkanaście lat temu Adam Michnik. Był to czas, gdy prawica – ta kulturowa i polityczna – była przytłoczona potęgą gazety z ulicy Czerskiej. Z prawej strony było słychać narzekania, że Polska jest „państwem jednej partii i jednej gazety". To określenie Cezarego Michalskiego, kiedyś znanego publicysty o poglądach zdecydowanie konserwatywnych, a potem postaci zapomnianej, gdy cały się przemalował i przeszedł na stronę, która dzisiaj nazywa się demokracją walczącą. Tą jedną partią była wówczas postkomunistyczna lewica „żelaznego kanclerza" Leszka Millera, a jedną gazetą – właśnie „Wyborcza". I tak jak spektakularnie zawaliła się potęga tamtej lewicy, tak od dawna ruiną jest „Gazeta Wyborcza".

Nie jest to gwałtowny krach, ale nieustanna erozja, która doprowadziła do tego, że dawna medialna potęga dziś pozostaje już tylko fanzinem środowisk, takich jak Silni Razem. Kiedyś kształtowała umysły polskiej inteligencji, dzisiaj musi być trybuną dla postaci, takich jak Tomasz Piątek, Eliza Michalik czy dr Kontek.

SZAŁ NIE TYLKO WIELOWIEYSKIEJ

Furorę, jakiej pewnie sobie nie życzyła, zrobiła ostatnio Dominika Wielowieyska. Czołowa autorka polityczna „GW" prowadzi też audycje w radiu TOK FM. Po internecie krąży nagranie jej nienaturalnie emocjonalnego krzyku na posła PiS Piotra Kaletę: „Panie pośle, nie można w ten sposób! Czy możemy wyłączyć mikrofon panu posłowi?".

Zdarzenie zdawałoby się banalne, ale zdradzające jakieś niezdrowe emocje, które targają dziennikarką na widok polityków prawicy. W jej reakcji – co zauważyli liczni obserwatorzy – było coś nienaturalnego. „Wielowieyska wpadła w szał" – takie komentarze można było wyczytać. Sytuacja była raczej banalna. Wyrwany do tablicy w sprawie CPK Kaleta odpowiadał dość długo. Przerywał

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 405bf1fd3a

mu często i niezbyt grzecznie Jakub Stefaniak z PSL. Kaleta mu się odgryzał, ale ich interakcja nie wyszła poza ramy dość typowej sprzeczki między politykami występującymi w programie publicystycznym.

Złym jednak był tylko Kaleta. W mediach liberalnych jakoś tak się zdarza, że krzyki gospodarzy programów są zarezerwowane tylko dla polityków PiS. Także teraz, gdy prawica jest w opozycji. Szału prowadzących nie wzbudzają politycy koalicji, choć to oni są u władzy – a ponoć rolą mediów jest krytyka rządzących.

Tutaj trzeba dodać ważną uwagę – politycy PiS często występują w konwencji „wszyscy na jednego". Jeden prawicowiec kontra reprezentanci czterech partii koalicyjnych (KO, PSL, Lewica i Polska 2050). Podobnie u Wielowieyskiej, gdzie wprawdzie był polityk Konfederacji, ale milczał, więc cały długi fragment rozmowy przybrał charakter meczu do jednej bramki.

Neurotyczna reakcja Wielowieyskiej nie jest jednostkowym przypadkiem. Wywodząca się z „GW" Renata Grochal miała w ostatnim czasie przynajmniej dwie takie awantury. Raz wyprosiła ze studia prezydenckiego ministra Marcina Przydacza, a za drugim razem sam wyszedł od niej był szef MEN Przemysław Czarnek.

Mianownik jest tu wspólny i bardzo powszechny w tamtym środowisku medialnym. To frustracja, która uruchamia irracjonalne zachowania. Najbardziej spektakularny jest przypadek Wojciecha Czuchnowskiego. Człowieka, który choćby z racji wieku – ma 61 lat – powinien zachowywać się bardziej statecznie. On również jest jednym z czołowych autorów „GW". Twarzą tej redakcji, ale szersza opinia publiczna poznaje go jedynie z powtarzających się ekscesów. Kiedyś nazwał Pawła Kukiza „zwykłą świnią". Potem wulgarnie obrażał Bogu ducha winnego żołnierza Żandarmerii Wojskowej regulującego ruch kolumny uprzywilejowanej na ulicach Warszawy. Czuchnowski wpadł w szał, bo żandarm nakazał chwilowe zatrzymanie jego samochodu.

W tym roku władze Sejmu ukarały go dwumiesięcznym zakazem wstępu do parlamentu za fizyczny atak na posła Dariusza Mateckiego. „Po analizie materiału wideo, po rozmowach ze strażnikiem, który był przy tym zajściu, obecny komendant podjął decyzję o zawieszeniu przepustki prawa wstępu na teren parlamentu panu redaktorowi Czuchnowskiemu na okres dwóch miesięcy ze względu na używane przez niego sformułowania i na zachowania, które w tym momencie prezentował" – informował marszałek Sejmu Szymon Hołownia.

„Tradycja żyje, w pałacu zasiada Debil 2.0" – to internetowy wpis Czuchnowskiego o prezydencie Karolu Nawrockim. O szefie BBN pisał niedawno – „ta łajza Cenckiewicz" lub „psychol z tytułem ministra". Nazywał też Sławomira Cenckiewicza zdrajcą i osobą „z zaburzeniami" – choć to ostatnie chyba najbardziej pasuje do niego.

Wojciech Czuchnowski ze swym prostackim trollowaniem nie jest ewenementem w „GW". Raczej potwierdzeniem panującej tam normy. Jeden z wicenaczelnych Bartosz Wieliński nie cierpi jeszcze na koprolalię taką jak Czuchnowski, ale również nie panuje nad swoimi frustracjami: „Stop Batyryzacji Polski". Albo „Jedni pojechali do ONZ, by walić w Rosję, inni, by walić snusy" – to wpisy osoby odpowiedzialnej w „GW" za dział zagraniczny.

Neurotyczna frustracja jest prawdopodobnie wynikiem kolejnych zawiedzionych nadziei. A te wynikają z wiary we własną propagandę. „Człowiek, który w przeszłości pomagał gangsterom, załatwiał prostytutki i tłukł się z kibolami, być może byłby partnerem dla watażków rządzących upadłymi państwami. Ale nie dla przywódców cywilizowanego świata, ludzi, którzy mają wpływ na nasze bezpieczeństwo" – pisał tuż przed wyborami prezydenckimi Wieliński. Czas szybko zweryfikował jego kompetencje analityczne. Chwilę temu oglądaliśmy nie tylko wizytę Karola Nawrockiego u życzliwego mu prezydenta Trumpa, lecz także jak przyjmowali go Ojciec Święty Leon XIV, premier Giorgia Meloni, prezydenci Litwy i Finlandii. Potem chłodno, ale grzecznie przywódcy Niemiec, a następnie prezydent Francji, który powitał gościa z Polski z uprzejmością większą niż niedawno okazał premierowi Tuskowi.

ZWALNIAJĄ I LIKWIDUJĄ

Niedługo Boże Narodzenie – ulubiony czas zwolnień grupowych w mediach koncernu „Agora". To kolejny powód frustracji ludzi pracujących w „GW". Ostatnie piętnastolecie to coroczna fala zwolnień grupowych. Ostatnia – tegoroczna – to wypowiedzenia dla ostatnich 50 drukarzy. W zeszłym roku redukcja objęła 180 pracowników.

W poprzednich latach „Wyborcza" bez zmrużenia oka wywalała najbardziej oddanych sobie dziennikarzy. Już mało kto pamięta, że „GW" miała kilkadziesiąt redakcji lokalnych. Dzięki nim wpływała także na regionalną politykę. One pierwsze poszły pod nóż, aby ratować redakcję warszawską. Wiele to nie dało, bo wypowiedzenia szybko zmasakrowały także personel zatrudniony w siedzibie przy ul. Czerskiej.

Wstrząsem dla środowiska medialnego w całej Polsce był tekst, który w 2009 r. opublikowała Luiza Zalewska w „Dzienniku. Polska–Europa–Świat". Opisała tam pierwszą wielką falę zwolnień w „GW". Była ona całkowitym zaskoczeniem, bo dotknęła dziennikarzy, którzy od początku byli związani z tytułem i czuli się tam pewnie. Mieli taką pozycję, iż sądzili, że im nie grozi wywalenie na bruk.

Zalewska opisała przypadek czołowego dziennikarza politycznego „GW", człowieka o dużym dorobku i już niemłodego. Mężczyzna doznał szoku nerwowego po tym, jak dostał wtedy wypowiedzenie. Rozpłakał się przy całej redakcji, kurczowo chwycił się biurka, tak że trzeba było go odrywać i wyprowadzić z dotychczasowego miejsca pracy. Na tamtej fali „Agora" zwolniła 300 osób.

Gdy wspomniana wyżej Renata Grochal była zwalniana w 2016 r., pracę razem z nią straciło ok. 190 pracowników. W przypadku Grochal współczuciem wykazał się jej redakcyjny kolega, który wtedy ocalał. Mowa o Pawle Wrońskim, dotychczasowym rzeczniku prasowym MSZ. Zaproponował on swoim przełożonym, aby solidarnie obciąć część wynagrodzeń tym, którzy nie stracili posad i w ten sposób wygospodarować pensję dla Grochal. Z jakichś powodów propozycja nie wzbudziła entuzjazmu, więc dziennikarka będąca wtedy twarzą „GW" jednak wylądowała na bruku.

eprasa.pl 405bf1fd3a

To tłumaczy, dlaczego wielu pracowników „Wyborczej" stara się o możliwość korzystnej ewakuacji. Wroński jest ofiarą własnego wpisu w mediach społecznościowych, gdzie napisał pod adresem jednej z awansujących polityczek PiS, że „lizała, lizała i się dolizała". Dzisiaj jego słowa są wykorzystywane przeciw niemu, bo od razu po wyborach 2023 r. wylądował u boku Radka Sikorskiego (dawno temu, gdy był wiceministrem w rządzie Jana Olszewskiego, „Wyborcza" opisywała go jako tępego oszołoma). Sikorski przygarnął z „GW" też Marcina Bosackiego, Konrada Niklewicza, Marcina Wojciechowskiego. Lista chętnych była i jest dłuższa, ale nie każdy dostąpił łaski zatrudnienia na rządowej posadzie.

TROPIENIE SWOICH

Przedmiotowe i nielojalne traktowanie pracowników miało miejsce w gazecie, która w kaznodziejski sposób pouczała całą Polskę, co jest moralne, a co nie. Hasło „Wyborczej" brzmiało: „Nam nie jest wszystko jedno".

Bezwzględności wobec własnych ludzi towarzyszy sekciarska atmosfera. Tropienie tych, którzy odstają od politycznej linii obowiązującej w danej chwili „po naszej stronie" (jak sami to określają). Dochodziło do groteskowych sytuacji, jak np. otwarty konflikt w 2021 r. o to, co jest bardziej prawdziwe w sieci: czy strona wyborcza.pl, czy jej dawny portal gazeta.pl. Przez pewien czas obie redakcje nie cytowały się nawzajem i nie linkowały swoich tekstów. Spór tlił się od dawna i nie chodziło tylko o dochody. Także o poglądy. W gazecie.pl wylądowali młodsi dziennikarze, gorzej wynagradzani i niekorzystający z dawnych przywilejów, których beneficjentami była stara gwardia „Wyborczej". Gazeta.pl, mniej establishmentowa, mocno lewicowa, próbowała utrzymywać pewien kontakt z rzeczywistością. Stara „Wyborcza" nie chciała rezygnować ze swojej kaznodziejsko-misjonarskiej metody urabiania czytelników. „Wyborcza" żądała, aby gazeta.pl pozbyła się ludzi, którzy pisali „nie po linii i nie na bazie". Chodziło np. o Grzegorza Sroczyńskiego, który budzi szczególną nienawiść jako tzw. symetrysta.

Sroczyński został zmarginalizowany, ale się obronił. Ideologiczna czystka powiodła się za to w powiązanym z „Wyborczą" radiu TOK FM. Najpierw zrezygnowano tam z zapraszania komentatorów o poglądach prawicowych. Potem wyrzucono tamtejszego „symetrystę", czyli Jana Wróbla. Kurczące się audytorium nie znosiło choć trochę odmiennych poglądów. Takich słuchaczy i czytelników wychowała sobie „Wyborcza".

> Niedługo Boże Narodzenie – ulubiony czas zwolnień grupowych w mediach koncernu „Agora". To kolejny powód frustracji ludzi pracujących w „GW". Ostatnie piętnastolecie to coroczna fala zwolnień grupowych. Ostatnia – tegoroczna – to wypowiedzenia dla ostatnich 50 drukarzy. W zeszłym roku redukcja objęła 180 pracowników

NA MARGINES DEBATY PUBLICZNEJ

Regresowi ekonomicznemu towarzyszy też degrengolada mentalna. Proces ten przyspieszył, gdy nieradząca sobie na zmieniającym się rynku „Wyborcza" wprowadziła tzw. paywall. Zrobiła to jako pierwsza w Polsce w lutym 2014 r. Przedstawia to jako sukces, bo dzisiaj chwali się 300 tys. wykupionych abonamentów. Sukces jest chyba mocno ograniczony, bo dzisiejsza „GW" jest mizernym cieniem tego, czym była przed laty. Jej wpływ na rzeczywistość polityczną i społeczną jest bliski zeru. A może nawet kontrskuteczny, co pokazał przebieg ostatnich wyborów prezydenckich.

Efektem było też to, że gros abonentów to czytelnicy najbardziej fanatyczni. Wytworzyło się sprzężenie zwrotne. Fanatycy żądali jeszcze większego fanatyzmu od swojego medium. Otrzymują to – co widać po „twórczości" autorów takich jak Czuchnowski czy Wieliński. Odpłynęli za to zrażeni fanatyzmem bardziej normalni czytelnicy.

Szaleństwo ogarnęło „Wyborczą" do tego stopnia, że promowała „rewelacje" niejakiego dr. Kontka. „Dr Krzysztof Kontek, związany z SGH specjalista od analiz statystycznych, zbadał anomalie w wynikach 2. tury wyborów prezydenckich. Do nieprawidłowości mogło dojść w 1482 obw. komisjach wyborczych, co mogło przełożyć się na 315-487 tys. głosów Nawrockiego" – entuzjazmował się Bartosz Wieliński. Dzisiaj już tego nie robi, bo dr Kontek – rozochocony nagłą sławą – zaczął pokazywać swoje prawdziwe oblicze. Oprócz wulgarnych wyzwisk, które wypisuje w mediach społecznościowych, zaczął głosić dziwaczne teorie. Np. to, że według niego nie było lądowania Amerykanów na Księżycu, lecz jedynie propagandowa mistyfikacja.

Zaznaczmy, że nie była to przypadkowa wpadka. Wcześniej Wojciech Czuchnowski promował Zbigniewa Stonogę, powtarzał jego fake newsy i nagłaśniał zbiórkę pieniędzy na kaucję dla niego.

Tak powoli kończy się historia „Wyborczej". Młodsze pokolenie, patrząc dzisiaj na groteskowego staruszka, jakim stał się Adam Michnik, nie wierzy, że ten człowiek bywał demiurgiem wpływającym na polską rzeczywistość. Rozwój nowoczesnych mediów zepchnął „Wyborczą" na margines debaty publicznej. A jej sfrustrowani, niepanujący nad swoimi emocjami pracownicy przyspieszyli ten proces. Gdzie wady, ktoś zapyta, a odpowiedź tu jest jedna: nie ma. Mało kto tyle popsuł w polskim życiu publicznym, co gazeta z Czerskiej.

eprasa.pl 405bf1fd3a

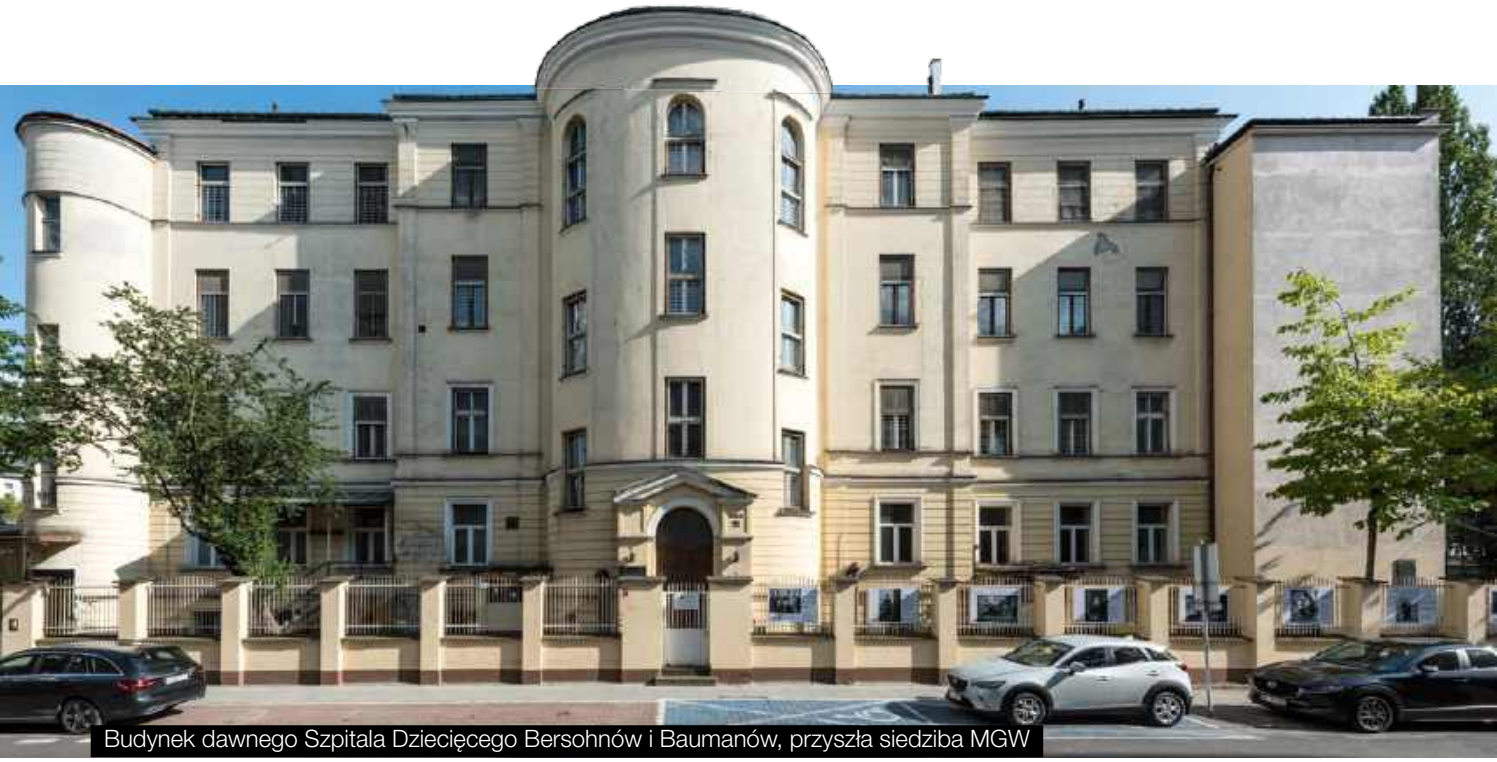

Budynek dawnego Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów, przyszła siedziba MGW

Czyja narracja w Muzeum Getta Warszawskiego?

MACIEJ WALASZCZYK

Zwolennicy tezy o polskiej współwinie za Holokaust triumfują. Rząd powołał nową dyrekcję Muzeum Getta Warszawskiego, a ta pozbyła prof. Daniela Blatmana. Izraelski historyk chciał przypominać, że ofiarami niemieckiego terroru byli zarówno Żydzi, jak i Polacy

W czasie pierwszej kadencji rządów Zjednoczonej Prawicy w styczniu 2018 r. w Izraelu, a także w USA, została rozpętana kampania atakująca Polskę za próbę wprowadzenia sankcji za rozpowszechnianie sformułowania „polskie obozy koncentracyjne". Sprawa została zresztą rozdmuchana na cały świat, a próba ścigania niezgodnych z prawdą historyczną i krzywdzących kalek myślowych ukazana została jako chęć zrzucenia przez Polaków „odpowiedzialności" za współudział w mordowaniu Żydów i „negowania" Holokaustu.

Wobec tego ówczesny minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński ogłosił zapowiadaną już wcześniej budowę Muzeum Getta Warszawskiego. Już w marcu 2018 r. podmiot powołano do życia, a od samego początku jego dyrektorem został Albert Stankowski, wówczas także członek Rady Muzeum Historii Żydów Polskich Polin z ramienia MKiDN. Muzeum ulokowano w budynku dawnego Szpitala Dziecięcego Bersohnów i Baumanów, w centrum utworzonej przez niemieckich okupantów dawnej dzielnicy żydowskiej, obok której znajduje się fragment ocalałego muru getta. Już wtedy inicjatywę jego utworzenia część żydowskich historyków określiło jako „szkodliwy projekt, który stara się wybielić historię". Dziś jesteśmy świadkami kolejnej odsłony tej samej kampanii.

Fot. Wikipedia/Adrian Grycuk

eprasa.pl 405bf1fd3a

SKOK NA MUZEUM

Otwarcie Muzeum Getta Warszawskiego planowano na przyszły rok, choć teraz termin został przesunięty na jesień 2027 r. Zapewne przed wyborami będzie ono pokazywane jako jeden z „sukcesów" rządzącej koalicji. Jednak od pewnego czasu w muzeum dzieją się rzeczy niepokojące, a sytuacja przypomina skandal, jaki towarzyszył wyrzuceniu szefowej oddziału Instytutu Pileckiego w Berlinie.

Zdaniem twórców warszawskiej placówki komuś zależy, by była ona mniej atrakcyjna, niż planowano, a przede wszystkim nie uwzględniała wspólnej polsko-żydowskiej historii i wspólnej wizji niemieckiej okupacji w czasie II wojny światowej. W marcu br. usunięto dyrektora Stankowskiego, a teraz w niejasnych okolicznościach pracę stracił historyk i twórca wystawy głównej prof. Daniel Blatman z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie, gdzie równocześnie jest pracownikiem Katedry Nowożytnej Historii Żydowskiej i Studiów nad Holokaustem. On sam nie zna oficjalnych powodów dymisji.

– Nie dostałem żadnego pisma uzasadniającego. Formalnie przekazano mi, że zakończona została faza projektu i teraz rozpoczyna się proces tworzenia wystawy, a ja nie muszę jej już nadzorować – tłumaczy w rozmowie z tygodnikiem „Sieci". W połowie sierpnia dyrektor muzeum Katarzyna Person-Wooddin (prywatnie córka wieloletniego senatora PO Andrzeja Persona) postanowiła o przedterminowym rozwiązaniu umowy z nim. Odeszła również Joanna Dudelewicz, dyrektor ds. ekonomiczno-organizacyjnych i inwestycji.

Podobno w muzeum nie dzieje się zbyt wiele. – Jeżeli osobie niedecyzyjnej, która nie posiada odpowiedniego doświadczenia powierza się zarządzanie projektem za 350 mln zł, to na efekty nie trzeba długo czekać – komentuje Albert Stankowski. Według niego od marca nie dokonano zakupu żadnego eksponatu lub nawet fotografii. Świadczy o tym również opisana w ostatnich tygodniach historia tramwaju, którego wierną replikę odtworzyło grono pasjonatów, a warszawski samorząd chciał

Albert Stankowski

przekazać na rzecz muzeum. Takiego samego, jaki z gwiazdą Dawida zamiast numeru linii widać na filmach archiwalnych dokumentujących życie getta. Jak się okazuje, nie będzie on eksponowany nawet na zewnątrz placówki. Dochodzą głosy, że również inne wielkogabarytowe eksponaty, choćby oryginalna brama z cmentarza żydowskiego czy węglarka z więzienia na Gęsiówce nie zostały w odpowiednim czasie umieszczone w planowanych miejscach ekspozycji, która oficjalnie jest już w fazie produkcji. Na niemieckim motocyklu nie znajdziemy także manekinów w niemieckich mundurach, choć takie było pierwotne założenie.

Zachodzą wobec tego obawy, że poprzez odpowiednie eksponowanie lub ukrywanie eksponatów czy manipulowanie narracją wypaczona zostanie prawda o niemieckiej okupacji, o której miała opowiadać wystawa.

KONKURSOWA ŚCIEMA

To, że rząd Donalda Tuska będzie chciał przejąć kontrolę nad muzeum, nie ulegało wątpliwości. Już w 2024 r. ówczesna minister kultury Hanna Wróblewska wprowadziła Katarzynę Person-Wooddin na stanowisko wicedyrektora. Już wówczas było jasne, że jest w ten sposób przygotowywana do objęcia schedy po Stankowskim. Gdy w marcu br. stracił on stanowisko, sprzeciw wobec tej decyzji zgłaszały m.in. Towarzystwa Społeczno-Kulturalne Żydów w Polsce (TSKŻ) i członkowie Rady Muzeum, a wokół samej procedury konkursowej od początku narastały kontrowersje. Protest wyraził np. marszałek województwa Adam Struzik, rezygnując członkostwa w komisji konkursowej. Do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie została też wniesiona skarga, w której resortowi kultury zarzuca się łamanie zasad konkursu, m.in. dopuszczenie kandydata niespełniającego wymogu posiadania trzyletniego stażu pracy na stanowisku kierowniczym w jednostkach sektora finansów publicznych czy udział w procedurze osób niegwarantujących bezstronności postępowania.

Środowiska żydowskie w Polsce nie dają jednak za wygraną, licząc na zmianę decyzji i przywrócenie do pracy nie tylko prof. Daniela Blatmana, lecz także poprzedniego dyrektora. Na 9 października br. zapowiedziano posiedzenie Rady Muzeum, która zwróciła się do obecnej dyrekcji o informację na temat stanu prac nad tworzeniem wystawy głównej, a także o projekty tekstów, które mają być na niej eksponowane. Okazało się jednak, że wciąż znajdują się w fazie roboczej i nie zostaną nikomu udostępnione. Kiedy się to stanie – również nie wiadomo.

Część członków Rady wyraziło również chęć złożenia oficjalnych podziękowań prof. Blatmanowi za siedem lat pracy, ale za sprawą przewodniczącego, a zarazem burmistrza Woli Krzysztofa Strzałkowskiego (PO) zaproszenie nie dotarło do zainteresowanego. Stankowskiemu i Blatmanowi ani razu też nie udało się umówić na spotkanie z obecną minister kultury Martą Cienkowską.

ZANIEPOKOJENIE ŚRODOWISK ŻYDOWSKICH

W imieniu Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów w Polsce głos zabrał m.in. Artur Hofman, będący równocześnie członkiem Rady Muzeum. Również w jego ocenie zwolnienie z pracy izraelskiego historyka przez obecną dyrektor świadczy o potencjalnej zmianie kursu, co rodzi obawy, że dalsza realizacja zakładanego scenariusza wystawy jest zagrożona.

Fot. Robert Wilczyński – 1943.pl

eprasa.pl 405bf1fd3a

– Dla nas, polskich Żydów, sama idea powstania Muzeum Getta Warszawskiego była niezwykle ważnym symbolem mówiącym, że państwo polskie traktuje Zagładę i tragiczny los swoich żydowskich obywateli jako element wspólnej historii – podkreśla Hofman. Według niego właśnie Stankowski i Blatman jako uznani znawcy problematyki Holokaustu dawali rękojmię jej rzetelnego i obiektywnego przedstawienia. – W tle stały jednak osoby, które uzurpują sobie prawo do wypowiadania się w imieniu społeczności żydowskiej. A jak sądzę, są także związane z dzisiejszą władzą i uważają, że mają prawo decydować, jak będzie wyglądać przedstawianie historii polskich Żydów – zauważa prezes TSKŻ.

Gdy usunięto dyrektora, rzeczywiście od razu pojawiła się obawa o przyszłość prof. Daniela Blatmana, a co za tym idzie, że nastąpi korekta obmyślonej przez niego wymowy całej ekspozycji. Krótko mówiąc, ku oburzeniu środowiska historyków forsujących tezę o polskiej współodpowiedzialności za Holokaust zaprojektował ją tak, że miała być opowieścią nie tylko o żydowskim getcie, lecz także o mającym równolegle miejsce męczeństwie Polaków pod niemiecką okupacją. W jego wizji nie była to więc jedynie ekskluzywna opowieść o męczeństwie Żydów wpisująca się w kłamliwą – jak podkreśla – tezę o wyjątkowości Holokaustu.

Prof. Blatman przyznaje, że teza ta została skonstruowana w latach 70. XX w., a on nigdy nie mógł się z nią zgodzić, podkreślając, że „każda ofiara zasługuje na własną perspektywę". Żydowski historyk nie kryje, że taka prezentacja martyrologii Żydów wpycha ją z powrotem do swoistego „historycznego getta", izolując zarazem od historii trwającej przez sześć lat okupacji Warszawy, która zaczęła się we wrześniu 1939 r.

– Ja to nazywam takim tunelem śmierci, do którego są wprowadzani młodzi uczestnicy wycieczek przyjeżdżających do Polski z Izraela. Zaczyna się na Okęciu, potem Treblinka, Auschwitz i powrót do Tel-Awiwu. To jak mamy zmieniać relacje polsko-żydowskie, jeżeli nie ma tutaj wzajemnego kontaktu? A do tego mogłoby służyć Muzeum Getta Warszawskiego, pokazujące równolegle, że także Polacy ginęli w egzekucjach i byli wywożeni do obozów – dodaje Albert Stankowski.

Prof. Daniel Blatman zwrócił także uwagę na niestosowność mówienia o podziale na stronę żydowską i aryjską zamiast na żydowską i polską oraz niemiecką okupowanej Warszawy. – To był podział rasowy, a do istniejącej w tym czasie dzielnicy niemieckiej, a więc właśnie aryjskiej, nie tylko Żydzi, ale także Polacy mieli zakaz wstępu – przypomina. To zresztą wywoływało sprzeciw historyków z Yad Vashem, którzy nie mogli znieść, że żydowski naukowiec przełamuje kanony oficjalnej polityki historycznej państwa Izrael.

> W marcu br. usunięto dyrektora muzeum Alberta Stankowskiego, a teraz w niejasnych okolicznościach pracę stracił historyk i twórca wystawy głównej prof. Daniel Blatman z Uniwersytetu Hebrajskiego w Jerozolimie

– Niestety podejrzewamy tu złą wolę, to znaczy ktoś uznał, że prof. Blatman za bardzo chciał ukazać tę żydowską i polską stronę. To się z pewnością nie podobało, bo Polacy mogli się w tych wyobrażeniach pojawić jedynie w charakterze granatowych policjantów pilnujących getta, a nie ofiar niemieckiego terroru – przyznaje Stankowski. Jak relacjonuje, wielokrotnie spotykał się ze zdziwieniem swoich żydowskich rozmówców, gdy wyjaśniał im, skąd się wzięły na ulicach polskiej stolicy miejsca upamiętniające ofiary niemieckiego terroru, czy fakt, że getto nie mogłoby istnieć przez trzy lata, gdyby nie pomoc ze strony polskiej. Zapewnia, że nie chodziło o angelizację obu stron i unikanie mówienia o podłościach, ale ukazanie rzeczywistości, w której obok szmalcowników byli również ludzie przejęci losem getta, ale niemogący nic w tej sprawie zrobić.

Wystawa miała także opowiadać o istnieniu Judenratów, policji żydowskiej i agentury.

Jak się okazuje, opory pojawiły się także wtedy, gdy okazało się, że muzeum chce także wyeksponować historię wywieszenia w czasie powstania w getcie flag polskiej i żydowskiej przez żołnierzy Żydowskiego Związku Wojskowego. Co dodatkowo wpisuje się w trwający od wielu lat konflikt polityczny między izraelską prawicą a lewicą, która próbowała wyciszyć udział tworzących ŻZW tzw. syjonistów rewizjonistów w walkach na Muranowie.

CZYJA NARRACJA?

Prof. Blatman był wielokrotnie atakowany przez historyków z Yad Vashem, dla których już sam pomysł stworzenia muzeum był nie do przyjęcia. Jak wyjaśnia, ta instytucja nie toleruje żadnej placówki muzealnej, z którą oficjalnie nie podjęła kuratorskiej współpracy, a już zupełnie narracji opowiadającej o innych ofiarach niż żydowskie.

Oczywiście grupą, która od początku kontestowała tak ujętą historię, było też środowisko Centrum Badań nad Zagładą z Barbarą Engelking na czele. A także mieszkający w Kanadzie Jan Grabowski, który nazwał Blatmana „żydowskim listkiem figowym dla nacjonalistycznego reżimu" rządzącego wówczas w Polsce. Tymczasem izraelski badacz podkreśla, że wbrew wszystkim historia Polaków i Żydów pod niemiecką okupacją jest skomplikowana i trudna do zrozumienia dla wszystkich, którzy nie znali ówczesnych realiów społecznych i okupacyjnych. W jego wizji placówka miała w tym pomóc, by być pomostem między pamięcią żydowską a polską.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Jak bajeczne żurawie

Dlaczego polskie państwo rozgląda się za imigrantami z Afryki, a nie chce przyjmować naszych rodaków ze Wschodu?

ARTUR CEYROWSKI

„Polskość to jest straszna siła duchowa i to nie my ją wybieramy, bo nie możemy tu niczego wybierać. To ona nas wybiera, ona chce nas mieć i wtedy nas wybiera" – mówił onegdaj wielki polski poeta Jarosław Marek Rymkiewicz. Dziś nasza ojczyzna stoi przed niezwykłym zadaniem, zdefiniowanym zarówno przez demografię i gospodarkę, jak i pragnienia oraz potrzeby naszych rodaków żyjących poza granicami Polski. Dla nich to właśnie ta siła duchowa stanowi jedną z motywacji do podjęcia starań o powrót do ojczyzny. Polska ich wybrała. Chce ich mieć. My, żyjący tu i teraz, mamy obowiązek umożliwić i ułatwić naszym rodakom powrót do bezpiecznej i dostatniej ojczyzny. Sprawić, by dzieci i wnuki tych, którzy zostali zmuszeni do opuszczenia rodzinnych ziem w czasach komunistycznego terroru, mogły bezpiecznie wrócić do swojego jedynego prawdziwego domu.

Dziś wielu z nich swoimi staraniami o powrót do Rzeczypospolitej dowodzi prawdziwości słów autora cyklu mickiewiczowskiego. Ich piękne marzenie o Polsce rozbija się jednak o skały urzędniczej niemocy, politycznej niechęci i samorządowej bylejakości.

Historie, do których dotarliśmy, pokazują ogrom wyzwań, z którymi muszą się dziś zmagać potomkowie Polaków, próbujący wrócić do kraju swoich przodków.

DROGOWSKAZ RYMKIEWICZA

Jedną z kluczowych cech definiujących problemy współczesnej polskiej demografii jest to, iż wyzwania społeczne i gospodarcze potrzeby próbuje się rozwiązywać masowym sprowadzaniem do Polski imigrantów. Nie mają oni polskich korzeni i pochodzą z państw odległych od nas kulturowo. Konsekwencje takiej polityki doskonale znamy. Widzimy je na co dzień na ulicach Paryża, Londynu czy Berlina. Jesteśmy już naprawdę blisko momentu, w którym sceny oglądane w miastach Europy Zachodniej staną się zwyczajnym obrazkiem polskich przedmieść.

> Wystarczy przypomnieć, iż według danych GUS z końca 2024 r. w Polsce pracowało legalnie ponad 1 mln cudzoziemców (pochodzących ze 150 krajów), co stanowiło ok. 6,8 proc. osób zatrudnionych

Wystarczy przypomnieć, iż według danych GUS z końca 2024 r. w Polsce pracowało legalnie ponad 1 mln cudzoziemców (pochodzących ze 150 krajów), co stanowiło ok. 6,8 proc. osób zatrudnionych. Choć bardzo dużą część tej grupy stanowili ludzie, którzy trafili do nas po rosyjskiej agresji na Ukrainę, to w statystykach znajdziemy znaczące liczby osób z innych krajów, takich jak Białoruś, Indie, Nepal, Gruzja, Mołdawia, Filipiny, a także coraz więcej osób z krajów Ameryki Południowej, np. Kolumbii, Paragwaju czy Wenezueli.

Zmierzamy w stronę społeczeństwa wielokulturowego ze wszystkimi problemami wynikającymi z tego faktu. Przedsiębiorcy nie chcą pozbywać się pracowników z różnych stron świata – mówią oni wprost, że dziś trudno jest sobie wyobrazić niektóre branże bez ludzi ściąganych z zagranicy.

Tym trudniej zrozumieć, dlaczego państwo polskie nie otwiera się równie chętnie na potomków naszych rodaków i dlaczego wciąż odwraca się od tych, którzy marzą o tym, żeby zamieszkać w kraju swoich przodków, utrudniając im powrót do kraju.

Niedawno w tygodniku „Sieci" opisywaliśmy projekt senatora Grzegorza Biereckiego, który jest szansą na rozwiązanie opisanych wyżej problemów. Polityk przedstawił projekt ustawy dotyczący radykalnego uproszczenia procesu repatriacji i znaczące wsparcie dla osadnictwa powracających do kraju. Ideę Biereckiego poparli liczni politycy i przedstawiciele środowisk akademickich.

ZBYT ENCYKLOPEDYCZNY NA POLAKA

Konieczność podjęcia natychmiastowych działań na tym polu pokazują także historie osób, które zmagają się z bezduszną urzędniczą maszyną decydującą o prawie do pobytu w Rzeczypospolitej.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Walery Rukosujew

Walery Rukosujew jest wnukiem Polaka zesłanego na Syberię. Od kilku lat podejmuje wysiłki o powrót do Rzeczypospolitej i zezwolenie na pobyt stały. Mimo potwierdzonego polskiego pochodzenia, którego nikt z urzędników nie zakwestionował, Mazowiecki Urząd Wojewódzki odmówił mu prawa do pobytu stałego w Polsce, powołując się na subiektywne i nieprecyzyjne kryteria dotyczące rzekomo zbyt słabych „związków z polskością".

Na odwołanie mężczyzny odpowiedział Urząd ds. Cudzoziemców, który potwierdził decyzję wojewody. Urzędnicy, wydając swoją decyzję, dali mężczyźnie 28 dni na opuszczenie kraju. Ten termin mija w drugiej połowie października. Rukosujew będzie zmuszony do opuszczenia Polski, choć mieszka tu ponad rok, podjął pracę i naukę.

Jednocześnie podobnie jak inni potomkowie Polaków ze Wschodu musiał przejść przez wieloetapowe postępowanie przed różnymi urzędami. Być może o odmowie zadecydowały względy bezpieczeństwa.

– Ten mężczyzna został bardzo dokładnie sprawdzony przez służby. Walczy o swoje życie i godne warunki bytowe. Nie może legalnie pracować ani mieszkać w Polsce, mimo deklaracji chęci integracji i budowania nowego życia tutaj, państwo zamierza go deportować do Rosji. Urzędnicy uznali, że jego znajomość Polski jest wyłącznie encyklopedyczna, co jest zarzutem zupełnie niezrozumiałym wobec okoliczności jego historii i realiów, w których się wychował. Człowiek polskiego pochodzenia, znający historię i kulturę Polski, zdeterminowany, aby tu żyć i zakładać rodzinę, staje się ofiarą niejasnych i surowych przepisów oraz urzędniczej bezduszności – mówi Maksymilian Rymkiewicz, który pomaga polskim repatriantom w sprawach urzędowych.

Sprawą Rukosujewa zainteresował się Instytut na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, który podjął działania wyjaśniające urzędnicze decyzje. Także tam słyszymy, iż bez wątpienia nie mamy tu do czynienia z wątpliwościami np. ze strony ABW, bo tego typu rzeczy błyskawicznie zakończyłyby temat i mężczyzna dawno musiałby opuścić Polskę.

Mec. Magdalena Majkowska z Ordo Iuris mówiła w rozmowie z nami o braku transparentności urzędniczych procedur i zdecydowanie zbyt dużej arbitralności decyzyjnej. Prawniczka wyraziła sprzeciw wobec sposobu, w jaki urzędnicy podchodzą do sprawy Walerego Rukosujewa. Zasugerowała, że urzędnicy wyłącznie szukali pretekstu, by wydać decyzję odmowną. Według Majkowskiej wykładnia prawa wobec potomków zesłańców jest często nie tylko nadmiernie formalistyczna, lecz także arbitralna, a ludzie tacy jak Rukosujew są zmuszani do spełnienia wręcz nierealnych wymogów.

Jak decyzję o odmowie do pobytu stałego w Polsce tłumaczy Urząd ds. Cudzoziemców?

Według rzecznika tej instytucji Jakuba Dudziaka urzędnicy zwrócili uwagę, że rozpoczął on naukę języka polskiego dopiero miesiąc przed złożeniem wniosku. Sugerują też, iż jego dziadek nie znał dobrze języka polskiego z powodu zesłania, a sam zainteresowany nie posiada Karty Polaka. Dodają, że rzeczywiste zainteresowanie Polską pojawiło się u Rukosojewa dopiero na fali wojny w Ukrainie, co zdaniem urzędu było niewystarczające, by potwierdzić silny związek z polskością.

Jednocześnie w dokumentach odmawiających prawa do stałego pobytu widać uwagę, iż w czasie rozmowy z urzędnikami ubiegający się o zezwolenie na pobyt stały mężczyzna posługiwał się jedynie „encyklopedyczną" wiedzą o Polsce. Miał na przykład wyrecytować cztery zwrotki hymnu Rzeczypospolitej, co urzędnicy uznali za przesłankę świadczącą o tym, iż specjalnie przygotował się do spotkania z nimi i zinterpretowali na niekorzyść mężczyzny.

99 TYS. WNIOSKÓW

Podobnie negatywnie zweryfikowano opowieść o związkach z polskimi tradycjami i przekaz o chrześcijańskich zwyczajach i świętach, w których mężczyzna uczestniczył. Nie dlatego, żeby wątpiono w ich prawdziwość, ale zasugerowano, że być może był to opis uroczystości prawosławnej, a nie katolickiej. Nie pomogła także znajomość piosenek Anny

eprasa.pl 405bf1fd3a

Rodzina Zasadskich

German i polskiej kinematografii. Nawet to, iż starający się o stały pobyt mężczyzna miał wiedzę o polskich świętach państwowych i znał ważne daty z naszej historii:

„Cudzoziemiec wykazał się też znajomością polskich świąt państwowych, o które był pytany, zaznaczając, że z okazji Święta Wojska Polskiego był na paradzie, a także potrafił trafnie wskazać 4 organizacje międzynarodowe, do których należy Polska. Poprawnie opisał też polską flagę i godło, znał tytuł i autora polskiego hymnu oraz wyrecytował jego treść" – czytamy w dokumencie sygnowanym przez szefa Urzędu ds. Cudzoziemców.

W odpowiedzi na nasze pytania Jakub Dudziak podał, że od 2022 r. do końca czerwca 2025 r. wpłynęło 99 tys. wniosków o zezwolenie na pobyt stały w Polsce, z czego 9 proc. spotkało się z decyzją odmowną. Te liczby mogą jednak wprowadzać w błąd, bo urząd nie posiada statystyk na temat tego, ile wniosków pochodziło od osób, które udokumentowały swoje polskie pochodzenie.

POLACY Z KAZACHSTANU

Nie mniej dramatyczna jest historia mieszkającej na co dzień w Kazachstanie rodziny Zasadskich, która od lat stara się o możliwość osiedlenia się w Polsce. Odrzucanie ich wniosków pomimo polskich korzeni (formalnie udokumentowanych przez ambasadę w Astanie), licznych przykładów pielęgnowania naszych tradycji i zachowania ojczystego języka ujawnia bezwzględną twarz polskiej polityki repatriacyjnej.

> Dla osób z Kazachstanu kupno nieruchomości w Polsce jest wyzwaniem praktycznie niemożliwym do realizacji. Dlatego rodzina wysyła dziesiątki listów do samorządów w Polsce, prosząc o pomoc w znalezieniu lokalu. Urzędnicy konsekwentnie odmawiają

Do otrzymania wizy krajowej niezbędne jest bowiem posiadanie – jak tłumaczy Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji – „warunków do osiedlenia się". Mówiąc wprost: dowodu potwierdzającego posiadanie lokalu mieszkalnego i źródeł utrzymania w RP.

Dla osób z Kazachstanu kupno nieruchomości w Polsce jest wyzwaniem praktycznie niemożliwym do realizacji. Dlatego rodzina wysyła dziesiątki listów do samorządów w naszym kraju, prosząc o pomoc w znalezieniu lokalu. Urzędnicy konsekwentnie odmawiają, wymyślając kolejne problemy i piętrząc trudności. Jednocześnie przedstawiciele tych samych samorządów chętnie organizują pomoc dla uchodźców z odległych nam kulturowo państw islamskich.

Widzimy dokumenty, które pokazują, że miasta – zarówno duże, jak i małe – odmawiają przyjęcia repatriantów z Kazachstanu, wprost wskazując na brak mieszkań, brak środków finansowych lub formalny limit kilku rodzin rocznie. Bydgoszcz, Gdynia, Łódź, Legionowo, Piaseczno, Poznań, Szczecin, Rzeszów – każdy z urzędów w nadesłanych dokumentach powiela te same argumenty.

Tymczasem dane pokazują wprost, iż we wszystkich wymienionych miastach samorządy dysponują setkami, a czasami tysiącami lokali. Oczywiście z pewnością mają też długą kolejkę chętnych, ale czy na pewno właściwie priorytetyzują sprawy?

Podobnie bezowocne są starania o miejsce w ośrodkach dla repatriantów. Te aktualnie rozpatrują wnioski złożone jeszcze w... 2019 r. Dodatkowo nowelizacja ustawy o repatriacji z sierpnia br. jeszcze wydłużyła proces, uzależniając decyzje od dostępności wolnych miejsc i środków budżetowych.

Mimo trudnej przeszłości i blisko 90 lat spędzonych poza Polską rodzina Zasadskich pielęgnuje nasze rodzime tradycje, obchodzi święta katolickie, ze znawstwem opowiada o tradycyjnych potrawach polskiej kuchni i pokazuje, że wciąż kultywuje stare, polskie obyczaje.

Co więcej, rozmawiamy swobodnie po polsku. Problem w tym, iż ja miałem szczęście urodzić się w Gdyni, a oni przyszli na świat poza granicami Rzeczypospolitej.

I dlatego wciąż niczym Rymkiewiczowskie bajeczne żurawie nad dzikim ostrowem nad zaklętym pałacem tylko przelatują wiosną.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Ukraińskie naloty na rosyjskie rafinerie już doprowadziły do unieruchomienia 38 proc. ich mocy przetwórczych

Kto wygra tę wojnę?

MAREK BUDZISZ

To, kiedy i na jakich warunkach zakończy się wojna na Ukrainie, zależy od dwóch czynników. Pierwszym jest kwestia, kto wygra rakietowy pojedynek z dystansu i czy uda się utrzymać względnie stabilną sytuację na froncie. Drugi jest związany z odpowiedzią na pytanie, czy państwa wspierające Kijów wytrzymają rosyjską presję

Według oficjalnych informacji rosyjskiego ministerstwa obrony w ciągu 9 miesięcy tego roku Moskalom udało się zdobyć na Ukrainie 4715 km² terenu. Amerykański Instytut Studiów nad Wojną uważa, że dane te są zawyżone przynajmniej o jedną trzecią i Rosjanie, celowo nimi manipulując, starają się utrzymać Zachód w przekonaniu, że metodycznie przesuwają linię frontu, zdobywając nowe tereny, z czego ma wynikać, że ich zwycięstwo jest nieuchronne i wymaga tylko czasu.

Nawet gdyby rosyjskie informacje były prawdziwe (a nie są) i siły ukraińskie nie prowadziły skutecznych kontrataków, to i tak w obecnym tempie zajęcie całej Ukrainy zajęło by im ponad 100 lat. Już obecnie – zdaniem wielu analityków – można mówić o tym, że wojna weszła w fazę statyczną. Ukraińcom udało się zbudować „ścianę dronów" i rozszerzyć do 20 km obszar ziemi niczyjej rozdzielającej walczące strony.

Z wielu relacji rosyjskich żołnierzy umieszczanych na platformie Telegram wyłania się nowy obraz konfliktu. W strefie walki nie używa się ciężkiego sprzętu, bo jest on natychmiast wykrywany i niszczony. Koncentracja sił jest właściwie niemożliwa, przemieszczają się co najwyżej kilkuosobowe zespoły, i to najczęściej pieszo, niektóre z nich na motocyklach, a ostatnio nawet na koniach. Magazyny z zaopatrzeniem trzeba było odsunąć co najmniej o 50 km, a to dramatycznie utrudnia zaopatrzenie walczących, które trzeba przenosić na dystansie kilkunastu kilometrów na własnych plecach. W takiej sytuacji zdobycze terytorialne, okupione dramatycznie wysokimi stratami, liczy się w metrach kwadratowych, a intensywniejsze walki trwają obecnie na jednej trzeciej długiego frontu.

Za kilka tygodni – jak wynika z wypowiedzi Margo Grosberga, kierującego estońskim centrum wywiadu – ze względu na warunki atmosferyczne front stanie na kilka miesięcy i raczej nie należy się spodziewać większych operacji. To wszystko oznacza, że rosyjska letnia ofensywa zakończyła się niepowodzeniem. Kreml nie tylko nie „wyzwolił" Donbasu, jak zapowiadano, lecz także nie osłabił woli walki Ukrainy.

POJEDYNEK Z DYSTANSU

W rezultacie wojna zmienia charakter, przekształcając się w pojedynek z dystansu, w którym coraz większe znaczenie mają rakiety i drony bojowe różnych typów. Z obliczeń ekspertów francuskiej AFP, o których napisał niedawno dziennik „Le Monde", wynika, że we wrześniu Rosjanie o 36 proc. w porównaniu do poprzedniego miesiąca zwiększyli intensywność nalotów. W świetle tych obliczeń w ciągu ostatniego miesiąca Rosja wystrzeliła przeciw Ukrainie 5638 dronów dalekiego zasięgu i 185 pocisków rakietowych. Co gorsze, jak donosi dziennik „The Financial Times", Moskale zmodyfikowali swe pociski balistyczne – zarówno iskandery, jak i kindżały – i teraz trudniej je przechwycić.

Wzrost skuteczności rosyjskich uderzeń rakietowych wyraźnie widać w dostępnych statystykach. O ile w miesiącach letnich Ukraińcom udało się unieszkodliwić 36 proc. rosyjskich rakiet, o tyle we wrześniu wskaźnik ten

eprasa.pl 405bf1fd3a

spadł do 6 proc., mimo że intensywność rosyjskich uderzeń zmniejszyła się. W przypadku dronów niewiele się zmieniło i z niemal 6 tys., którymi Rosjanie zaatakowali, udało się zestrzelić ok. 80 proc.

Odpowiedzią Kijowa jest intensyfikacja ataków na rosyjskie rafinerie, co już doprowadziło do unieruchomienia 38 proc. ich mocy przetwórczych. Rosja zaczyna odczuwać braki paliwa, rząd wprowadził zakaz eksportu benzyny, we wszystkich regionach, w szczególności na Dalekim Wschodzie, ustawiają się kilometrowe kolejki na stacjach, a władze rozważają też import paliwa z Chin i Białorusi.

Ciekawa jest też sytuacja na okupowanym Krymie, gdzie właśnie wprowadzono limity sprzedaży benzyny na poziomie 20 l na głowę. Ukraińskie siły operacji specjalnych intensyfikują swe działania na okupowanym półwyspie, w tym metodycznie niszczą stacje radarowe, lotniska i punkty dowodzenia. Niektórzy eksperci są zdania, iż w gruncie rzeczy mamy do czynienia z przygotowaniem „do czegoś większego", bo wróg najpierw musi zostać oślepiony, pozbawiony systemów dowodzenia i łączności, zdezorientowany, a dopiero potem zaatakowany.

Ukraina wystąpiła też – po raz kolejny, bo poprzednie próby miały miejsce za rządów Joe Bidena – z prośbą, aby Waszyngton sprzedał im rakiety Tomahawk i zezwolił na atakowanie celów położonych głęboko na rosyjskich tyłach. Po rozmowie Wołodymyra Zełenskiego i Donalda Trumpa na ten temat, która miała miejsce przy okazji szczytu ONZ, J.D. Vance, amerykański wiceprezydent, który zdaniem komentatorów odgrywa znacznie większą rolę w kształtowaniu amerykańskiej polityki zagranicznej niż jego poprzednicy, udzielił mediom wywiadu, w którym wypowiedział się w tej kwestii. „Rzeczywiście, rozpatrujemy szereg wniosków ze strony Europejczyków" – powiedział dziennikarzom stacji Fox News. Co oznacza, że państwa naszego kontynentu zaproponowały, iż zapłacą za rakiety, które ma otrzymać Ukraina.

Znacznie bardziej jednoznaczny w tej kwestii był Keith Kellogg, który w rozmowie z dziennikarzami tej samej stacji telewizyjnej zauważył, że „odczytując to, co on [Trump] powiedział, i to, co powiedział wiceprezydent Vance, odpowiedź brzmi: tak. Wykorzystajcie tę możliwość, by uderzyć głęboko. Nie ma czegoś takiego jak sanktuaria".

Dziennik „The Wall Street Journal" napisał również, że nie chodzi wyłącznie o dostawy amerykańskich rakiet Tomahawk na Ukrainę. Waszyngton miał również zadeklarować przekazywanie danych wywiadowczych niezbędnych, aby naprowadzać rakiety na cel, co więcej – poprosił o to samo europejskich sojuszników.

Dr Sidharth Kaushal, ekspert brytyjskiego think tanku strategicznego RUSI, uważa, że zgoda Waszyngtonu na sprzedaż Ukrainie rakiet Tomahawk ma wymiar bardziej presji negocjacyjnej niż działania, które realnie może wpłynąć na losy wojny. Amerykanie produkują 50–70 pocisków tej klasy rocznie, a dotychczasowe zapasy zostały najprawdopodobniej w sporej części zużyte w czasie ostatnich wojen na Bliskim Wschodzie. Wydaje się jednak, że w tej sprawie chodzi o coś więcej niż jedynie dostarczenie nowych rakiet ukraińskiej armii.

Michaił Samuś, ukraiński analityk wojskowy, powiedział dziennikarzom portalu NV, że prócz tomahawków Ukraińcy mogą otrzymać większą liczbę rakiet ATACMS o zasięgu do 300 km, których wiele jest właśnie – ze względu na wiek – wycofywanych z amerykańskich arsenałów. W tym przypadku liczy się ewentualna skala dostaw, bo w przeciwieństwie do administracji Bidena Trump – „rozczarowany postawą Putina", jak sam powiedział – może przekazać Ukrainie nawet kilkaset sztuk rakiet tej klasy. Nie mają one wielkiego zasięgu, ale zdaniem eksperta ukraińscy żołnierze, mając tego rodzaju zdolności, „mogą popracować nad Krymem".

CIOS W ENERGETYKĘ

Prezydent Zełenski zapowiedział też, że jeśli Rosja będzie atakowała ukraiński system energetyczny, to w odpowiedzi może się spodziewać tego samego. Jego deklaracje miało uwiarygodnić niedawne uderzenie na Biełgorod, miasto położone 80 km od granicy, które pogrążyło się w ciemnościach po tym, jak precyzyjny atak rakietowy zniszczył tamtejsze sieci przesyłowe. Groźby te – jeśli Ukraina otrzyma amerykańskie rakiety i zbuduje większą liczbę własnych – Rosjanie muszą traktować poważnie również z innych powodów.

Otóż w przeciwieństwie do Ukrainy, która przez ostatnie 30 lat remontowała swą sieć energetyczną, Rosjanie zrobili niewiele od czasów ZSRR. 65 proc. rosyjskich turbogeneratorów jest starsza niż 30 lat, a na dodatek cały system energetyczny ma strukturę węzłową. Jego cechą jest występowanie „punktów koncentracji" infrastruktury, które są kluczowe dla całego systemu. Ich zniszczenie pozbawi prądu ogromne regiony Rosji. Aby osiągnąć taki efekt, Ukraińcy nie muszą nawet przeprowadzać zmasowanych nalotów. W Rosji te „węzły energetyczne" są połączone liniami przesyłowymi, które mają

eprasa.pl 405bf1fd3a

nieraz po kilkaset kilometrów długości. Wystarczy zniszczenie jednego słupa, aby przerwać system. Jeśli unieruchomione zostaną kotłownie – a w Rosji jest to problem, który występuje co roku nawet bez ataków – to przy wysokich mrozach w domach zaczynają pękać rury. Nikt tam przez dziesięciolecia nie inwestował w infrastrukturę komunalną, a w tym przypadku „generał mróz" może się stać sprzymierzeńcem Ukraińców.

Zełenski pokłada też nadzieję we własnych konstrukcjach – zmodyfikowanych rakietach Neptun i systemach Flamingo, których producent, firma Fire Point, chce wytwarzać nawet siedem sztuk dziennie. Na razie nie ma potwierdzonej skuteczności tych rakiet, które mają mieć zasięg nawet 3 tys. km, bo do tej pory przy ich użyciu zaatakowano i zniszczono jedynie bazę rosyjskiej straży granicznej na Krymie, która była oddalona o 300 km. Pewną rękojmią są dotychczasowe dokonania producenta, którego konstrukcje odpowiadają za 60 proc. skutecznych ukraińskich uderzeń dronami dalekiego zasięgu, ale na razie trudno mówić o przełomie.

ZASTRASZYĆ ZACHÓD

Jeśli wojna na lądzie ma charakter statyczny, czy nawet pozycyjny, a punkt ciężkości przesuwa się w stronę zdolności do atakowania z dystansu, to mamy też do czynienia ze zmianą zdolności do eskalacji. Jeśli Rosjanie nie odwołają się do swego potencjału nuklearnego – a na razie nic nie zapowiada takiego zwrotu – mają ograniczone możliwości. Nie są w stanie szybko zwiększyć skali swych uderzeń skierowanych na ukraińskie miasta ani też znacząco zmienić sytuacji na lądzie. Mogą intensyfikować ataki, co zresztą już robią, i mogą zwiększać skuteczność swych operacji, co również ma miejsce. Ale nie są w stanie skokowo zwiększyć presji wywieranej na Kijów, aby ten zgodził się na nieakceptowalne dla siebie warunki zakończenia wojny.

Co innego Ukraina. Jeśli uruchomi produkcję własnych rakiet, a na dodatek dostanie od Amerykanów systemy Tomahawk i większą liczbę ATACMS, to będzie w stanie przenieść wojnę na teren Federacji Rosyjskiej, a być może zaatakować na większą skalę Krym. To może zmienić kalkulacje strategiczne Kremla, bo ryzyko związane z większymi możliwościami strony ukraińskiej będzie narastało, a nie malało. Czas przestanie pracować na rzecz Moskwy i może się wówczas okazać, że Putin rzeczywiście, a nie na pozór, będzie zainteresowany zakończeniem lub choćby zamrożeniem konfliktu.

> Zełenski zapowiedział, że jeśli Rosja będzie atakowała ukraiński system energetyczny, to w odpowiedzi może się spodziewać tego samego. Jego deklaracje miało uwiarygodnić niedawne uderzenie na Biełgorod

W tym kontekście warto zapytać, jak Rosja może odpowiedzieć na nową sytuację. Najlepszą dla Kremla opcją jest zwiększenie zagrożenia państw Zachodu. I Moskwa już to robi, intensyfikując operacje przy użyciu dronów, naruszając przestrzeń powietrzną i zaostrzając retorykę. Cel tych działań jest oczywisty. Jeśli państwa Zachodu poczują się zagrożone, to po pierwsze, mogą się pojawić pęknięcia we froncie wsparcia dla Ukrainy. Chodzi oczywiście o pieniądze, bo aby kontynuować opór, Kijów musi otrzymywać wsparcie finansowe w wysokości 40 mld dol. rocznie. Już obecnie Ukraina wydaje na wojnę 38 proc. swego PKB, całość dochodów podatkowych i daniny publiczne idą na finansowanie armii, a państwo funkcjonuje dzięki kredytom i pomocy zagranicznej. Były premier, a dziś minister obrony Denys Szmyhal szacuje, że w ciągu najbliższych czterech lat Ukraina musi otrzymać 150–170 mld dol. Jeśli pieniądze przestaną płynąć, sytuacja walczących może zacząć się pogarszać.

Jak to się ma do rosyjskiej strategii w tej fazie wojny? Ataki asymetryczne na państwa Zachodu mają wywołać dwa rodzaje reakcji. Ci mniej zagrożeni, bo położeni dalej od Rosji, np. Francja czy Belgia, powinni usztywnić swoje stanowisko w sprawie finansowania Ukrainy i ewentualnego użycia w tym celu zamrożonych rosyjskich aktywów. To już się dzieje, o czym świadczy fiasko niedawnego spotkania w Kopenhadze, w czasie którego Francuzi, Belgowie i przedstawiciele Luksemburga wystąpili przeciw przejęciu rosyjskich lokat, co zaproponował kanclerz Niemiec.

Państwa położone bliżej Rosji, takie jak Szwecja czy Polska, trudniej będzie zastraszyć, ale intensyfikacja rosyjskiej wojny asymetrycznej ma w ich przypadku wywołać inną reakcję, którą też już można zaobserwować. Paradoksalnie Rosjanie chcą, aby zaczęły się one zbroić w obliczu narastającego zagrożenia, bo taka zmiana nastawienia powinna postawić na porządku dnia kluczowe pytanie: czy ograniczone środki budżetowe przeznaczać na własne bezpieczeństwo, czy na wsparcie dla walczącego Kijowa?

W Moskwie uważa się dzisiaj, że piętą achillesową Ukrainy jest postawa jej sojuszników, którzy mogą nie być w stanie lub nie chcieć nadal finansować wojnę miliardami dolarów. To skłania do wniosku, że ataki asymetryczne na państwa NATO nie ustaną, a nawet należy oczekiwać ich intensyfikacji.

A to, kiedy i na jakich warunkach zakończy się wojna, zależy od dwóch czynników. Pierwszym jest kwestia, kto wygra rakietowy pojedynek z dystansu i czy uda się utrzymać względnie stabilną sytuację na froncie. Drugi, nie mniej istotny, jest związany z trwałością ukraińskiego systemu sojuszniczego i odpowiedzią na pytanie, czy państwa wspierające Kijów wytrzymają rosyjską presję. Jeśli Zachód zda obydwa te testy, to może się okazać, że strona ukraińska zacznie odzyskiwać inicjatywę i budować swoją przewagę, co znacznie przyspieszy koniec konfliktu.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Potwór o dwóch ogonach

O mowie Donalda Trumpa na forum Narodów Zjednoczonych

Zaiste trudno o większą i bardziej niefrasobliwą głupotę niźli uznanie – jak to uczyniła komentatorka CNN – nowojorskiej mowy Donalda Trumpa za „chaotyczny bełkot". Podobnie zresztą, jak rozmija się z rzeczywistością pogląd innej amerykańskiej telewizji, wedle której w Zgromadzeniu Ogólnym Organizacji Narodów Zjednoczonych Trump miał „wypowiedzieć wojnę całemu światu".

Ja, przyznam, całkiem na odwrót – jestem przekonany, iż ta mowa prezydenta Stanów Zjednoczonych przechodzi do historii jako nowa, spójna i przełomowa diagnoza polityczna współczesnego świata, tym bardziej doniosła, że (szukam dobrego słowa) w istocie mocno subwersywna, wywrotowa. Trump nie „wypowiada wojny całemu światu", gdyż głosi poglądy podzielane dziś przez rzesze mieszkańców Zachodu. Ale bez wątpienia radykalnie podważa kierunek, w którym rozwija się współczesna polityka, proponując odwrócenie wektorów, co jego zdaniem ma być ratunkiem, przynajmniej dla świata zachodnich demokracji. I zarazem oferuje (jak mówi) „przywództwo i przyjaźń USA" tym wszystkim, którzy byliby gotowi uczestniczyć wraz z Ameryką w owej operacji odwrócenia wektorów.

O KRYZYSIE NA SPOSÓB KRAKOWSKI

Parę miesięcy temu podczas dorocznej konferencji monachijskiej mogliśmy słyszeć równie wywrotową mowę zastępcy Trumpa – Jamesa Davida Vance'a. Ale te dwa wystąpienia nie mają ze sobą wiele wspólnego. Vance to ideolog, który piętnował Europę za to, iż dopuściła do destrukcji religii, moralności i wolności jednostki. Tymczasem Trump to pragmatyczny przywódca polityczny, który na globalnym forum ONZ wykłada *stricte* polityczne powody kryzysu, jaki świat zachodni zafundował sobie – w jego mniemaniu – na własne życzenie.

Bo choć w tej mowie jest obszerny wątek dwóch okrutnych wojen, które toczą się na Ukrainie i w Palestynie, to z perspektywy Trumpa to nie owe

JAN ROKITA

konflikty zbrojne są dziś przyczyną postępującego kryzysu Zachodu. Kiedyś w Polsce toczył się pryncypialny spór historyków o przyczyny upadku polskiej państwowości w XVIII w. „Warszawiacy" twierdzili, że rozbiory były skutkiem agresywności mocarstw ościennych, a „krakowiacy" kluczową przyczynę upatrywali w wewnętrznym rozkładzie politycznym Polski. Z pewnym przymrużeniem oka można by rzec, że Trump myśli o kryzysie całego Zachodu nie na sposób „warszawski", ale „krakowski".

Kluczowa polityczna metafora, wokół której jest zbudowana mowa Trumpa, to wizja „potwora o dwóch ogonach" (double-tailed monster), za sprawą którego państwa zachodnie znalazły się „na drodze do piekła" („your countries are going to the hell").

Ów potwór niszczy poszczególne kraje swymi dwoma ogonami, które symbolizują dwie wielkie współczesne katastrofy: wielką migrację oraz transformację energetyczną. Każda z nich odpowiada za postępującą wewnętrzną słabość i permanentny kryzys polityczny, w jaki wpadła Ameryka oraz zwłaszcza państwa europejskie. W oczach Trumpa różnica pomiędzy USA i Europą jest tylko taka, że Ameryka od czasu ostatnich wyborów prezydenckich zaczęła skutecznie walczyć z tą słabością, podczas gdy Europa ciągle jest do tego niezdolna.

Wielka migracja nie jest bowiem w pierwszej kolejności ani zjawiskiem humanitarnym, ani ekonomicznym. Przeciwnie – jest polityczną katastrofą zachodnich społeczeństw, gdyż niszczy ich wewnętrzną spójność i kulturową tożsamość. Kiedy słuchałem Trumpa, uświadomiłem sobie podobieństwo jego diagnozy do sławnej tezy Hannah Arendt, która w „Źródłach totalitaryzmu" argumentowała, iż to właśnie ogromna liczba „ludzi zbędnych" w Europie po I wojnie światowej, nieprzypisanych do żadnego obywatelstwa i nieutożsamiających się z żadnym państwem, stworzyła glebę, na której wyrósł nazizm i obozy zagłady. Trump zapewne nigdy nie czytał Arendt, ale jego polityczna intuicja prowadzi go myślowym tropem wybitnej żydowskiej myślicielki.

Opowiadając o osłabieniu Zachodu wywołanym migracją, Trump używa – jak zwykle w jego przypadku – przesadnych albo niekoniecznie wiarygodnych przykładów. Niestety, ten lekceważący faktograficzne szczegóły styl mówienia nie tylko osłabia wydźwięk jego diagnoz, lecz przede wszystkim stwarza wyborne okazje do ośmieszania i piętnowania go przez media. Przykład pierwszy z brzegu: Trump ma rację, iż polityka muzułmańskiego i lewicowego burmistrza Londynu jest niedobra zarówno dla tego miasta, jak i Anglii. Ale natychmiast dezawuuje tę tezę, obwieszczając, iż w Londynie trwają właśnie przygotowania do zaprowadzenia prawa szariatu.

W reakcji burmistrz Khan po raz kolejny obrzuca prezydenta USA stekiem obelg, a brytyjski premier Starmer nie bez racji mówi, iż informacja o szariacie to jakieś kompletne wariactwo.

Cały kłopot ze słuchaniem Trumpa polega właśnie na tym, że wypowiada on fundamentalne diagnozy stanu świata, jakich nikt dotąd nie wypowiedział na globalnym forum, takim jak Zgromadzenie Ogólne Narodów Zjednoczonych, ale zarazem dodaje do owych diagnoz retoryczne ozdobniki, osłabiające ich siłę i wiarygodność tego, co naprawdę ważne.

Jednak przy okazji opisu skutków wielkiej migracji Trump podnosi też takie kwestie, których doniosłości trudno przecenić, a o których świat wie stosunkowo mało (sądzę tak choćby po swojej własnej wiedzy). Pokazuje np. skalę handlu dziećmi, który przy okazji przemycania ludzi z Ameryki Łacińskiej do USA rozkwitł w Stanach Zjednoczonych. Przedstawia oficjalne amerykańskie dane, wedle których aż 300 tys. dzieci (chodzi tu zapewne także o nieletnich nastolatków) zostało przemyconych do USA, gdzie są maltre-

Fot. White House Official

eprasa.pl 405bf1fd3a

towane, poddawane wyzyskowi i pracy przymusowej. Trump w emocjonalny sposób opowiada o akcji swojego rządu, który stara się zawrócić owe dzieci do ich rodzin i domów.

A przecież jeśli na serio się zastanowić nad mechanizmami nielegalnego przerzutu ludzi przez meksykańską granicę, łatwo sobie wyobrazić, iż handel dziećmi, kobietami czy przemyt narkotyków musi iść w parze z takim procederem. Np. teraz dopiero wychodzi na jaw, że utworzona w Los Angeles przez Meksykanów gmina religijna La Luz del Mundo w istocie od lat trudniła się handlem latynoskimi dziećmi i kobietami.

GLOBALISTYCZNA MISTYFIKACJA

Drugi ogon trumpowego potwora to obecny kształt transformacji energetycznej, której z własnej, a nie przymuszonej woli poddaje się demokratyczny Zachód. Trump uważa, że koncept tzw. śladu węglowego to „mistyfikacja wymyślona przez ludzi o złych intencjach, zmierzających ku całkowitej zagładzie". Dlaczego?

Albowiem owa „mistyfikacja" pojawiła się pod wpływem globalistycznego myślenia, jakie według amerykańskiego prezydenta dyskryminuje interesy uprzemysłowionych narodów Europy i Ameryki oraz zmusza je do tego, aby masochistycznie same sobie zadawały ból i cierpienie, rzekomo w imię pożądanych globalnych korzyści. Trump ironizuje na temat unijnej Europy: „Gratulacje Europo, świetna robota! Straciłaś mnóstwo miejsc pracy, zamknęłaś wiele fabryk, ale zmniejszyłaś ślad węglowy o 37 proc. Tyle tylko, że w skali świata urósł on w tym czasie o 54 proc.".

Zarówno Europa, jak i Ameryka (ta głównie za sprawą postępowych doktryn Obamy) nie tylko zrujnowały własne przewagi konkurencyjne wobec świata, lecz także rozchwiały i wzburzyły własne społeczeństwa, a wszystko po to, aby osiągnąć jakiś iluzoryczny globalny cel, który jest nieosiągalnym złudzeniem.

„Jeśli nie uciekniesz od tego zielonego oszustwa, twój kraj upadnie" – mówi prezydent USA do zgromadzonych w Nowym Jorku liderów politycznych całego świata. To przecież Chiny i otaczające je „tygrysie" gospodarki azjatyckie wydzielają do atmosfery więcej gazów cieplarnianych niźli gospodarki zachodnie.

Jak widać, istota argumentacji Trumpa ma charakter wybitnie polityczny: w skrócie można by rzec, że traktuje on globalizm jako doktrynę skierowaną przeciw interesom Zachodu. Zarówno wtedy, gdy idzie o klimat, jak i o niszczące zachodni przemysł dotychczasowe reguły handlu międzynarodowego.

> Donald Trump na forum ONZ wyłożył *stricte* polityczne powody kryzysu, jaki świat zachodni zafundował sobie na własne życzenie. A jego zdaniem dwie wielkie współczesne katastrofy to: wielka migracja oraz transformacja energetyczna

Ale znów także na tym zielonym polu jest kłopot z przesądami, jakimi Trump „przyozdabia" tę w gruncie rzeczy racjonalną diagnozę. Wedle jego opinii całość tzw. odnawialnych źródeł energii wymaga demontażu, gdyż należy je na nowo zastąpić węglem. W Ameryce – zapowiada – już przystępujemy do likwidacji paneli słonecznych i wiatraków. Opowiada prowokacyjną anegdotkę, wedle której miał ponoć zabronić pracownikom Białego Domu używać słowa „węgiel" – mają mówić wyłącznie: „Czysty i piękny węgiel" (clean, beautiful coal). Twierdzi: „Cała zieleń oznacza bankructwo", ignorując w ten sposób racjonalny postulat zróżnicowanego miksu energetycznego, najlepiej chroniącego przed drożyzną i szantażem energetycznym obcych potęg. I nie wiedzieć czemu, z gorliwością chwali politykę energetyczną Niemiec, które rzekomo miały się nawrócić na „węgiel i atom", podczas gdy każdy wie, że to właśnie Niemcy – ze szkodą dla siebie samych – po długiej debacie zamknęły ostatnią elektrownię jądrową i borykają się ze wzrostem cen energii.

Owo ekstremistyczne zanegowanie ekologii i czystego środowiska daje asumpt do takich ocen, jak ta z CNN, iż mowa Trumpa to w istocie „chaotyczny bełkot". Oceny fałszywej, choć łatwej do propagandowego upowszechnienia.

DROGA DO PIEKŁA

W każdym razie myliłby się mocno ktoś, kto chciałby zignorować nowojorską mowę Trumpa jako wybryk jakiegoś niepozbieranego maniaka. Amerykański prezydent ma (niestety) ów popkulturowy, czasem nieznośny styl, sprawiający, że niemal każda, z gruntu racjonalna idea, w jego ustach i twittach pojawia się w postaci przesadzonej i jest obudowana skrajnościami oraz przesądami. To zresztą inna kwestia, gdyż coraz częściej przypuszczam, że właśnie temu popkulturowemu stylowi uprawiania polityki Trump zawdzięcza swój sukces i charyzmatyczny wizerunek, wywołujący u milionów ludzi polityczną miłość albo nienawiść.

Tak jest też z mową prezydenta USA na forum Narodów Zjednoczonych. W swej retoryce może się ona wydać irytująca albo ignorująca wymogi zdrowego rozsądku. Ale w swym politycznym rdzeniu stanowi precedensowe i wywrotowe wezwanie do cofnięcia się z drogi, po której państwa demokratycznego Zachodu „idą do piekła". Trump wzywa: „Koncepcja, abyśmy sami sobie zadawali ból i radykalnie destabilizowali swoje społeczeństwa, musi zostać całkowicie i bezwarunkowo odrzucona. Natychmiast!". Ma rację.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Za walkę przeciwko Rosji chcą mnie wyrzucić z AfD

Polityka sympatyzowania z Rosją i dystansowania się od Zachodu nigdy nie miała dla mnie sensu. Zwłaszcza teraz, gdy w Białym Domu zasiada Donald Trump, który ma pozytywne nastawienie do AfD

Z Timem Schrammem, działaczem niemieckiej partii Alternatywa dla Niemiec (AfD) i ochotnikiem armii ukraińskiej, rozmawia Goran Andrijanić

Członek AfD walczy na Ukrainie jako ochotnik przeciwko Rosjanom? To brzmi jak polityczny żart.

Tim Schramm: Może to brzmieć dziwnie, bo AfD jest postrzegana jako formacja całkowicie prorosyjska, ale tak nie jest. Kiedy po raz pierwszy byłem na Ukrainie w 2022 r., pojechałem tam z ramienia mojej partii. Było to trzy lub cztery tygodnie po rosyjskiej agresji i wybuchu wojny, a AfD z Nadrenii Północnej-Westfalii, której jestem członkiem, sfinansowała konwój humanitarny i wysyłała go na Ukrainę. Byłem pod ogromnym wrażeniem tego kraju i woli ludzi do walki.

Co zrobiło na panu największe wrażenie?

Widziałem tam ludzi, którzy naprawdę chcą się zjednoczyć i walczyć o swoją wolność. Nie poddawać się agresorowi. Już wtedy byłem pewien, że odwiedzę ten kraj ponownie i spędzę tam więcej czasu. I tak zrobiłem. Wróciłem na Ukrainę w sierpniu 2022 r. i spędziłem trochę czasu na zachodzie kraju. Poznałem tam wielu przyjaciół, z którymi także teraz jestem bardzo blisko. Wtedy postanowiłem, że chcę pomóc Ukraińcom w tej walce w bardzo konkretny sposób.

Wtedy zdecydował się pan zostać ochotnikiem wojennym?

Tak. Chciałem zacząć walczyć już w 2022 r. i próbowałem wstąpić do Legionu Międzynarodowego, ale odmówiono mi, ponieważ miałem wtedy 19 lat. Nigdy nie zrezygnowałem z tego pomysłu i pod koniec 2024 r. spróbowałem ponownie. Zostałem ukraińskim żołnierzem. W międzyczasie bardzo aktywnie budowałem poparcie dla Ukrainy wśród niemieckiej prawicy. Starałem się przekonać ludzi – przede wszystkim z AfD, a także szerzej – że to, co robią Ukraińcy, jest dla nas bardzo ważne i możemy się od nich uczyć. Jednocześnie walczyłem z rosyjską propagandą, która miała wpływ na wielu ludzi w Niemczech.

Jak starał się pan ich przekonać?

Tłumaczyłem moim kolegom, że wojna na Ukrainie powinna nas bardzo obchodzić. W AfD i na europejskiej prawicy mówimy o patriotyzmie, ochronie naszych rodzin, ojczyzn i wartości. A to, co w tym momencie robią Ukraińcy, jest patriotyzmem w działaniu. Chciałem po prostu przekazać to przesłanie członkom mojej partii. To, że w tym momencie europejskiej historii Ukraińcy praktykują patriotyzm i wartości narodowe, które my deklarujemy.

A potem poszedł pan na wojnę. Oczywiście nie możemy mówić o szczegółach pana pobytu na froncie, ale możemy porozmawiać o reakcjach po powrocie do Niemiec. Jakie one były?

Szczerze mówiąc, bardzo interesujące. Wcześniej, kiedy tłumaczyłem moim partyjnym kolegom, że musimy pomóc Ukrainie, wielu z nich zawsze mówiło mi to samo: „Jeśli chcesz pomóc Ukrainie, jedź sam na front". Zawsze odpowiadałem: „OK, zrobię to". A kiedy wróciłem z frontu, ludzie byli zaskoczeni. Niektórzy mówili, że zwariowałem, a inni, że szanują, kiedy ktoś naprawdę działa w imię swoich przekonań. Ale było też kilka osób z AfD z mojego regionu, które postanowiły, że muszą mnie wyrzucić z partii.

Zabrali panu funkcje partyjne, ale jeszcze nie wyrzucili. Jak tłumaczyli swoją decyzję?

eprasa.pl 405bf1fd3a

Mówili, że brałem udział w wojnie jako działacz partyjny AfD, co nie było prawdą, bo byłem tam jako osoba prywatna, jako Tim Schramm. Mówili, że to źle, że walczyłem, ponieważ narusza to program partii zakładający neutralność i pokojową politykę wobec Rosji. To głupota, bo oficjalne stanowisko AfD po rosyjskiej agresji głosiło, że Rosja musi się wycofać z Ukrainy i zaprzestać wszelkich walk. A jaki jest nasz program dla Europy? Walczymy o Europę suwerennych i wolnych narodów. A co się dzieje na Ukrainie? Ukraińcy walczą o swój wolny i suwerenny kraj. Zatem z mojego punktu widzenia nie naruszam żadnego z głównych punktów programu partii. Wręcz przeciwnie, bronię ich.

Powiedział pan, że AfD nie jest prorosyjska. Kiedy partia atakuje pana w ten sposób, to może tylko dowodzić tego, że właśnie taka jest.

Mamy kilku członków, którzy są prorosyjscy, np. Hans Neuhoff, europarlamentarzysta z mojego landu, który postawił sobie za cel wyrzucenie mnie z partii. To prawda, że w AfD są ludzie, którzy budują cały swój profil polityczny na sympatii do Rosji i negatywnym nastawieniu do Zachodu. Nie stanowią większości, ale problem w tym, że tacy zawsze są najgłośniejsi. Polityka sympatyzowania z Rosją i dystansowania się od Zachodu nigdy nie miała dla mnie sensu. Zwłaszcza teraz, gdy w Białym Domu zasiada Donald Trump, który ma pozytywne nastawienie do AfD. Jest jeszcze Elon Musk, człowiek, który nadal ma duże wpływy w Stanach Zjednoczonych – on otwarcie nas wspiera. Wielu ludzi z AfD dziękowało mi za rozpoczęcie debaty na temat stosunku partii do Rosji. Ta dyskusja trwa. Dlatego chcą mnie uciszyć, usuwając z partii, bo się boją, że teraz będą musieli walczyć argumentami.

W Polsce uważamy, że Niemcy nie rozumieją zagrożenia ze strony rosyjskiego imperializmu i są gotowi wrócić do „business as usual" z Moskwą.

Myślę, że wielu Niemców, w tym członkowie mojej partii, zdaje sobie sprawę z natury rosyjskiego imperializmu, ale niestety wysnuwają z tego faktu inną diagnozę niż ja. Co ciekawe, wielu z tych, którzy sympatyzują z Rosją, mieszka we wschodnich Niemczech. Na tym samym terytorium, które, jak wiadomo, było okupowane przez Rosję. 40 lat temu demonstrowali przeciwko murowi berlińskiemu i okupacji sowieckiej, a teraz są zasadniczo prorosyjscy. To bez sensu. Problem polega na tym, że ludzie tracą zaufanie do elit politycznych. Państwo i rząd nas okłamywały, jak w przypadku pandemii i polityki imigracyjnej. Dlatego teraz Niemcy myślą, że muszą być w opozycji do głównego nurtu opinii. Jeśli telewizja mówi, że Rosja jest zła, a Ukraina dobra, uważają, że musi być odwrotnie. Chodzi o brak zaufania do naszego rządu. Oczywiście Rosjanie wykorzystują to w swojej propagandzie.

> Niemcy jako europejska potęga są w stanie zrobić więcej. Możemy pomagać Ukrainie i możemy wspierać ją tak bardzo, że będzie zdolna wygrać z Rosją. Niestety nie robimy tego i jest to bardzo rozczarowujące

Rosja zinfiltrowała AfD?

Musi pan pamiętać, że AfD to młoda partia, nie mamy nawet 20 lat. A to, co Rosja zrobiła na początku istnienia naszego ugrupowania, było naprawdę cwaniackie. Kiedy pozostawaliśmy niepopularni w Niemczech i wszyscy byli przeciwko nam, zaprosili naszych ludzi do Moskwy, okazując im wsparcie. Oczywiście kiedy jesteś nowym politykiem i wszyscy łącznie z Zachodem są przeciwko tobie, każde wsparcie będzie dla ciebie bardzo ważne. Dlatego to pierwsze pokolenie polityków AfD jest pod wpływem Rosjan. To, co teraz dzieje się w partii w mojej sprawie, też jest tego dowodem. Widać to po reakcji na moje działania. Ludzie, którzy chcą mnie wyrzucić z AfD, w zasadzie rujnują sobie kariery i łamią niemieckie prawo. Dlaczego więc ktoś taki jak Hans Neuhoff miałby poświęcić swoją karierę tylko z powodu różnicy zdań? Myślę, że kryje się za tym coś więcej.

A co pan sądzi o polityce aktualnego niemieckiego rządu wobec Ukrainy?

Uważam, że Friedrich Merz jest wielkim rozczarowaniem, ponieważ zanim został wybrany, obiecywał Ukrainie rakiety, a nie dotrzymał tych przyrzeczeń. Niemcy są w stanie wojny z Rosją, ponieważ ona atakuje nas hybrydowo. Nasze firmy, prywatne czy państwowe, tracą miliardy euro rocznie z powodu rosyjskich cyberataków. W niemieckich szpitalach zmarli nawet pacjenci, ponieważ Rosjanie włamali się do szpitalnych serwerów i ludzie nie mogli uzyskać natychmiastowej pomocy. Próbowali nas zdestabilizować, wysyłając migrantów m.in. z Syrii czy Afganistanu na europejskie granice, ponieważ wiedzieli, że trafią do Niemiec. Rosja atakuje nas na różne sposoby, a teraz nawet dronami. Musimy więc odeprzeć jej agresję jak najszybciej. Myślę, że w Berlinie w pewnym stopniu zdają sobie z tego sprawę. Ale jednocześnie brakuje woli politycznej, by działać. Niemcy jako europejska potęga są w stanie zrobić więcej. Możemy pomagać Ukrainie i możemy wspierać ją tak bardzo, że będzie zdolna wygrać z Rosją. Niestety nie robimy tego i jest to bardzo rozczarowujące. Możemy dostarczać im rakiety, możemy im pomóc w tak wielu kwestiach, o wiele bardziej niż teraz. To jest właśnie to, co krytykuję w polityce zachodniej. Dajemy Ukrainie zbyt wiele, by mogła umrzeć, i zbyt mało, by mogła żyć. I to się musi skończyć, ponieważ trzeba jak najszybciej zakończyć tę wojnę. Europejska prawica ma dużo powodów, żeby się zjednoczyć i wspólnie walczyć. W obliczu zagrożenia ze Wschodu, jakim jest Rosja, to kolejny powód, by to zrobić.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Jaka polska armia?

Najwyższy czas, żeby zacząć mówić o tym, co należy zrobić, żeby rozwój polskiej armii wrócił na właściwe tory – czyli o tym, jak będziemy to robić, gdy wrócimy do władzy

Druga edycja Kongresu Armia w Stalowej Woli była wydarzeniem, które jest nie tylko konferencją, lecz także swoistym sprawdzianem stanu naszej świadomości i odpowiedzialności za przyszłość ojczyzny. Żyjemy w czasach, w których świat zmienia się na naszych oczach. To, co dzieje się dziś za naszą wschodnią granicą, stanowi przypomnienie, że bezpieczeństwo nie jest dane raz na zawsze. Pokój to nie prezent, który można odłożyć na półkę – to skarb, którego trzeba strzec silną armią i mądrą polityką. Dlatego tak ważne jest wzmacnianie Sił Zbrojnych RP. Wojsko to nie koszt, lecz inwestycja – tarcza i miecz narodu.

Nie możemy sobie pozwolić na samozadowolenie ani chwilę słabości. Wiele wydarzeń z naszej historii przypomina nam, że każde zaniedbanie obronności, każdy rok złudnego spokoju, kosztuje później krew i łzy milionów. Gen. Władysław Anders mawiał: „Nikt nie ma prawa handlować honorem i godnością Polski i nikt tak jak Polacy nie kocha swej ojczyzny". Właśnie tak powinna wyglądać postawa nowoczesnego Wojska Polskiego – niezłomnego, gotowego i silnego. Dlatego naszą powinnością – nie tylko wobec teraźniejszości, lecz także wobec przyszłych pokoleń – jest budowanie armii, która nie będzie cieniem przeszłości, lecz gwarancją przyszłości. Armii, która będzie jak stalowy mur, a jednocześnie jak precyzyjna strzała – obrona i odstraszanie w jednym.

BEZPIECZEŃSTWO TO FUNDAMENT

Prawo i Sprawiedliwość zawsze stało na stanowisku, że Polska musi mieć silne wojsko. Mówiliśmy to wtedy, gdy inni woleli zamykać jednostki,

Fot. MON

eprasa.pl 405bf1fd3a

wstrzymywać zakupy sprzętu i rozbrajać żołnierzy. My wiedzieliśmy – i wciąż wiemy – że bezpieczeństwo to fundament, na którym można budować dobrobyt, rozwój i przyszłość następnych pokoleń. Potrzeba było wielu lat, by ci, którzy obecnie rządzą Polską, przyjęli tę podstawową i fundamentalną zasadę – że wolności nikt nie da nam na zawsze, że Rosja zawsze jest zagrożeniem, że na bezpieczeństwie nie można oszczędzać.

Okres rządów PiS to pozytywna rewolucja w rozwoju Sił Zbrojnych RP. Trzykrotny wzrost wydatków na obronność, dwukrotny wzrost liczby żołnierzy, nowe dywizje i nowoczesny, dostosowany do współczesnego pola walki sprzęt wojskowy sprawił, że przestaliśmy być państwem z małą ekspedycyjną armią, a staliśmy się liderem regionu o dużym znaczeniu geopolitycznym. Było to możliwe dzięki przywództwu politycznemu Jarosława Kaczyńskiego, prezesa Prawa i Sprawiedliwości, który objął funkcję wicepremiera odpowiedzialnego za sprawy bezpieczeństwa i z którym miałem zaszczyt współpracować, tworząc wspólnie m.in. kluczową ustawę o obronie ojczyzny.

Redukcja naszego ambitnego planu budowy najsilniejszej armii lądowej w Europie od momentu przejęcia władzy przez rząd Donalda Tuska jest widoczna gołym okiem. Zminimalizowanie kontraktów na czołgi K2 i bojowe wozy piechoty Borsuk, całkowite zignorowanie zmieniającego się pola walki na wojnie na Ukrainie, ograniczanie budżetu MON poprzez konieczność spłaty długu z części budżetu przeznaczonej na obronność czy spowolnienie budowy nowych jednostek są tego doskonałym przykładem.

Nie mówię tego z satysfakcją, lecz raczej jako wyraz głębokiego zaniepokojenia. Najwyższy czas, żeby zacząć mówić o tym, co należy zrobić, żeby rozwój polskiej armii wrócił na właściwe tory – czyli o tym, jak będziemy to robić, gdy wrócimy do władzy. Ale jeśli obecna ekipa rządząca będzie chciała skorzystać z moich pomysłów już teraz, również będę zadowolony, bo dla mnie liczy się przede wszystkim bezpieczna Polska.

CO NALEŻY ZROBIĆ?

Zacznijmy od najważniejszej bieżącej sprawy. Pamiętajmy o tym, że wybuch wojny na Ukrainie obnażył wszystkie absurdalne teorie różnej maści rzekomych ekspertów, którzy twierdzili, że do prowadzenia tzw. wojen przyszłości będzie potrzebna tylko lekka piechota i drony. Ta wojna okazała się taka sama, jak II wojna światowa, uwzględniając oczywiście postęp technologiczny. Główną rolę wciąż odgrywały czołgi, artyleria, lotnictwo i liczne jednostki. Przecież Ukraińcy nie prosili na początku wojny o dostawy dronów, tylko właśnie o T-72, armatohaubice, himarsy i myśliwce. Gdyby nie ten sprzęt, Ukrainy już by nie było. Dlatego moja decyzja, by przeprowadzić pilne zakupy ciężkiego sprzętu i systemów obrony przeciwlotniczej, była nad wymiar słuszna. Dziś jesteśmy gotowi na to, aby odeprzeć inwazję sił nieprzyjaciela.

Pod koniec 2023 r., gdy front stanął na wschodniej Ukrainie, Rosjanie zmienili swój sposób walki i zaczęli masowo używać niskokosztowych i licznych systemów bezzałogowych. Obecny rząd powinien nas przygotować na ten rodzaj wojny. Niestety nie tego zrobił. Jakie więc kroki należy niezwłocznie podjąć?

Wykorzystać fundusz SAFE, z którego powinniśmy pozyskać m.in. bezzałogowe statki powietrzne Wizjer, Warmate, DragonFly, Orlik, przenośne przeciwlotnicze zestawy rakietowe Piorun, radary do wykrywania małych, niskich celów, stacje elektrooptyczne i systemy akustyczne, stacjonarne i mobilne przeciwdronowe systemy strzeleckie, artylerię przeciwlotniczą 35 mm z programowalną amunicją oraz systemy zakłócające „soft-kill". Musimy też postawić na budowę wyspecjalizowanej fabryki dronów i systemów antydronowych działającej przy Polskiej Grupie Zbrojeniowej.

POLSKI PRZEMYSŁ ZBROJENIOWY

Nawet moi polityczni przeciwnicy przyznają, że zakupy sprzętu zagranicznego, który pozyskiwałem po wybuchu wojny na Ukrainie, były niezbędne. Musieliśmy szybko łatać luki wynikające z wieloletnich zaniedbań poczynionych przez pierwszy rząd PO–PSL. Dziś czas postawić na polski przemysł zbrojeniowy w jeszcze bardziej zdecydowany sposób.

Dlatego jedną z moich pierwszych decyzji po powrocie do władzy będzie program „Polska armia, polski sprzęt", czyli zbiór nowych regulacji, które pozwolą na realne preferowanie zakupów z polskiego przemysłu zbrojeniowego. Przed każdym zakupem – czy to uzbrojenia, czy elementu wyposażenia indywidualnego żołnierzy – niezbędna będzie szczegółowa analiza dotycząca możliwości pozyskania danego sprzętu z polskich zakładów. Jeśli się okaże, że będziemy musieli poczekać nawet jakiś czas dłużej, ale dzięki temu pieniądze z MON zasilą państwowe lub prywatne – ale polskie – przedsiębiorstwo, to tak będzie. Jeśli się okaże, że musimy zapłacić nawet trochę więcej, ale skorzysta na tym polski podatnik, to tak zrobimy. Żadna złotówka nie zostanie wydana bez upewnienia się, że można ją skierować do naszej zbrojeniówki. Jakikolwiek zakup sprzętu z zagranicy będzie musiał być szczegółowo uzasadniony, a tego procesu będzie pilnowała nowa wojskowa komórka, której głównym zadaniem stanie się repolonizacja sprzętowa Wojska Polskiego.

NOWOCZESNA ARMIA

Postęp w Wojsku Polskim oznacza wykorzystanie nowych technologii. Centrum Implementacji AI funkcjonujące na bazie Wojsk Obrony Cyberprzestrzeni przestanie być komórką jedynie analityczną i rozpocznie wdrażanie wykorzystania sztucznej inteligencji w polskiej armii. Będziemy dążyli do wykorzystania możliwości AI przy planowaniu operacyjnym, ochronie krytycznych systemów wojskowych, koordynacji działań logistycznych oraz obsłudze systemów bezzałogowych. Sfinalizujemy projekt budowy polskiego komputera kwantowego, który będzie wykorzystywany przez Wojska Obrony Cyberprzestrzeni do rozwoju kompetencji w technologiach kwantowych, m.in. w kryptografii i kryptoanalizie.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Doprowadzimy do utworzenia Centrum Analizy Doświadczeń, które będzie odpowiedzialne za kompleksową analizę przebiegu aktualnie prowadzonych konfliktów zbrojnych, w szczególności wojny na Ukrainie, we wszystkich obszarach niezbędnych dla profesjonalizacji sił zbrojnych, m.in. w zakresie sposobów użycia i działania wojsk, sposobu prowadzenia działalności szkoleniowej oraz nowych rozwiązań w zakresie sprzętu wojskowego, w tym sposobów ich wykorzystania.

BADANIA I ROZWÓJ

Jestem też przekonany, że na bezpieczeństwo musimy patrzeć szerzej, nie tylko jako na warunek naszej niepodległości i suwerenności, lecz także jako na czynnik, który może i powinien stanowić koło zamachowe wzrostu gospodarczego, postępu technologicznego i rozwoju różnych gałęzi gospodarki. Trzeba zrobić wszystko, aby wydatki obronne, które muszą rosnąć, tworzyły łańcuchy wartości tu, w Polsce, i pomagały kreować rozwiązania bazujące na polskiej własności intelektualnej. Mamy przecież wybitnych ekspertów, inżynierów, programistów, laureatów międzynarodowych olimpiad przedmiotów ścisłych, zwycięzców prestiżowych zawodów, konkursów i ćwiczeń, takich jak Locked Shields.

Po to, aby rozwijali swoje talenty z pożytkiem dla polskiego bezpieczeństwa i gospodarki, wdrożymy realne mechanizmy współpracy między sektorem wojskowym a cywilnym, między siłami zbrojnymi, administracją, nauką i biznesem. Musimy głęboko zrewidować sposób prowadzenia przez resort obrony narodowej prac badawczo-rozwojowych. Biorąc pod uwagę budżet obronny, potencjał polskich ekspertów i realne wyzwania bezpieczeństwa, polska DARPA nie jest tylko hasłem, lecz realną potrzebą rozwojową.

Duży potencjał mają też technologie podwójnego zastosowania i realna współpraca z sektorem cywilnym. Potrzebujemy systemowego uporządkowania kontaktów wojska z sektorem gospodarczym oraz zbudowania zdolności do szybkiego wdrażania powstających i już istniejących komercyjnych technologii do zastosowań wojskowych. Skorzystamy z dobrych praktyk sojuszników oraz ucząc się na ich sukcesach i błędach powołamy przeznaczoną do takich działań jednostkę bezpośrednio podległą ministrowi obrony narodowej.

W obszarze cyberbezpieczeństwa takim międzysektorowym integratorem kompetencji i potrzeb będzie również Wojskowy Cyberpark Technologiczny, angażujący do współpracy z wojskiem zarówno najlepsze uczelnie i instytuty, jak i innowacyjne firmy, w tym start-upy.

Jedną z moich pierwszych decyzji po powrocie do władzy będzie program „Polska armia, polski sprzęt", czyli zbiór nowych regulacji, które pozwolą na realne preferowanie zakupów z polskiego przemysłu zbrojeniowego

REFORMA DOKUMENTÓW STRATEGICZNYCH

Wojskowa biurokracja wielokrotnie jest powodem licznych spowolnień i paraliżu decyzyjnego. Trzeba uprościć ten system, ograniczając liczbę dokumentów niezbędnych do realizacji zadań, tak aby planowanie strategiczne i operacyjne uwzględniało dynamikę ewolucji otoczenia środowiska bezpieczeństwa, a także gwałtowne zmiany w prowadzeniu działań wojennych związane z wykorzystaniem nowoczesnych technologii wojskowych (m.in. bezzałogowych statków powietrznych oraz sztucznej inteligencji).

Należy stworzyć jednolity system dokumentów określających funkcjonowanie systemu obrony powszechnej, dzięki któremu państwo będzie gotowe do skutecznego i elastycznego reagowania na wszelkie zagrożenia, w tym o charakterze hybrydowym, a także utrzymania ciągłości działania państwa w warunkach kryzysu oraz wojny.

Mariusz Błaszczak
Autor jest byłym ministrem obrony narodowej, w obecnej kadencji Sejmu członkiem komisji obrony narodowej

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 405bf1fd3a

Nie żyje ostatni z braci Bielskich

Kaci Polaków z Puszczy Nalibockiej na Zachodzie pozostają bohaterami

W wieku 98 lat w Miami w USA zmarł Aron Bielski – najmłodszy z braci, którzy w czasie II wojny światowej stworzyli jeden z najsłynniejszych oddziałów żydowskich partyzantów w okupowanej Europie. Ich historia została uwieczniona w hollywoodzkim filmie „Defiance" („Opór") i uchodzi za symbol heroizmu. Na Zachodzie nikt nie wie, że oddział mordował Polaków i ma na sumieniu m.in. polską wieś Naliboki. A Aron zamiast na pogawędkach z młodzieżą powinien resztę życia spędzić w więzieniu oskarżony o zbrodnie przeciwko ludzkości

Aron Bielski

STANISŁAW PŁUŻAŃSKI

Informacja o śmierci Arona Bielskiego, znanego później pod nazwiskiem Bell, pojawiła się w mediach 23 września. Był najmłodszym z czwórki braci, którzy na terenach dzisiejszej Białorusi, a przedwojennej Polski okupowanej wówczas przez Niemców, stworzyli własny oddział partyzancki.

W komunikatach prasowych, nekrologach i artykułach poświęconych jego pamięci pojawiały się wyłącznie informacje o heroicznej walce oddziału Bielskich, czyli ratowaniu Żydów, życiu w lesie, oporze wobec niemieckiego okupanta.

„ŚWIADEK HISTORII"

Media cytowały oświadczenie jego żony: „Z ciężkim sercem ogłaszamy odejście Arona, jednego z leśnych partyzantów i ostatniego z braci, którzy przeżyli. Jego siła, odporność i miłość pozostaną na zawsze w naszych sercach". „The Times of Israel" podkreślił, że Aron „odegrał kluczową rolę w leśnej osadzie swoich braci podczas Holokaustu, zakradając się do pobliskiego getta, aby przekonać Żydów do ucieczki".

Według izraelskiego dziennika miał on także z dumą obserwować, że jego historia znalazła odzwierciedlenie w filmach, przedstawieniach i dziełach pamięci. Z kolei amerykańska stacja CBS12 pisała o „członku legendarnego rodu braci Bielskich" i zwracała uwagę, że ostatnie lata życia spędził w hrabstwie Palm Beach, gdzie angażował się w edukację młodzieży na temat zagrożeń związanych z nienawiścią i antysemityzmem.

Wątek zarzutów wobec oddziału braci Bielskich pojawił się jedynie w polskich mediach, chociaż niestety nie we wszystkich. Onet na platformie X ograniczył się do krótkiego, choć wymownego wpisu: „Odszedł ostatni świadek niezwykłej historii braci Bielskich, którzy podczas wojny ocalili setki istnień".

LEGENDA BIELSKICH

To właśnie Aron jako ostatni mógł opowiadać o legendzie, która narosła wokół jego rodziny. A ta jest ogromna, przede wszystkim dzięki filmowi fabularnemu „Opór". Hollywoodzka superprodukcja z 2008 r. wyreżyserowana przez Edwarda Zwicka powstała na podstawie książki Nechamy Tec, bazującej głównie na relacjach rodziny Bielskich i wspomnieniach ocalałych. W rolę Tewjego, najstarszego z braci, wcielił się brytyjski aktor Daniel Craig, odtwórca roli Jamesa Bonda w pięciu filmach z tej serii.

W produkcji Bielscy zostali przedstawieni jako bezkompromisowi bojownicy o życie swoich rodaków. Film ukazywał ich jako ludzi, którzy w piekle wojny stworzyli enklawę przetrwania i ocalili setki Żydów. Obraz szybko wpisał się w kanon pamięci o Holokauście, a Żydzi z oddziału Bielskich zostali w ten sposób włączeni do grona największych bohaterów II wojny światowej. Bracia stali się symbolem heroizmu i oporu w czasie Zagłady.

W filmie nie ma ani słowa o wymordowaniu Polaków w Nalibokach, a ich obecność na Kresach została praktycznie pominięta. Pokazano natomiast fikcyjne sceny rzekomych walk Bielskich z Niemcami w Puszczy Nalibockiej, które nie znajdują potwierdzenia w źródłach historycznych. Tymczasem ofiary nalibockiej masakry wciąż domagają się sprawiedliwości. Jak naprawdę wyglądała historia braci Bielskich? Co spotkało ich po wojnie? I dlaczego nikt nie rozliczył ich z popełnionych zbrodni?

KRESY WSCHODNIE

Rodzina Bielskich mieszkała w Stankiewiczach na Nowogródczyźnie, gdzie ich ojciec Dawid był dobrze znanym w okolicy młynarzem. Najstarszy z braci, Tewje, urodzony w 1906 r., przed

eprasa.pl 405bf1fd3a

wojną odbył służbę w Wojsku Polskim i uzyskał stopień kaprala. Jego dalszą karierę wojskową przekreśliły jednak liczne konflikty z prawem, w tym udział w awanturach, bójkach i pobiciach. Po powrocie w rodzinne strony ożenił się i zamieszkał w Subotnikach, gdzie wraz z żoną prowadził sklep. Najmłodszy z rodzeństwa, Aron, przyszedł na świat w 1927 r. Oprócz niego i Tewjego w rodzinie wychowywało się jeszcze ośmiu chłopców i dwie dziewczynki.

Po wybuchu II wojny światowej i agresji Armii Czerwonej na Polskę Nowogródczyzna znalazła się pod okupacją sowiecką. Wprowadzono nową administrację, a w regionie rozpoczęły się aresztowania i represje wymierzone w polskie elity. Tewje porzucił wówczas sklep i przeniósł się do Lidy, gdzie objął stanowisko zastępcy rejonowego komisarza ludowego do spraw handlu. Dwaj inni bracia, Asael i Zus, którzy również mieszkali już poza domem rodzinnym, zaangażowali się w działalność lokalnego sielsowietu. Aron, dużo młodszy od starszego rodzeństwa, został w domu, pomagając rodzicom w codziennych obowiązkach.

HOLOKAUST

W czerwcu 1941 r. Niemcy dokonali inwazji na Związek Radziecki. Tewje, Asael i Zus zostali wówczas wezwani do jednostek Armii Czerwonej, aby stanąć do walki z agresorem. Nie zdołali jednak dołączyć do odpowiednich oddziałów i szybko powrócili w rodzinne strony. Sytuacja żydowskiej społeczności na Nowogródczyźnie uległa gwałtownemu pogorszeniu. Wprowadzono system gett i niemal natychmiast rozpoczęły się masowe egzekucje.

W lipcu 1941 r. wojska niemieckie zajęły Stankiewicze i zmusiły żydowskich mieszkańców okolicy do przeniesienia się do getta w Nowogródku. Tewje, Asael i Zus odmówili osiedlenia się tam i wraz z najmłodszym Aronem uciekli do pobliskiego lasu. Reszta rodziny padła ofiarą okupantów: bracia Abraham i Jankiel zostali rozstrzelani w rodzinnej miejscowości, a rodzice, Dawid i Bella, zginęli podczas jednej z masowych egzekucji w grudniu 1941 r. Zamordowana została także żona Zusa Cyrl i ich mała córeczka. W tym czasie ocalali bracia zaczęli tworzyć własny oddział partyzancki.

ODDZIAŁ BIELSKICH

Oddział Bielskich szybko się rozrastał i w szczytowym momencie liczył ok. 1,2 tys. osób, spośród których jedynie 162 było uzbrojonych. Tworzyli go głównie Żydzi, którzy zdołali uciec przed śmiercią z okolicznych miejscowości oraz likwidowanych gett. W odróżnieniu od wielu innych grup partyzanckich głównym celem braci Bielskich nie była bezpośrednia walka z Niemcami, lecz przetrwanie. Główną aktywnością pozostawało zdobywanie pożywienia i funduszy z okolicznych miejscowości. W leśnym obozie w Puszczy Nalibockiej powstała prowizoryczna osada z warsztatami, piekarnią, szkołą, a nawet więzieniem. Ogromną rolę w sprowadzaniu ludzi do tego leśnego schronienia odegrał Aron. Dzięki młodości i sprawności potrafił przedzierać się do gett, gdzie namawiał Żydów do ucieczki. Pełnił też funkcje zwiadowcy i kuriera.

Oddział od samego początku podlegał sowieckiej partyzantce. Współpracował militarnie i logistycznie z innymi jednostkami działającymi w okolicy. Początkowo nosił imię Żukowa, a później został podzielony na dwie części: im. Kalinina oraz im. Ordżonikidzego.

Zależność od Sowietów i udział we wspólnych akcjach przeciwko polskiej partyzantce do dziś budzą kontrowersje i pozostają przedmiotem sporów historycznych. Braciom Bielskim zarzuca się również, że wzbogacali się kosztem rodaków, żądając od nich pieniędzy za ochronę, także pod pretekstem zakupu broni. Najstarszy z braci, Tewje, zakończył wojnę jako bardzo majętny człowiek. Dużo bardziej obciążającą częścią historii oddziału są jednak akcje wymierzone w polską ludność cywilną. Bielskim przypisuje się udział w zbrodniach na polskich chłopach, w tym w masakrze w Nalibokach.

> 8 maja 1943 r. we wsi Naliboki doszło do brutalnej masakry ludności cywilnej. 128 Polaków oskarżanych o współpracę z AK zostało zamordowanych przez sowieckich partyzantów. Według zeznań świadków i ustaleń śledztwa IPN jednym z oddziałów uczestniczących w tej akcji była grupa Bielskich

ZBRODNIA W NALIBOKACH

8 maja 1943 r. we wsi Naliboki doszło do brutalnej masakry ludności cywilnej. 128 Polaków oskarżanych o współpracę z Armią Krajową – przede wszystkim mężczyzn, ale także kobiety i dzieci – zostało zamordowanych przez sowieckich partyzantów operujących w tym rejonie. Spalono kościół, szkołę, pocztę, remizę oraz część domów, a pozostałą zabudowę splądrowano. Według zeznań świadków i ustaleń śledztwa IPN jednym z oddziałów uczestniczących w tej akcji była grupa Bielskich.

Mit heroicznych i szlachetnych partyzantów zderza się tu z oskarżeniami o współudział w mordzie na bezbronnych Polakach. Niektórzy historycy podkreślają jednak, że ich udział nie został jednoznacznie udowodniony. Obrońcy Bielskich często pomijają fakt, że nie jest to jedyna zbrodnia przypisywana ich oddziałowi. Poza masakrą w Nalibokach partyzanci mieli się również dopuszczać innych ataków na polską ludność cywilną. W niektórych relacjach sami przyznawali się do tych czynów, tłumacząc je koniecznością eliminowania szmalcowników. Trudno jednak uznać, by usprawiedliwiało to mordowanie całych rodzin, nierzadko w wyjątkowo brutalny sposób, np. za pomocą siekier.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Partyzanci z oddziału Bielskich

Fot. Domena publiczna

AMERYKAŃSKA FIRMA

Latem 1944 r., gdy Armia Czerwona rozpoczęła kontrofensywę na Białorusi i przejęła kontrolę nad tymi terenami, oddział Bielskich wyszedł z lasu i wkroczył do Nowogródka. Niebawem Tewje rozwiązał formację i powrócił do Lidy, gdzie przez krótki czas pracował jako elektryk. W grudniu 1944 r. przeniósł się do Wilna – tam zdobył fałszywe dokumenty umożliwiające wyjazd z rodziną na Zachód. Asael, zastępca dowódcy oddziału, nie dożył nowej rzeczywistości. Został wcielony do Armii Czerwonej i zginął w lutym 1945 r. podczas walk w Prusach Wschodnich.

Tewje i Zus wraz z żonami Lilką i Sonią oraz najmłodszym bratem Aronem opuścili Związek Radziecki. Pociągiem przez Czechosłowację i Węgry dotarli aż do Rumunii, gdzie zatrzymali się na pewien czas. Tam nawiązali kontakt z organizacją syjonistyczną, która organizowała wyjazdy do Palestyny. Wkrótce drogą morską dotarli do Tel Awiwu. Tewje otworzył sklep spożywczy, a trzej bracia wzięli udział w wojnie izraelsko-arabskiej w 1948 r.

W latach 50. cała rodzina wyemigrowała do Stanów Zjednoczonych i osiedliła się na Brooklynie w Nowym Jorku, gdzie mieszkała już część ich krewnych, którzy przyjechali tam jeszcze przed II wojną światową. Tewje i Zus prowadzili wspólnie firmę transportową. Tewje zmarł w 1987 r., a jego szczątki rok później przewieziono do Jerozolimy, gdzie odbył się państwowy pogrzeb na cmentarzu Har HaMenuchot. Zus umarł w 1995 r.

Aron osiadł na Florydzie, w Palm Beach, gdzie mieszkał z żoną Henryką. Regularnie spotykał się tam z młodzieżą, nauczycielami i grupami edukacyjnymi, opowiadając historię swojej rodziny, oporu i przetrwania Holokaustu. Pod nazwiskiem Aron Bell wydał również dwie książki: „Forest Scout: Reminiscences" oraz „Between Hitler and Stalin".

BRAK ROZLICZENIA

Bracia nigdy nie zostali pociągnięci do odpowiedzialności ani za współpracę z Sowietami, ani za zbrodnie popełnione na Polakach. Przeciwnie – w diasporze żydowskiej czczono ich jako bohaterów i obrońców narodu. W Polsce dopiero w latach 90. zaczęto szerzej mówić o zbrodni w Nalibokach. 20 marca 2001 r. na wniosek Kongresu Polonii Kanadyjskiej Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Łodzi wszczęła śledztwo w tej sprawie.

Kilkunastu świadków masakry zeznało, że wśród atakujących byli Żydzi, a część z nich wskazała ludzi z oddziału Bielskich. Dowody uznano jednak za niewystarczające do jednoznacznego przypisania im winy i postawienia zarzutów. Udział oddziału Bielskich w ataku na Naliboki uznano jedynie za jedną z możliwych wersji. Wraz ze śmiercią kolejnych świadków i uczestników tamtych wydarzeń śledztwo straciło szansę na rozstrzygnięcie. Na świecie Bielscy pozostali symbolem heroizmu i walki o przetrwanie, ale dla wielu mieszkańców Kresów ich nazwisko wciąż brzmi jak synonim bólu i przelanej krwi.

W światowej opinii publicznej bracia Bielscy zostali zapamiętani jako bohaterowie, którzy uratowali setki Żydów i w Puszczy Nalibockiej stworzyli wyjątkową enklawę przetrwania. Aron, najmłodszy z rodzeństwa, do końca życia pielęgnował tę legendę – wielokrotnie wracał na Białoruś, odwiedzał rodzinne strony i przedstawiał heroiczną wersję losów swojej rodziny. Jeszcze w 2019 r. pojawił się w Puszczy Nalibockiej, gdzie w latach 1941–1944 działał ich oddział.

Tymczasem w Polsce pamięć o Bielskich wygląda zupełnie inaczej – są oni kojarzeni przede wszystkim ze zbrodniami popełnionymi na ludności cywilnej, a wspomnienie o ofiarach wciąż jest szczególnie żywe w środowiskach kresowych. Kontrast między legendą budowaną na Zachodzie a pamięcią utrwaloną w Polsce jest uderzający. To kolejny dowód na to, że historia II wojny światowej pozostaje niepełna i jednostronna, a cierpienie polskich ofiar jest pomijane lub celowo zapominane.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Kobiety w centrum uwagi

Przypominam o tym, że Polska była pierwszym krajem zaatakowanym podczas II wojny światowej, a Armia Krajowa – prawdopodobnie największą i najlepiej zorganizowaną narodową siłą ruchu oporu. A także o kobietach, które wniosły znaczny wkład do wysiłku wojennego Polski i aliantów

Z Clare Mulley, pisarką, angielską biografką wybitnych kobiet, rozmawia Jolanta Rzegocka

Słyszałam, że Gestapo zatrzymało cię w Warszawie?

Clare Mulley: Tak, można tak powiedzieć – choć nie było to Gestapo w sensie dosłownym. Byłam w Warszawie, pracując nad biografią Krystyny Skarbek i zatrzymałam się w mieszkaniu przyjaciela na Krakowskim Przedmieściu. Gdy rano wyszłam na ulicę, zobaczyłam kilku umundurowanych gestapowców. Spojrzeli na mnie ze złością, a jeden z nich rzucił się w moją stronę z pistoletem maszynowym w ręku! Byłam przerażona. Okazało się, że poprzedniego wieczoru, gdy przyjechałam, nie zauważyłam tabliczki na budynku z informacją, że nie wolno wychodzić między godz. 8 a 10 rano – kręcili serial telewizyjny. Niestety zepsułam im ujęcie, stąd to ich zdenerwowanie. Ale to wydarzenie uświadomiło mi, jak niesamowicie odważna była Krystyna Skarbek. Została aresztowana przez prawdziwe Gestapo, i to więcej niż raz, a mimo to w przeciwieństwie do mnie zawsze zachowywała zimną krew i potrafiła wyjść cało z opresji.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłaś Polskę?

Latem 1992 r. Przyjechałam jako wolontariuszka, by prowadzić zajęcia z języka angielskiego. Mieszkałam w Bydgoszczy i odwiedziłam miejscowe muzeum. Od tamtego czasu fascynuję się historią Polski.

Co skłoniło cię do opisywania historii takich kobiet jak Krystyna Skarbek/Christine Granville i Elżbieta Zawacka?

Piszę głównie o doświadczeniach kobiet podczas II wojny światowej, bo jest wiele nieopowiedzianych lub słabo opowiedzianych historii. Kobiety w ruchu oporu, a zwłaszcza agentki specjalne, często są postrzegane w kategoriach romantycznych, jako odważne i gotowe na najwyższą ofiarę. Oczywiście powinniśmy to doceniać, ale mówmy też o tym, jak skuteczne były i jak wiele osiągnęły. Skarbek i Zawacka to doskonałe przykłady kobiet, które wniosły znaczny wkład do wysiłku wojennego Polski i aliantów.

Fot. Clare Mulley/Facebook

eprasa.pl 405bf1fd3a

Dlaczego uważasz, że ich historie są nadal ważne?

Gdy Brytyjczycy mówią o kobietach w ruchu oporu, często skupiają się na Francji. Tamtejsza historia jest niezwykle interesująca, częściowo sama o niej pisałam. Jednak znacznie mniej uwagi poświęcamy skali i znaczeniu polskiego ruchu oporu. Staram się to zmienić, widzę potrzebę opowiedzenia tej historii szczególnie teraz, w obliczu rosyjskiej wojny przeciwko Ukrainie.

Jak zmienia się rola historii w brytyjskim życiu publicznym? Czy polski punkt widzenia jest w niej obecny w jakimkolwiek stopniu?

Obecnie rośnie zainteresowanie literaturą faktu, dlatego z radością przyjęłam wiadomość, że w tym roku moja nowa biografia gen. Elżbiety Zawackiej „Agent Zo" znalazła się na krótkiej liście do The Women's Prize. Choć nagroda istnieje od 25 lat, wcześniej przyznawano ją wyłącznie za powieści. To dopiero drugi rok, w którym uwzględniono kategorię non-fiction. Wspaniale jest widzieć coraz większe uznanie dla pracy kobiet w tej dziedzinie, a ja czuję się zaszczycona – dziękuję, Zo! W ub.r. wzięłam udział w 75 wydarzeniach w sześciu krajach, koncentrując się głównie, choć nie wyłącznie, na książkach o Polsce.

To brzmi jak misja specjalna...

Mam co robić. Przypominam o tym, że Polska była pierwszym krajem zaatakowanym podczas II wojny światowej, a Armia Krajowa – prawdopodobnie największą i najlepiej zorganizowaną narodową siłą ruchu oporu. Polski wkład jest doceniany w niektórych obszarach – np. polskie dywizjony w bitwie o Anglię miały najwyższą liczbę zestrzeleń – ale o innych kluczowych aspektach, takich jak wojna wywiadowcza i Enigma, dopiero teraz opowiada się szerzej. Jednym z największych osiągnięć „Zo" było utrzymanie otwartego szlaku lwowskiego, co umożliwiło ewakuację kryptologów takich jak Marian Rejewski, a także polskiego rządu, 30 tys. żołnierzy i innych. Historię Enigmy niedawno opowiedzieli zarówno Dermot Turing, jak i Robert Gawłowski.

Chcę podkreślić wkład kobiet. Choć stanowiły one 75 proc. osób pracujących w Bletchley Park, zapamiętani zostali głównie mężczyźni. A samo Bletchley, niegdyś wiejska rezydencja, jest dziś jednym z najczęściej odwiedzanych miejsc historycznych w Wielkiej Brytanii.

Kobiety, które pracowały u boku Alana Turinga w Bletchley Park, były niezwykle utalentowane i wielojęzyczne.

Tak, część dekodowania opierała się na lingwistyce, ale większość bazowała na matematyce. Były tam również kobiety, które pracowały jako kryptolożki i szyfrantki, a niektóre odgrywały kluczowe role w tych operacjach.

Przez długi czas nie mogły o tym mówić...

Obowiązywała je ustawa o tajemnicy państwowej. Niektórzy weterani i świadkowie Bletchley Park wciąż żyją, miałam przywilej przeprowadzenia wywiadów z kilkoma z nich. Krystyna Skarbek była świetnie wyszkolona, m.in. w kodowaniu Morse'a i transmisji radiowej. Znalazłam jej dokumentację dotyczącą prędkości kodowania oraz transmisji i pokazałam ją byłej dekryptażystce z Bletchley Park. Powiedziała z przekąsem, że Krystyna nie była w tym zbyt szybka, więc raczej nie pracowałaby w Bletchley. Nie zapominajmy jednak, że była to jej dodatkowa umiejętność – jej główną rolą była praca kurierska i inne zadania operacyjne.

Polska ma bogatą historię, którą kochamy i jednocześnie nienawidzimy, ale jak opowiadać dzieje kraju jego własnym mieszkańcom? Jako brytyjska historyk uzupełniasz dla nas pewną lukę, a to niełatwe zadanie.

Mam pełną świadomość tego, że mówię o polskiej historii i czuję się zaszczycona. Nie mogłabym tego zrobić bez zaangażowania wielu Polaków – przyjaciół i rodzin moich bohaterek, a przede wszystkim zespołów z Muzeum Powstania Warszawskiego oraz Fundacji Generał Elżbiety Zawackiej, które wspierały mnie w badaniach i tłumaczeniach.

Kiedy przyjechałam do Polski, by badać historię „Zo", odwiedziłam miejsce, gdzie została zrzucona na spadochronie. Znajduje się tam pomnik cichociemnych – tych, którzy przybyli, i tych, którzy nie przeżyli. W drodze powrotnej do Warszawy przejeżdżaliśmy przez Szymanów, znajduje się tam Dom Generalny Zgromadzenia Sióstr Niepokalanego Poczęcia NMP. Poprosiłam tłumaczkę, żebyśmy się tam zatrzymały, ponieważ „Zo" musiała się tam dwukrotnie ukrywać w czasie wojny. Po przyjeździe zobaczyłam piękny pałac klasztor, a kiedy patrzyłyśmy przez ozdobną bramę, obok przechodziła zakonnica. Moja tłumaczka przedstawiła mnie, a siostra powiedziała: „Znamy ją – napisała książkę o Krystynie Skarbek, która chodziła tutaj do szkoły".

Zakonnica zaprosiła nas do środka i w ten sposób przeprowadziłam wywiad z s. Janiną, która pracowała z zakonnicami ukrywającymi „Zo". Nikt wcześniej tam nie przyjechał, więc odkryłam nowe informacje. Takie historie – Polacy dzielący się ze mną swoimi doświadczeniami – pokazują, że to wspólny wysiłek, zarówno polski, jak i brytyjski. Zresztą podczas wojny Polacy i Brytyjczycy również pracowali ramię w ramię, więc czułam, że to oddaje ducha tamtych czasów.

Jakie miejsca w Wielkiej Brytanii upamiętniają Krystynę Skarbek?

Jest ich całkiem sporo. Na Pomniku Wojennym w Tempsford w hrabstwie Bedfordshire obok innych kobiet, które służyły jako agentki specjalne za linią wroga w brytyjskiej Special Operations Executive (SOE), widnieją zarówno nazwiska Skarbek, jak i „Zo". Udało mi się również zdobyć dla Skarbek

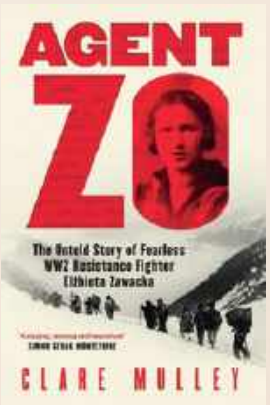

eprasa.pl 405bf1fd3a

niebieską tablicę pamiątkową English Heritage przy 1 Lexham Gardens w londyńskiej dzielnicy Kensington – dawnym hotelu Shelbourne, gdzie mieszkała przez ostatnie trzy lata swojego życia. English Heritage jest jedną z najważniejszych organizacji zajmujących się dziedzictwem w Wielkiej Brytanii, więc to wielki zaszczyt, że jej tablica znajduje się na londyńskim budynku. Odsłoniliśmy ją podczas pandemii w obecności polskiego ambasadora. Zdjęcie Skarbek trafiło także do National Portrait Gallery i stało się częścią zbiorów narodowych. Ponadto w londyńskim Ognisku Polskim w dzielnicy South Kensington znajduje się jej popiersie wykonane z brązu.

To piękna rzeźba autorstwa twojego męża Iana Woltera.

Dziękuję, tak. W ub.r. Ian był artystą rezydentem w Narodowym Muzeum Armii i stworzył kilka narodowych pomników. Jego rzeźba Krystyny Skarbek jest wyjątkowa.

W jaki sposób opisywane przez ciebie doświadczenia kobiet mogą wpłynąć na nasze pojmowanie historii, zwłaszcza w czasie wojny?

Niestety uważam, że historiom kobiet, które służyły podczas II wojny światowej, nadal nie poświęca należnej im uwagi. Wciąż bardziej koncentrujemy się na ich wysiłku i atrakcyjności niż wkładzie wojskowym. Historia „Zo" została celowo zapomniana przez powojenny reżim komunistyczny w Polsce. Życiorys Skarbek został zmodyfikowany przez grupę mężczyzn – wielu z nich zawdzięczało jej życie – którzy uznali, że świat nie jest gotowy, by poznać jej pełną historię. W każdym razie zawsze była postrzegana jako postać marginalna – zbyt kobieca, by być żołnierzem, ale zbyt męska, by uznać ją za „prawdziwą" kobietę. Była zbyt polska, by Brytyjczycy w pełni ją zaakceptowali, ale Polacy często podkreślali, że służyła Brytyjczykom, a nie Armii Krajowej. W efekcie znalazła się pomiędzy dwoma światami.

Zdobyła tytuł miss w 1930 r.?

Wygrała konkurs piękności w Zakopanem i znalazła się w finale Miss Polski w 1930 r. Jednak uroda niekoniecznie jej pomagała. Piękna twarz jest łatwa do zapamiętania, co stanowi problem dla tajnego agenta. Mimo to zawsze pragnęła być w centrum uwagi i jak na ironię to właśnie wojna pozwoliła jej odegrać ważną rolę – mimo, a może właśnie dlatego, że jako kobieta była często niedoceniana.

Clare Mulley jest nagradzaną autorką książek o roli kobiet podczas II wojny światowej. Jej publikacje obejmują m.in. „Agent Zo", czyli biografię Elżbiety Zawackiej, jedynej kobiety wśród polskich cichociemnych, która została zrzucona z Wielkiej Brytanii na teren okupowanej Polski. Książka znalazła się na długiej liście nominowanych do The Women's Prize for Non-Fiction i w finale konkursu Military History Matters Book of 2025. Clare jest także autorką książek: „Kobieta szpieg" („The Spy Who Loved"), biografii Krystyny Skarbek (1908–1952), „Kobiety, które latały dla Hitlera" („The Women Who Flew for Hitler") oraz „The Woman Who Saved the Children", książki o Eglantyne Jebb, założycielce Save the Children Fund. Clare regularnie występuje w telewizji, radiu i podcastach, recenzuje książki dla prasy, jest jurorką w kilku konkursach literackich. Była m.in. inicjatorką przekazania zdjęcia Krystyny Skarbek do National Portrait Gallery w Londynie. Otrzymała polską Odznakę Honorową Bene Merito oraz nagrodę Daily Mail Biographers Club Prize. Mieszka w Essex z rzeźbiarzem Ianem Wolterem.

A „Zo"?

„Zo" była skromna na forum publicznym, jeśli chodzi o jej wkład, choć nigdy nie wątpiła, jak wiele może zdziałać. W 1989 r. udzieliła wywiadu Andrzejowi Drzycimskiemu, którego później sama spotkałam w Gdańsku. Zapytał mnie, czy chcę usłyszeć głos „Zo", i odtworzył nagranie – była niezwykle emocjonalna, uderzała dłonią w stół. To było niesamowite. Ironią losu było to, że Andrzej nagrał wywiad na taśmach, na których wcześniej znajdowały się propagandowe marsze komunistyczne – trudno o lepszy symbol.

Nagrał z „Zo" 25 taśm, ponieważ planował napisać książkę, ale gdy pokazał jej część maszynopisu, zmusiła go do obietnicy, że jej nie opublikuje. Uważała, że książka powinna opowiadać o wysiłku zbiorowym, a nie tylko o niej samej. Jednak Andrzej nigdy nie obiecał, że nie podzieli się materiałami. Po wielu godzinach rozmowy przesunął taśmy w moją stronę i powiedział: „Teraz ty to zrób". Moja książka skupia się na „Zo", ale opowiada też historię całego zespołu kobiet i mężczyzn, z którymi współpracowała. To była praca zespołowa.

Podkreślasz, że nie piszesz tylko o historii kobiet. Co masz na myśli?

Kiedy zaczęłam pisać, moje książki trafiały na półkę z historią kobiet, a nie II wojny światowej, co mnie trochę zaskoczyło. Oczywiście to historia kobiet, ale także historia Polski i Wielkiej Brytanii. Często używam określenia wspólna historia – po prostu historia. Kobiety, o których piszę, nie były szeroko uwzględniane w narracjach historycznych. Czekam na dzień, w którym pisanie o kobietach nie będzie uznawane za coś wyjątkowego, ale po prostu za część ogólnej historii. Nie chodzi o zastępowanie czegokolwiek, lecz uzupełnienie szerszej narracji o wojnie.

Co najbardziej zaskoczyło cię w Polsce, kiedy tu wróciłaś?

Nie odwiedziłam Polski po mojej pierwszej wizycie w 1992 r. aż do 2011 r., kiedy wróciłam, aby zbadać biografię Krystyny Skarbek. Oczywiście w tym czasie kraj ogromnie się zmienił, w tym także w odzyskiwaniu swojej historii. Jednak najbardziej zaskoczyło mnie to, że historie postaci, takich jak Krystyna Skarbek, Elżbieta Zawacka, Marian Rejewski czy Witold Pilecki – by wymienić tylko kilku – były w Wielkiej Brytanii prawie nieznane aż do ostatnich lat, a dzieje Skarbek i „Zo" nie były nawet dobrze znane w samej Polsce. To dla mnie zaszczyt, że mogłam opowiedzieć część tej historii.

Wywiad odbył się w ramach konferencji Polka XXI w pałacu Krasińskich w Warszawie. Spotkanie zatytułowane „Kobieta, która pisze" poprowadziła dr Jolanta Rzegocka, prezes Fundacji Polka XXI wieku

eprasa.pl 405bf1fd3a

Siła więzi

50. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych, łącząc pozornie skrajne w ocenach gremia, postawił na kino wartości. Osobiste i przywołujące sens mikro- i makrowspólnoty. Jak w nagrodzonych filmach „Ministranci" czy „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej"

Fot. Anna Bobrowska/KFP

eprasa.pl 405bf1fd3a

Kadr z filmu „Ministranci"

„Ministranci" Piotra Domalewskiego mogli być jak „Kler". Niebiorącym jeńców rozliczeniem z instytucją. Ostro odcinającym się od ludzi, którzy nie tylko z powodu sugerowanego zacofania pozostają w „opresji" religijnej wspólnoty.

Film „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej" mógł opowiadać o dysfunkcji przestarzałej społecznie formy. O przytłoczeniu i niszczącej niezależne jednostki rodzinnej duchocie, której wyobrażeniem stałby się zmaterializowany na ekranie, a zaczerpnięty ze świata Leśmiana dusiołek.

Dlaczego tak się nie stało? Trochę także wbrew założeniom samych twórców? I dlaczego takie kino połączyło z reguły niewspółbrzmiące wymagania jurorów i potrzeby widzów?

Z GNIEWU I NIEZGODY

Zacznijmy od wyjątkowej, znaczącej rozpiętości wachlarza nagród. Wyróżniony w 2017 r. Złotymi Lwami – za rozgrywający się w dużej, prowincjonalnej rodzinie debiut „Cicha noc" – Piotr Domalewski po raz kolejny odebrał Złote Lwy. Tym razem za opowieść o pokiereszowanej moralnie wspólnocie parafialnej, a w niej o czterech nastoletnich

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

muszkieterach, ministrantach jeszcze czystej wiary, choć niebezpiecznie balansujących na granicy dzielącej dobry uczynek od występku.

„Z gniewu i niezgody powstał ten film, z tego, że chciałoby się, żeby było inaczej" – mówił tuż po odebraniu Złotych Lwów Piotr Domalewski.

Jednocześnie podkreślał: „To film o bardzo delikatnych emocjach, bardzo osobistych doświadczeniach i spostrzeżeniach. A im bardziej osobisty film, tym trudniej go pokazywać widzom".

„Ministranci" zostali nagrodzeni aż ośmioma wyróżnieniami. Poza Złotymi Lwami dla najlepszego filmu także statuetkami za najlepszy scenariusz i montaż. Siłę przekazu oraz frekwencyjny potencjał obrazu dostrzegli też inni kluczowi oceniający, przyznając Nagrodę Festiwali i Przeglądów Filmu Polskiego za Granicą, Złotego Kangura, czyli Nagrodę Australijskich Dystrybutorów Filmowych, Nagrodę Stowarzyszenia Kin Studyjnych oraz Nagrodę Radia Gdańsk „Złoty Klakier" dla najdłużej oklaskiwanego filmu festiwalu. Film otrzymał również Nagrodę Publiczności.

Reżyser nie ukrywał zdziwienia: „Kto by się spodziewał, że i widzowie, i krytycy, i jury tak dobrze nas przyjmą. Ja jestem zachowawczy, jeśli chodzi o rzeczy, które robię, i jechałem do Gdyni z dużą obawą".

MOC ODPOWIEDZIALNOŚCI

Tymczasem w uzasadnieniu werdyktu czytamy: „Wielka nagroda Złote Lwy w tym roku trafia do filmu, który będąc świetną rozrywką, jednocześnie potrafi opowiadać o tym, jaką ogromną moc i jak wielki wpływ może mieć religia na młody otwarty umysł". Przewodniczący jury Magnus von Horn, wręczając statuetkę, kontynuował: „Święty czy terrorysta – jaka jest różnica? W którym momencie bohater staje się złoczyńcą? Najlepiej chyba powiedziano w »Spider-Manie«: »Z wielką mocą przychodzi wielka odpowiedzialność«".

Jak ten przekaz, zestawiony z popkulturową postacią, może się zgrać z „Ministrantami"? Za sprawą otwartości. Zarówno na filmowe rozwiązania, jak i – a może przede wszystkim – drugiego człowieka. Mimo nie-

Fot. Łukasz Bąk

eprasa.pl 405bf1fd3a

Kadr z filmu „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej”

zgody na różne mechanizmy, sytuacje i zachowania, Domalewski uniknął w swoim filmie kategoryczności. Nie docisnął – jak w słusznym jeśli chodzi o przesłanie „Domu dobrym” – „śruby”, nie dokonał jednowymiarowych cięć. Nagrodzony (jako scenarzysta) za „połączenie empatii z dramaturgiczną precyzją” zostawił przestrzeń dla każdego z bohaterów oraz miejsce na jaśniejsze (obok tych mocno drastycznych) sceny. I choć zamknął film krytycznym akcentem, zamiast jednoznacznych odpowiedzi i ocen zostawił widzów z pytaniami.

JEDNO Z ODKRYĆ DOROSŁOŚCI

– Ta historia chodziła mi po głowie od dawna – mówi reżyser, ale też autor scenariusza. – Sam byłem ministrantem przez dwanaście lat i zawsze czułem się z tą tematyką mocno związany – zarówno emocjonalnie, jak i merytorycznie. Chciałem zrobić nie tyle film o samym środowisku ministrantów, ile o społeczności skupionej wokół Kościoła. Interesowało mnie, jak współczesna młodzież stara się odnaleźć w świecie i zasadach ustalonych przez starsze pokolenia. Bohaterowie próbują zrozumieć reguły rządzące ich rzeczywistością, ale odkrywają, że choć wszyscy o tych zasadach mówią, niewielu naprawdę ich przestrzega. To, moim zdaniem, jedno z największych odkryć dorosłości – i jednocześnie jej największe rozczarowanie.

O wchodzeniu w dorosłość – ale bez tak powszechnego dziś obwiniania wszystkich i wszystkiego wokół – za swoje problemy, dysfunkcje, obciążenia itd. opowiada też film „Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej”, drugi z nagrodzonych laureatów 50. FPFF w Gdyni.

Debiutującą w fabule Emi Buchwald jury wyróżniło za reżyserię. Jednocześnie autorka filmu odebrała Złoty Pazur im. Andrzeja Żuławskiego, jak sama podkreśla, „nagrodę doceniającą odwagę, inne spojrzenie na kino; kino eksperymentujące, może trochę dziwne”. – Mnie to bardzo cieszy, bo właśnie takie kino chcę robić – deklaruje Buchwald. – Z drugiej strony jest nagroda reżyserska. I to za debiut. To się często nie zdarza, tym bardziej doceniam. Dużo czasu spędziłam na uczeniu się reżyserii, zbieraniu doświadczenia, zarówno w autorskim krótkim metrażu, jak i współpracując z innymi twórcami.

W INTRYGUJĄCYM RYTMIE

Zarówno w filmie Domalewskiego, jak i u Buchwald niezwykle ważną rolę pełni rytm scen, a także poprowadzenie rewelacyjnie dobranych aktorów. Za drugoplanową rolę – najstarszej z czwórki dorosłego rodzeństwa, które w tytułowym mieszkaniu przy Dobrej, nie zawsze znajduje bezpieczne gniazdo – nagrodę aktorską dostała Karolina Rzepa. Reżyserka, doceniając jej wkład, podkreśla, że dałaby nagrodę całej czwórce, czyli także Izie Dudziak, Bartłomiejowi Deklawie i Tymoteuszowi Rożynkowi.

„Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej” to film przemyślany i przepracowany na każdym poziomie: i scenariuszowo, i wizualnie, i portretowo, i muzycznie, i dźwiękowo, i w efektach specjalnych (łącznie ze wizualizowanym dusiołkiem). Konkretne problemy rodzeństwa – ich zagubienie, nieprzystosowanie, traumy i lęki – przeplatają się z symbolami i metaforą. W tym pozornie skromnym (bo gdy się uważniej przyjrzeć wielowarstwowym, intrygującym i zaskakującym rozwiązaniami) obrazie realizm łączy się z metafizyką.

RODZINNE LOVE STORY

– To film szczery dlatego, że nie robiony o „jakichś młodych ludziach”, tylko o młodych ludziach, których znam. O mnie i o moim rodzeństwie. I dlatego, że nie myślałam, że robię kino dla młodych ludzi, film o pokoleniu – mówi Buchwald, która przygodę z reżyserią zaczynała jako urodzona w Skierniewicach Emi Mazurkiewicz, „środkowa” w szóstce rodzeństwa, a nowe nazwisko przyjęła, wychodząc za (w sumie nie tak dawno) wieloletniego partnera, dziś kojarzonego przede wszystkim z sukcesem serialu „1670”.

„Marzę, żeby debiuty w Polsce były lepiej dofinansowane i żeby było jeszcze więcej powodów do tego, byśmy je robili, niekoniecznie tylko siłami Studio Munka” – mówiła, odbierając nagrody. Dodawała też: „Ten film to love story o rodzeństwie. To list miłosny do mojego rodzeństwa, bo gdyby nie oni, tego filmu by nie było”.

MIŁOŚĆ I INNE QUESTY

Rodzinne konteksty uwidoczniły się także przy okazji innych nagród 50. FPFF w Gdyni. Występujący w trzech konkursowych filmach (również w „Domu dobrym” i „Wielkiej Warszawskiej”) Andrzej Konopka ujął jurorów rolą ojca w filmie „LARP. Miłość, trolle i inne questy”. Nagrodę za debiut aktorski – i „magnetyczną obecność, która nie pozwala widzowi na oderwanie wzroku od ekranu” – odebrał czternastoletni Filip Wiłkomirski. Film „Brat”, w którym wystąpił, to kolejna świetnie zagrana i poprowadzona przez reżysera (oraz współscenarzystę Macieja Sobieszczańskiego) opowieść o młodych ludziach i rodzinnych relacjach. Nie zawsze łatwych, ale mocno wiążących. Potrzebnych, bo dających ważny punkt odniesienia.

Tak jak w obrazie „Franz Kafka” Agnieszki Holland, nagrodzonym w Gdyni czterema statuetkami. Najważniejsza z nich to Srebrne Lwy („Dla filmu, który w odważny i imponujący sposób miesza przeszłość z teraźniejszością oraz maluje portret młodego mężczyzny, którego pozornie znamy, ale tak naprawdę nie znamy”). Nagrodzono też zdjęcia Tomasza Naumiuka, charakteryzację Gabrieli Polakovej i główną rolę męską (Idana Weissa, za którego sprawą z aktorskim wyróżnieniem na 50. FPFF w Gdyni pożegnał się Eryk Kulm, rewelacyjny w filmie „Chopin, Chopin!”). Statuetkę za główną rolę kobiecą odebrała Matylda Giegżno.

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl 405bf1fd3a

Po co Pasikowskiemu kolejny peerelowski heros?

HITY i KITY ZAREMBY

Twardzielowaty bohater „Zamachu na papieża" musi się kojarzyć z esbekiem Franzem Maurerem z „Psów". Po co Władysław Pasikowski heroizuje postaci funkcjonariuszy PRL? Bóg raczy wiedzieć

On sam budzi we mnie idealnie sprzeczne uczucia – jak nowe auto obywatela spadające w przepaść wraz z jego teściową. „Psy" to krwawy obrazek wychwytujący cząstkę prawdy o transformacji lat 90. A jednak Franz jako pogromca zła mi przeszkadza. To esbecy z „80 milionów" Waldemara Krzystka czy z „Figuranta" Roberta Glińskiego, wulgarni, tępawi, żałośni narodowi zaprzańcy są prawdziwi, a nie ten podebrany z amerykańskiego kina przebieraniec w skórze.

Teraz dowiaduję się z recenzji, że mam uważać zawodowego snajpera, mordercę na żołdzie peerelowskich służb, za ciekawą, wierną sobie postać. To nie było zacniejszych herosów? Obu gra Bogusław Linda, aktor utalentowany, którego bronię przed zarzutami sztuczności i maniery. To jednak dla mnie za mało.

W celu uświęcenia kolejnego *homo sovieticusa* Pasikowski wymyśla dodatkowy wątek historii zamachu na papieża Jana Pawła II z maja 1981 r. Bułgarskie służby zatrudniają Ali Agcę, ale Turka ma z kolei sprzątnąć Polak, bo tylko on umie dokonać takiego wyczynu. Nakłada się to na rozgrywkę na szczytach sowieckiej władzy. Ta polityczna otoczka jest nawet pomysłowa.

W 1989 r. Franz Maurer miał trzydzieści kilka lat. Bruno Brusicki w 1981 r. ma lat 62. Aż strach pomyśleć, co obaj robili, nim pojawili się u Pasikowskiego. Przy czym, zważywszy na różnicę epok, weteran PRL musi być straszniejszy. Każe się go nam jednak lubić. W tym celu musi być śmiertelnie chory, ponadto w prowincjonalnej dziurze wymierza sprawiedliwość zboczeńcom i okrutnym ojcom. Prawda, w sprawie udziału w akcji przeciw papieżowi działa pod przymusem. Ale to konsekwencja jego życiowej drogi. Że widownia mu współczuje? To przyczynek do roli popkultury łatwo manipulującej naszymi emocjami.

Zwykle małomówny Pasikowski ogłosił, że rzuci się na niego prawica i lewica. Ta pierwsza – za akcenty antyklerykalne. Ta druga – za prawdę o PRL plus kult maczyzmu. Ale akcentów dotyczących Kościoła jest tu niewiele. Że już w 1931 r. bohater filmu, jeszcze dziecko, zabił księdza, który dobierał się do jego brata? A potem nie wyjaśnił tej sprawy z kolejnymi biskupami, którzy brali go za prowokatora. Po „Klerze" Wojciecha Smarzowskiego to niewinne prztyczki.

Prawda, PRL jest pokazany jako system kierowany przez złych ludzi. Czy cała lewica wierzy w niewinność totalitarnego systemu? Maczyzmu w filmie jest z kolei też mało. Bruno co prawda jest bezlitosnym żołnierzem, ale rozdaje ciosy na lewo i prawo w obronie kobiet i dzieci. Jego bohater jest jak wyjęty z lat 90., ale głównie w kwestii konwencji, sztafażu.

Napisałem, że ten reżyser budzi we mnie mieszane uczucia. Jego filmy, takie jak „Jack Strong" czy „Kurier", wydawały mi się może nie idealne, ale były ciekawymi przyczynkami do naszej historii. „Pokłosie" epatowało oskarżeniami wiejskiej społeczności o antysemicki mord. Ale Smarzowski znów przebił Pasikowskiego o wiele długości w przedstawianiu Polaków jako krwiożercze bestie. Ten film z niejasnym zakończeniem (może jestem za mało spostrzegawczy) trochę mnie podrażnił apologią bandyty, ale to w końcu konwencja nie wyłącznie polskiego kina o Polsce Ludowej. W tle było przynajmniej trochę obrazków oddających PRL-owskie realia. Za mało, aby wybaczyć żerowanie na ludzkiej naiwności. Ale mam nadzieję, że nikt nie będzie się uczył historii Polski z tego rodzaju produkcji.

Piotr Zaremba

Teatr młodych dla młodych – skromny, świetny

Czy w Polsce możliwy jest teatr działający poza strukturami zarówno scen państwowych, jak i komercyjnych? Obejrzałem „Dziewczynę z aloesem", spektakl młodych aktorów o problemach nastolatków. Występowali w... przykościelnej salce

Trzy lata po studiach w warszawskiej Akademii Teatralnej stworzyli Kolektyw Teatr Kolejny. „Są teatry dla dzieci i są dla dorosłych, a co z młodzieżą"? – mówią. Sztukę napisał im kabareciarz Szymon Jachimek, reżyserowała Paulina Staniaszek. Ale ich jest część dialogów, ich są piosenki. To teatr najskromniejszy, robiony z niczego: sami przywożą scenografię w postaci paru prętów i paru donic z roślinkami, sami pilnują muzyki.

Startowali z grantem programu Przestrzenie Sztuki, zdobyli drugie miejsce na festiwalu Otwarcie w krakowskim Teatrze Ludowym. Recenzenci ich chwalili. A teraz próbują grać w szkołach czy w parafiach. Tym razem przyjął ich proboszcz kościoła w warszawskim Wawrze. Nie przejął się nie całkiem zgodnym z kościelnym, choć delikatnie ujętym podejściem do kwestii nauczania o seksie (to tylko jeden z wątków). Mamy skądinąd kolejny przykład, kiedy katolickie świątynie odgrywają rolę mecenasów niezależnej sztuki.

Niektóre ich przedstawienia są dla samej młodzieży. Tu widownia była mieszana. Mają w sumie ośmioosobową ekipę, ale wymieniają się – obsada jest na czwórkę aktorów. O czym jest ten tekst? Mówi Kaja Kozłowska-Żygadło: „O samotności, o zagubieniu nastolatków w świecie dorosłych. O próbie budowania relacji z rówieśnikami. I o bezradności dorosłych w kontakcie z nastolatkami. Nagle okazuje się, że dorosły ma do czynienia z zupełnie nowym, zamkniętym człowiekiem".

Mnie zachwycił przy okazji publicystycznego tematu ich ogromny luz, przechodzenie z łatwością od memicznego żartu, słownego, nawet ruchowego gagu do zadumy, smutku, choć i nadziei.

Każde ma dorobek na innych scenach. Konrad Żygadło w Teatrze Ochoty, Kaja Kozłowska-Żygadło – w rzeszowskim Teatrze im. Wandy Siemaszkowej, Piotr Kramer – w Teatrze Narodowym, Justyna Fabisiak – w Teatrze Klasyki Polskiej. Są inteligentnie empatyczni i elastyczni. Są świetni.

Dla takich spektakli typowa jest końcowa rozmowa z publiką. Uderzyła mnie euforia widzów, parafian z Wawra. Doceniali to, że nagle teatr pokazał kawałek ich życia. Pewien pan chciał to zobaczyć jeszcze raz w towarzystwie swoich dzieci. Może kiedyś się uda? Przecież w gąszczu innych obowiązków szukają kolejnych miejsc. No i w planie następny tytuł, znów wyczarowany z niczego.

MOCZAR – TAJEMNICE WALKI O WŁADZĘ

Historyk Paweł Machcewicz stał się wyrazistym liberalno-lewicowym publicystą, zwłaszcza po odwołaniu go z funkcji dyrektora Muzeum Historii Polski w 2017 r. Ale wciąż jest wnikliwym badaczem. Jego „Narodowy komunizm po polsku. Partyzanci Moczara" to ciekawa opowieść o kawałku historii PRL

Nieraz sam krzyżował polemiczne szpady z obrońcami tradycyjnej polityki historycznej. Tu opowiada o PZPR-owskiej frakcji „partyzantów", która w latach 60. XX w. podjęła walkę o wpływy, posługując się historią. Jej lider, szef MSW, a zarazem weteran komunistycznej partyzantki Mieczysław Moczar szukał dla komunizmu nowej legitymacji: bardziej narodowa jedność niż klasyczny marksizm. Wiązało się to ze zmianami pozytywnymi – z otwarciem państwa na kombatantów AK, a szerzej – na niekomunistyczne tradycje walki zbrojnej – ale także z antysemityzmem, kamuflowanym hasłem walki z „syjonistami". W obliczu buntu studentów w marcu 1968 r. nacjonalistyczna frazeologia posłużyła do stłumienia wolnościowego zrywu młodzieży zmęczonej niewydolnym systemem Władysława Gomułki.

Machcewicz ciekawie portretuje samego Moczara. Przypisywano mu kurs antyinteligencki, którym posługiwano się w 1968 r. Ale ten człowiek potrafił być elastyczny, uwodzić intelektualistów czy AK-owskich patriotów. Posuwał się do rewizji ideologii niezgodnej z leninowską ortodoksją. Zarazem trudno orzec, co było tu realnym przekonaniem, a co teatrem. W tamtych czasach widowiskowe spory między „szydercami" i „patriotami", toczące się pod kuratelą gomułkowskiej cenzury, były jakąś – bardzo jednak ułomną i często nieszczerą – namiastką pluralizmu.

Mam jedną wątpliwość wobec tej interesującej książki. Już we wstępie autor podkreśla, że tamte spory o polską historię trwają. Wyraźnie, choć tylko aluzyjnie przedstawia część współczesnej polskiej prawicy jako spadkobierców Moczara. To uproszczenie kontrastujące z rzetelnym wywodem czysto historycznym. A jeśli Machcewicz ubolewa nad atakami na „szyderców" i „kosmopolitów", może powinien zmierzyć się z ich ideowym dorobkiem?

Sprowadzanie rozliczeń ze stalinizmem do tropienia Żydów w aparacie przez moczarowców to naturalnie absurd. Ale czy w ogóle nie mieliśmy do czynienia ze zjawiskiem pogardy dla polskości, ze stawianiem Polakom przesadnych zarzutów dotyczących choćby wojny? Tyle tylko, że to pewnie materiał na inną książkę.

3 MIŁOŚCI

Na szczęście Trump chce, by Putin wyszedł z wojny z twarzą

ROBERT TEKIELI

Polska uczestniczy w wojnie. Próg prowokacji został przekroczony. Strzelamy do statków powietrznych wroga. Nie oznacza to, że w nieunikniony sposób Rzeczpospolita zmierza do pełnoskalowej wojny z Federacją Rosyjską. Ale też – to już nie jest tylko wojna hybrydowa. To coś więcej niż płonące hale targowe, zagłuszanie sygnału GPS, naruszenia przestrzeni powietrznej przez wrogie samoloty, niszczenie kabli na dnie Morza Bałtyckiego. Weszliśmy na kolejny poziom eskalacyjnej piramidy. Paradoksalnie dzieje się tak, bo Moskwa traci swobodę ruchu, co dla Polski może być groźne, ale może też być zbawienne.

Strategiczny cel Rosji jest komunikowany jasno. Kraje pomiędzy Berlinem a Moskwą to rosyjska strefa wpływów, ewentualnie rosyjsko-niemiecka, NATO wraca na linię Odry, a Rosja współdecyduje o europejskim systemie bezpieczeństwa, stając się jego „gwarantem". Ukraina zostaje państwem zależnym lub – powielając wariant gruziński – przychylnie neutralnym wobec Moskwy.

Karty zostały wyłożone cztery lata temu. 17 grudnia 2021 r. Ministerstwo Spraw Zagranicznych Federacji Rosyjskiej opublikowało komunikat, w którym poinformowało o przekazaniu stronie amerykańskiej – 15 grudnia w Moskwie podczas spotkania z delegacją kierowaną przez Karen Donfried, asystentkę sekretarza stanu USA ds. Europy i Eurazji – ultimatum wobec USA i NATO, które przybrało kształt dwóch projektów porozumień o gwarancjach bezpieczeństwa. Stany Zjednoczone nie przystąpiły do rozmów. Dwa miesiące później, widząc słabość Bidena, Putin zaatakował.

Od agresji na Gruzję w 2008 r. Moskwa toczy konsekwentny bój o powrót do roli światowego mocarstwa. W sojuszu z Chinami i Iranem dąży do obalenia chwiejącej się dziś hegemonii USA. Celem Rosji jest wielobiegunowy ład globalny z jej udziałem. Chiny Ludowe dążą do globalnej dominacji. Przewodniczący Xi Jinping obiecał aparatowi chińskiej partii komunistycznej osiągnąć ją do 2049 r. Przejściowo zadowoli się powrotem do dwubiegunowego ładu z USA, tyle że z marksistowskimi Chinami w miejsce marksistowskiego Związku Radzieckiego po drugiej stronie. Po drodze sprowadzając wyczerpaną wojną Rosję do roli swojego junior partnera.

Ukraiński atak z użyciem 114 dronów po 500 dol. zmienił Rosję z kraju, którego ze względu na wielkość nie da się podbić, w kraj, którego ze względu na wielkość nie sposób obronić. Co to oznacza dla Polski?

Globalne szachy trwają. Świat stracił poczucie bezpieczeństwa, drżą kolana pętaków.

Na marginalnym dziś dla USA teatrze europejskim – przełom. Aktualnie to Kijów spodziewa się lepszych scenariuszy. Ukraińcy uzyskali zdolność atakowania w Rosji celów dalekiego zasięgu. Nowa ukraińska rakieta manewrująca FP-5 Flamingo zaprezentowana w sierpniu 2025 r. ma zasięg 3000 km i głowicę bojową o masie 1150 kg, co umożliwia atakowanie celów w głębi terytorium Rosji, w tym Moskwy. Atakowanie bez pytania USA o pozwolenie.

Aby do tego nie dopuścić, jeszcze miesiąc temu Trump próbował obalić Zełenskiego, dziś, gdy ten wykazał się sprawczością, proponuje mu amerykańskie tomahawki.

Oczywiście żadna nowa broń nie wygra wojny. Mówimy o zmianie globalnej geografii zagrożeń i kształtu narodowych strategii odstraszania. Bo już wcześniej czerwcowy ukraiński atak z użyciem 114 dronów po 500 dol. zmienił Rosję z kraju, którego ze względu na wielkość nie da się podbić, w kraj, którego ze względu na wielkość nie sposób obronić. Później to samo widzieliśmy w Iranie: izraelskie służby specjalne montujące rakiety w ustronnych miejscach na rozległym terytorium wroga. W wyniku ukraińskiej operacji specjalnej przeciw rosyjskiemu lotnictwu strategicznemu Moskwa w kwadrans straciła jedną trzecią jednej trzeciej swej nuklearnej triady.

W tym kontekście – wbrew pozorom! – trwające właśnie moskiewskie prowokacje wobec krajów NATO mogą świadczyć o słabości Rosji. Bo kolosalne terytorium przestało być atutem i stało się przekleństwem, a Ukraina ma dziś środki, by zacząć systematycznie niszczyć rosyjskie rafinerie i przemysł. W sposób istotny przenieść wojnę na teren wroga, niezdolnego do obrony przeciwlotniczej tak wielkiego terytorium.

To wszystko czyni sytuację potencjalnie groźną, bowiem Moskwa nie ma adekwatnej konwencjonalnej odpowiedzi na nowe zdolności Kijowa. Nie jest w stanie wejść na kolejny stopień drabiny eskalacyjnej. By to zrobić, musiałaby ogłosić powszechną mobilizację.

Dziś przed Rosją stoją trzy możliwości. Wygrana, czyli podporządkowana i zdemilitaryzowana Ukraina poza NATO, co wydaje się coraz mniej możliwe. Klęska,

eprasa.pl 405bf1fd3a

czyli takie zakończenie/zamrożenie konfliktu, którego nie da się nazwać na użytek wewnętrzny zwycięstwem, oznacza to bowiem rychły koniec Putina – przegranego cara. Rosjanie wybaczali swoim władcom wszelkie okrucieństwa, najbrutalniejszy terror, nigdy – słabości i porażki militarne. I wariant trzeci, zabójczy dla Polski: wspomniana totalna wojskowa mobilizacja Rosji plus całkowite już przestawienie jej gospodarki na tryb wojenny. Oznaczałoby to, że w miejsce dzisiejszych 700 tys. żołnierzy rosyjska armia ma ich pod bronią 2–2,5 mln. I gdzie oni pójdą? Na Pekin?

Rosja dysponuje dziś armią z wielkim doświadczeniem bojowym, która nauczyła się walczyć na nowych zasadach, z masowym wykorzystaniem dronów. Taka dwumilionowa siła przetoczy się przez Ukrainę i Polskę. Zatrzymają ją Niemcy?

oraz wymuszenie na Europie, by po kilku dekadach podróży na gapę zaczęła ponosić koszty własnego bezpieczeństwa. Stąd tak monumentalne inwestowanie w nowe technologie, próba naprawy finansów publicznych, stąd wspieranie europejskiej alt-prawicy oraz dobijanie idącego w zaparte (Zielony Ład i nieasymilujący się migranci) rządzącego Starą Europą lewicowo-liberalnego chadecko-zielono-socjalistycznego establishmentu. USA potrzebują zjednoczonego Zachodu.

Ale – wbrew proniemieckim, prochińskim czy prorosyjskim zwolennikom porzucenia przez Polskę opcji atlantyckiej – Trump nie chce i, co ważniejsze, nie może wycofać się z Europy, nie może oddać jej aspirującym do roli europejskiego hegemona Niemcom. Gdyby to zrobił, straciłby zaufanie tworzonej koalicji państw,

Fot. Joshua Sukoff/Shutterstock.com

Trump robi więc wszystko, by Putin wyszedł z ukraińskiej wojny z twarzą. Są to działania racjonalne, o ile powszechna mobilizacja jest dziś w Rosji jeszcze w ogóle możliwa.

Jeszcze dwa obrazki oraz dygresja. Zacznijmy od niej.

Donald Trump widzi relatywne słabnięcie Stanów Zjednoczonych, ale nie ma zamiaru dzielić się światem z Rosją i Chinami. Buduje Festung America: po to zamknięcie dla Chin Grenlandii i portów przy Kanale Panamskim – handlowej drogi północnej i południowej, po to reindustrializacja Stanów Zjednoczonych

którymi Waszyngton tak mozolnie od lat otacza Chiny. Od Pakistanu przez Koreę Południową, Tajwan, Filipiny po Australię. Rozpad „NATO-bis" to oddanie Azji Pekinowi i świat w dwie dekady znów jednobiegunowy. Tyle że tym razem chiński.

Przy tym wszystkim musimy pamiętać, że realne wydatki na zbrojenia Rosji i Chin są takie same jak Stanów Zjednoczonych. Więc jak będzie – nie wie nikt. Moskwa może skończyć jako chiński protektorat, może też ruszyć na Zachód.

Teraz obiecane dwa obrazki.

Nasza ojczyzna wymaga wielkiej pracy instytucjonalnej i wspólnototwórczej oraz wielkiej modlitwy i duchowego wysiłku. Jak odbudowuje się spustoszone instytucje? Popatrzmy na Hegsetha i Vianneya.

Sekretarz obrony USA Pete Hegseth wygłosił ostatnio w obecności 800 generałów swoje polityczne credo: „Koniec z kultem zmian klimatycznych, koniec z podziałami, odwracaniem uwagi i złudzeniami dotyczącymi płci, koniec z dziadostwem". Będą zwolnienia dowódców, którzy wciągnęli wojsko w wojnę kulturową. Armia „powraca do najwyższych męskich standardów", bo to kwestia „życia lub śmierci". Będzie „więcej czasu w polu i na strzelnicy", żołnierze będą musieli przejść neutralne pod względem płci i wieku testy sprawnościowe z wynikiem powyżej 70 proc. „To absolutnie niedopuszczalne, żeby widzieć otyłych generałów i admirałów na korytarzach Pentagonu i w najważniejszych dowództwach w całym kraju i na świecie" – powiedział Hegseth. Armia nie jest dla dobrego samopoczucia żołnierza, lecz do obrony kraju. „Koniec chodzenia po skorupkach jaj" – nikt nie będzie wymagał od żołnierza, żeby był grzecznym chłopczykiem (gentleboy). To nie parytet płci będzie decydować o składzie armii, ale wyniki testów, siła i szybkość, celność i wytrzymałość.

Na przełomie XVIII i XIX w. podobnie zniszczoną instytucję – w tym przypadku parafię – przejął Jan Maria Vianney, dziś uznany wielki katolicki święty. Słynął z życia pełnego pokory, umartwienia i głębokiej modlitwy. Zaczął od pozyskania młodzieży i mężczyzn. „Mężczyźni w Ars zaczęli regularnie uczęszczać na nabożeństwa niedzielne i zachowywać się tak przykładnie, że budzili tym wielki podziw obcych przybyszów. Niekiedy nawet część ich pozostawała po nieszporach przez godzinę na modlitwie przed wystawionym Przenajświętszym Sakramentem" – pisał jego biograf Francis Trochu. Potem zaczął zachęcać do powrotu do zwyczaju wspólnej modlitwy w rodzinach. „W niedługim czasie co wieczór widziano parafian z Ars na odgłos dzwonu ściągających do kościoła ze wszystkich stron – niby jedna wielka rodzina – aby odmówić wspólnie pacierz wieczorny i koronkę". Potem przyszedł czas na codzienny rachunek sumienia. I tak krok po kroku. Nawrócona dusza po duszy. Takie jest źródło naszej nadziei. Nie wiemy przecież, ilu musi być sprawiedliwych, by na Polskę nie spadł ogień z nieba.

eprasa.pl 405bf1fd3a

FRYDERYK CHOPIN*

Od Żelazowej Woli po Kosmos

W Warszawie trwa XIX Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina (2–23 października). Koncerty odbywają się w Filharmonii Narodowej, ale 17 października uroczystości związane z obchodami 176. rocznicy śmierci artysty przeniosą słuchaczy do bazyliki Świętego Krzyża, gdzie znajduje się serce kompozytora.

Równolegle z konkursem, a także po jego zakończeniu, można ruszyć śladami – nie tylko muzycznymi – wielkiego romantyka, wybierając się m.in. do warszawskiego Muzeum Fryderyka Chopina, gdzie do 31 października trwa ekspozycja „Życie romantyczne. Chopin, Scheffer, Delacroix, Sand".

10 października trafi do kin film „Chopin, Chopin!" w reżyserii Michała Kwiecińskiego ze znakomitą rolą Eryka Kulma. Grany przez niego bohater jest brawurowy, dowcipny i cierpiący. Żyje pomiędzy romantycznymi uniesieniami a bliskością śmierci, w świecie przywołanym na ekranie także za sprawą nagrodzonych na 50. FPFF w Gdyni twórców scenografii (Katarzyna Sobańska, Marcel Sławiński) oraz kostiumów (Magdalena Biedrzycka, Justyna Stolarz).

Film skupia się na emigracyjnym okresie życia Fryderyka, tymczasem immersyjna wystawa „Romantyczny Chopin" prezentowana (do 31 stycznia 2026 r.) w warszawskiej Fabryce Norblina zabiera widzów w cyfrowo-malarsko-muzyczną podróż do miejsc bliskich kompozytorowi w ciągu całego jego życia.

Odwołując się do kompozycji, listów oraz historycznych kontekstów, przeprowadza zwiedzających przez osiem tematycznych przestrzeni. Każda z nich opowiada inną część historii życia i twórczości Chopina, począwszy od malowniczego dworku w Żelazowej Woli (z tym że obok pojawia się dynamiczna mapa zmieniających się granic Polski). W kolejnych salach śledzimy podróż artysty przez Warszawę jego młodości, pełen niepewności Wiedeń oraz Paryż – miejsce jego największych artystycznych sukcesów i osobistych uniesień.

Warstwa wizualna czerpie ze stylistyki m.in. obrazów Canaletta czy ilustracji z epoki, ale została zrealizowana też dzięki 50 namalowanym specjalnie do tego projektu akwarelom Beaty Musiał-Tomaszewskiej, ożywionym w formie animacji poklatkowej. Na tle zmieniającej się, wielkoformatowej wizualizacji podczas trwającego pół godziny seansu widzowie mają szansę dosłownie zanurzyć się w muzyce Chopina, podziwiając jednocześnie metaforyczne obrazy, inspirowane jego twórczością, ojczystymi krajobrazami czy historycznymi wydarzeniami.

Całej ekspozycji towarzyszy prowadzona w pierwszej osobie narracja bazująca na listach kompozytora.

Jak wyglądały dłonie Chopina, pokazują ich odlewy. Kto chce, może do nich porównać własne ręce, a potem „uruchomić" cyfrowo wybrane fragmenty dzieł, odkrywając w ten sposób 16 najpiękniejszych kompozycji w nowej formie. Multimedialne interaktywne drzewo umożliwia z kolei wejście w relacje z postaciami bliskimi Chopinowi: np. siostrami, rodzicami, Lisztem czy George Sand.

W sali VR (skrót od angielskiego terminu virtual reality, czyli wirtualnej, trójwymiarowej, interaktywnej rzeczywistości, w którą widz wkracza, wkładając specjalne gogle) dzięki realizacji studia Platige Image, wyruszając z Paryża przez romantyczne krajobrazy nad Wisłą, możemy dotrzeć aż do kosmosu, gdzie muzyka Chopina nabiera metafizycznego wymiaru. Wystawę „Romantyczny Chopin" zamyka sala poświęcona Konkursowi Chopinowskiemu.

W stałej oprawie ekspozycji znalazło się kilkadziesiąt utworów Chopina. Od 19 października będzie można posłuchać jego muzyki także na żywo, w cyklu niedzielnych koncertów, na których wystąpią młodzi pianiści rekomendowani przez Narodowy Instytut Fryderyka Chopina. Instytucja ta konsultowała również całą ekspozycję „Romantyczny Chopin".

Jolanta Gajda-Zadworna

**W Filharmonii Narodowej, kinie i na nowoczesnych wystawach*

Fot. Materiały prasowe

SŁODKO-SŁONY

Placek na papierze

ANNA MONICKA

Obok papieru ryżowego w sklepach z orientalnym jedzeniem długo przechodziłam obojętnie. Po prostu nie wiedziałam, jak go przygotować i wykorzystać. Wszystko zmieniły warsztaty robienia sajgonek i spring rollsów. Okazało się, że wystarczy przejrzyste arkusiki na kilka sekund zanurzyć w letniej wodzie, aby nabrały sprężystości. Po chwili można je rozłożyć na wilgotnej desce i zawijać w nie farsz mięsny lub krewetkowy, by potem usmażyć, albo soczyste warzywa pokrojone w nitki z cieniutkim makaronem – i podawać z pikantnym sosem słodko-kwaśnym.

Od czasu do czasu bawimy się z córką w takie rollsy, kiedy wybitnie potrzebujemy sporej dawki witamin. Mieszamy marchewkę, ogórka, awokado, mango, kiełki słonecznika, sałatę lodową, pokrojone sakiewki tofu. Mamy też swoje ulubione miejsca, w których można zjeść świeże i pachnące naleśniczki z krewetką i tajską bazylią. Zawsze wychwalamy wtedy Chińczyka czy Wietnamczyka, który wynalazł papier ryżowy. Podobno stało się to wiele wieków temu, w czasach dynastii Tang, kiedy ze zmielonego na mąkę ryżu i wody zaczęto produkować makaron. Rozlewano cienką warstwę ciasta na grubo tkanych matach bambusowych i suszono na słońcu. Z czasem zaczęto dodawać odrobinę soli, mąkę z tapioki, wynaleziono specjalne maszyny, żeby przyspieszyć cały proces, ale przepis się nie zmienił.

Ostatnio koleżanka podsunęła mi pomysł z omletami lub plackami robionymi na ryżowych arkusikach – nie trzeba ich nawet wcześniej moczyć, tylko rzuca się na rozgrzaną patelnię. Prosty pomysł na ciepłe i sycące śniadanie, a nawet obiad, jeśli dorzucimy coś konkretnego.

Ponieważ mam papier XXL o średnicy 28 cm oraz równie dużą patelnię, moje placki wychodzą naprawdę spore. Ubijam trzepaczką kilka jajek, dodaję tuńczyka z puszki (odcedzonego) lub strzępki łososia, dużo posiekanej dymki, kilka przekrojonych na połówki pomidorków koktajlowych, posiekaną w drobną kostkę papryczkę i od razu wylewam na rozgrzany opłatek. Dokładnie rozprowadzam, żeby cały zwilżyć, i nakrywam pokrywką. Po kilku minutach, gdy jajka się delikatnie zetną, bez problemu składam arkusz na pół, dodaję kilka kropel oliwy i podsmażam z jednej i drugiej strony. Podaję z sałatami skropionymi sokiem cytrynowym lub limonkowym.

Fot. Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Step

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Tysiące lat temu, kiedy pierwsi ludzie zaczęli zasiedlać Europę, naturalnym środowiskiem naszych przodków był step. Las – dawna paneuropejska puszcza, z którą słusznie możemy się utożsamiać i której tak wiele zawdzięczamy – pojawił się później, stopniowo, wraz z postępującą sukcesją roślinną.

Przez 100 tys. lat, aż do końca epoki lodowcowej, step był najrozleglejszym ekosystemem lądowym na świecie. W późnym plejstocenie zaczynał się na Półwyspie Iberyjskim, obejmował większą część Europy, rozległe przestrzenie Azji aż po Cieśninę Beringa, Alaskę i północną Kanadę. Plejstoceńskie zbiorowisko jest obecnie nazywane stepo-tundrą lub stepem mamutowym. Fragmenty takich stepów można jeszcze znaleźć w Mongolii.

Jeżeli przyjąć, że historia *Homo sapiens* w Europie ma ok. 45 tys. lat, to mniej więcej trzy czwarte tego czasu upłynęło na stepach, pośród wielkich trawożerców i polujących na nich wielkich drapieżników.

Dzisiaj step wciąż jest bardzo rozległym obszarem. Krańce zachodnie sięgają Austrii i – jako słynna puszta – Węgier. Rozległe obszary stepów istnieją na Ukrainie. Mają w sobie tę samą naturę przestrzeni, co kiedyś stepy mamutowe, rozciągając się nie tylko w przestrzeni, lecz także w sięgającym daleko wstecz czasie.

Ukraińskie stepy należą do najżyźniejszych obszarów świata, doskonałych do uprawy zbóż, czyli właśnie traw. Zbiorowisko stepowe charakteryzuje się niewielkimi opadami: 300–500 mm rocznie. W tych warunkach powstająca corocznie wielka ilość trawiastej materii organicznej zamienia się w grubą warstwę próchnicy, która na podłożu bogatym w węglan wapnia daje efekt w postaci urodzajnych czarnoziemów.

Oprócz cech idealnej przestrzeni rolniczej step ma swoją specyfikę przyrodniczą, kształtującą jego postać jako ekosystemu: od kopiących nory susłów (uprawiają step, przemieszczając niezliczone metry sześcienne gleby) i bobaków (dawno już nie występują na tych stepach, lecz pozostawiły po sobie wciąż widoczne kurhanki) przez trawę wiechlinę cebulkowatą (w jej wiechach nie wyrastają kwiaty ani nasiona, lecz drobne cebulki, które czekają, aż bydło wgniecie je racicami w ziemię) po ciemnoczerwone piwonie – zakwitają one w maju, a po których zakwita błękitna szałwia i srebrzą się ostnice.

Niezależnie od innych argumentów, Ukraina musi być w UE także po to, aby włączyć pradawne stepy w europejski system ochrony przyrody.

eprasa.pl 405bf1fd3a

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Faszyzm, nazizm, banderyzm

Czym jest propagowanie banderyzmu? Z odpowiedzią na to pytanie nie mogła sobie poradzić Prokuratura Okręgowa w Warszawie i oddaliła zawiadomienie o popełnieniu przestępstwa przez Ukraińca machającego podczas koncertu na Stadionie Narodowym czerwono-czarną flagą uznaną za oficjalną flagę OUN-UPA. Prokurator Karolina Staros wyjaśniła, że użycie flagi Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińskiej Powstańczej Armii było rozpatrywane pod kątem „publicznego propagowania ideologii faszystowskiej i nazistowskiej" i nie dopatrzyła się takiego działania u Ukraińca, który zresztą po koncercie wyraził w internecie żal i przepraszał wszystkich Polaków. Trudno powiedzieć, czy było to szczere wyznanie, ale teraz ten młody człowiek wie, że polskie prawo nikogo nie będzie ścigać za prezentowanie banderowskiej flagi. Co zatem oznacza ta flaga, co się za nią kryje?

Prezydent Karol Nawrocki zapowiedział przedłożenie projektu ustawy o ściganiu i karaniu za propagowanie banderyzmu. Już sam fakt wniesienia takiej ustawy rodzi nadzieję, że o ideologii OUN-UPA dowiedzą się nieco więcej Ukraińcy mieszkający w Polsce oraz nasi prokuratorzy. W ustawie ma być też zawarta penalizacja rozpowszechniania kłamstwa wołyńskiego. Miejmy nadzieję, że powstanie konstrukcja prawna podobna do tej, jaką organy państwowe zobowiązane są stosować w przypadku kłamstwa oświęcimskiego, negowania Holokaustu czy używania określeń typu „polskie obozy koncentracyjne". Przepis czasami jest stosowany, choć nie w przypadku minister Barbary Nowackiej, która „tylko się przejęzyczyła", mówiąc publicznie: „Na terenie okupowanym przez Niemcy polscy naziści zbudowali obozy, które były obozami pracy, a potem stały się obozami masowej zagłady".

Prokuratura nie ma racji, nie dopatrując się w eksponowaniu flagi OUN-UPA ideologii nazistowskiej i faszystowskiej. To,

www.wojciechreszczynski.pl

co nazywamy banderyzmem (od nazwiska Stepana Bandery), jest ideologią, która czerpała wprost z włoskiego faszyzmu i niemieckiego nazizmu. Równocześnie OUN-UPA, o czym głównie chcą pamiętać Ukraińcy, była wyrazicielem niepodległościowych dążeń Ukrainy. Ale jakimi metodami i za jaką cenę? W wyniku działań OUN-UPA zamordowano ok. 100 tys. polskiej ludności cywilnej. Strategicznym celem tego ludobójstwa było zbudowanie nacjonalistycznego państwa ukraińskiego na arbitralnie uznanych przez OUN „ukraińskich terytoriach etnograficznych", a więc na obszarze Podlasia, Chełmszczyzny, Zamojszczyzny, Nadsania i Łemkowszczyzny. Stąd tak wielka skala mordów.

OUN-UPA czerpała swą siłę ze zbrodniczej ideologii, której twórcą był Dmytro Doncow (1883–1973). Przekonywał on w swoich pracach o konieczności permanentnej walki między nacjami; na czele nacji ma stać warstwa „lepszych ludzi", za których uznawał... rasę nordycką. Według Doncowa „lepsi ludzie" mają prawo stosować „twórczą przemoc", a na ich czele musi stać „wódz". Doncowska struktura nacji to schemat: „tłum–elita–wódz". Dlatego jego doktryna, kontynuowana w czasie II wojny światowej przez Banderę, jest tak podobna do doktryny faszyzmu i nazizmu, a także bolszewizmu. Od Arthura Schopenhauera Doncow przejął pojęcie woli: woli nacji, woli do życia, woli do władzy, woli do walki, woli do ekspansji. Z Karola Darwina czerpał pojęcia o postępie, który polega na zwycięstwie silniejszego nad słabszym. Popierał słowa Adolfa Hitlera, który pisał: „Silni przepędzą słabych, ponieważ pęd do życia w jego ostatecznej postaci zawsze roztrzaska groteskowe okowy tak zwanego humanitaryzmu, ażeby w jego miejsce mógł wstąpić humanitaryzm przyrody, która tępi słabych, by oczyścić miejsce dla silnych". A skoro dominuje siła, to musi się łączyć z przemocą. Doncow pisze: „Przemoc to jedyny sposób będący w dyspozycji narodów, zbydlęciałych przez humanizm, aby wrócić do swej dawnej zawziętości [...] żadne zasady nie mogą zabronić, aby słabszy uległ przemocy silniejszego".

Cytaty czerpię z książek Wiktora Poliszczuka (1925–2008), kanadyjskiego politologa ukraińskiego pochodzenia. Studiował na Uniwersytecie Wrocławskim, był autorem ponad 12 prac poświęconych ideologii ukraińskiego nacjonalizmu. Szczegółowo opisał ideowe związki banderyzmu z nazizmem i faszyzmem, propagowanie przemocy, siły, ekspansji, rasizmu jako głównych sił motorycznych nacji. A także ukazał dowody na fanatyzm, nienawiść, bezwzględność i amoralność ideologów ukraińskiego nacjonalizmu. Jak pisze Poliszczuk, „wywodząca się z darwinizmu społecznego doktryna Doncowa nie uznaje żadnych kompromisów, nacja ukraińska jest ponad wszystko, a inne nacje są wrogami nacji ukraińskiej".

Dlatego tak ważne są prace uczciwych historyków, takich jak Wiktor Poliszczuk, bo nie da się zbudować prawdziwego pojednania z Ukrainą na kłamstwie. Ta prawda jest też potrzebna Ukraińcom, którzy walczą o przetrwanie z rosyjskim agresywnym imperializmem. Ale jak widać, potrzebna jest również polskim elitom decydującym o interpretacji prawa, na którą winna się składać także rzetelna wiedza historyczna.

eprasa.pl 405bf1fd3a

OGNIEM NA WPROST

Ktoś tu się doigra

Andrzej Rafał Potocki

Zgodnie z tym, co przewidywaliśmy, spotkanie na szczycie na Alasce nie dało zupełnie nic. Moskwa zintensyfikowała ataki na Ukrainę, a Stany Zjednoczone zaczęły na pełnych obrotach szykować się do konfrontacji. Elementem tych przygotowań było zorganizowane zaraz po powrocie z Alaski spotkanie Donalda Trumpa z prezydentem Zełenskim, a potem z przywódcami europejskimi. Po czym amerykański prezydent zaczął podkręcać atmosferę, rzucając informacje o przewidywanej skali pomocy militarnej dla Ukrainy (za którą zapłacą kraje europejskie – przynajmniej w oficjalnej retoryce). Kolejnym krokiem było wezwanie wszystkich krajów NATO i świata do zagłodzenia Federacji Moskiewskiej poprzez zaprzestanie kupowania od niej ropy. Następnie poinformował o „bardzo produktywnej rozmowie" z komunistycznym cesarzem tzw. Chińskiej Republiki Ludowej Xi (czyli skrzyżowaniem Kung Fu Pandy z Kubusiem Puchatkiem), żeby podczas otwarcia sesji ONZ oskarżyć Chinoli i Hindusów o sponsorowanie wojny na Ukrainie (dostało się też UE i Niemcom). Aby wreszcie przywalić z grubej rury...

Nie ma już mowy o niemożności odzyskania okupowanych terenów. Nie ma mowy o liczeniu się z Kremlem. „Z czasem, dzięki cierpliwości i finansowemu wsparciu Europy, a szczególnie NATO, [Ukraina osiągnie] oryginalne granice, gdzie wojna się zaczęła, to bardzo prawdopodobna opcja. Czemu nie?" – oświadczył Trump. I to jest kluczowa zmiana oficjalnej narracji USA. Moskiewski ideolog Aleksandr Dugin najpierw stwierdził, że ten wpis to ironia pod adresem Ukrainy na zasadzie: skoro jesteście tacy mocni, a Rosja tak słaba, to walczcie sami, a ja wam tylko sprzedam broń. Po chwili jednak złapała go głębsza refleksja. „Mimo to wpis Trumpa to ostra spirala eskalacji. Można go rozumieć jako unik, ale można go również postrzegać jako bezpośrednie wyzwanie militarne dla Rosji. Obie wersje są dopuszczalne. III wojna światowa — oto nadeszła. Po wymianie pierwszych masowych ataków Chiny również się zaangażują, a potem cokolwiek się stanie, to się stanie. Nadal istnieje wrażenie, że społeczeństwo zachodnie jest gotowe na zbiorowe samobójstwo ludzkości. To bardzo poważna sprawa. »Najostrzejsza faza wojny jest teraz« — jak mówi Pieskow. Ostra, owszem, ale nie najostrzejsza. Najostrzejsza będzie w bezpośredniej konfrontacji z NATO. To się może zdarzyć w każdej chwili. Teraz kluczowe jest, aby być na to przygotowanym moralnie i psychologicznie" – uważa Dugin.

Prezydent Trump zgodził się na ukraińskie ataki dalekiego zasięgu na cele w głębi terytorium Rosji – oznajmił specjalny wysłannik USA ds. Ukrainy Keith Kellogg na antenie Fox News. Wcześniej portal Axios informował, że Zełenski miał poprosić Trumpa o pociski dalekiego zasięgu Tomahawk. Administracja bierze pod uwagę tomahawki i inne uzbrojenie dalekiego zasięgu dla Ukrainy – przekazały źródła „The Wall Street Journal". W niedzielę wiceprezydent J.D. Vance potwierdził wcześniejsze doniesienia prasy oraz słowa prezydenta Ukrainy: „Decyzję o przekazaniu Ukrainie pocisków Tomahawk, o co prosił prezydent Zełenski, podejmie osobiście prezydent Trump". Jak już się to stanie, ktoś tu się doigra.

Obecny stan Moskwy dobrze skomentował ruski bloger Jewgienij Goldman. „Wszyscy milczą. HIMARS uderzył w Biełgorod, nie ma prądu! Drony atakują obwody biełgorodzki i kurski. A Pieskow nam opowiada, jak dobrze radzi sobie gospodarka. Jaka gospodarka? Ludzie giną każdego dnia [...]. Teraz dostaną tomahawki i co? Mamy to wszystko po prostu przełknąć? [...] Kiedy ostatnio wymienialiśmy lufy w czołgach, w artylerii? Mówią nam, że nie mamy metalu" – panikuje Goldman, stając radośnie w kolejce po tytuł zagranicznego agenta. Do dyskusji dołączył niespodziewanie sam białoruski Baćka Traktorzysta, pytając z troską: „Jak żyć, Władimirze Władimirowiczu?". Dronowa młócka ze strony Ukraińców faktycznie jest potężna i strategicznie równo czochrane są rafinerie, infrastruktura wojskowa, jednostki wojskowe oraz magazyny amunicji. A na Krymie zaginął nasz stary znajomy, kacapski gubernator obwodu chersońskiego Wołodymyr Saldo. 21 września w sanatorium Faros, będącym krymskim ośrodkiem wypoczynkowym FSB, odbywała się impreza, w której miało uczestniczyć sporo wysoko postawionych ludzi z ruskich służb. W wyniku ukraińskiego uderzenia miały zginąć 3 osoby, a 21 zostało rannych. Od tamtej pory Saldo nie daje żadnych znaków życia. Doigrało się bydlę i pozostaje mieć nadzieję, że na tamtym świecie czeka go wieczne potępienie. A u nas ci, którzy krytykowali Trumpa za uleganie Kremlowi, teraz zapewne szykują się do darcia szat pod hasłem: „Olaboga, co ten szaleniec [Trump] wyczynia? Będzie wojna". Durniom trudno dogodzić. Taka mantra.

Współpraca: „Skipper"

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 405bf1fd3a

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Polacy stamtąd

Aleksander Nalaskowski

Uwagę Polaków przykuwa dziś wojna wokół edukacji zdrowotnej, wojenki wewnątrz koalicji 13 grudnia czy wreszcie domyślanie się, co miał na myśli Hołownia, mówiąc do Tuska, że pora odejść w niesławie. W Polsce jak w tyglu. Cały czas coś bąbluje, wrze, paruje, cuchnie, hałasuje i nie daje o sobie zapomnieć. Jesteśmy przebodźcowani i coraz mniej wrażliwi na bodźce słabsze, subtelniejsze, bardziej wyrafinowane.

W tym zgiełku niemal niezauważona przeszła inicjatywa – a może tylko propozycja – senatora Grzegorza Biereckiego, aby dokonać repatriacji Polaków z terenów byłych republik sowieckich. Pomysł znakomity i ze wszech miar godny realizacji. Idea tak samo słuszna i potrzebna, jak trudna do wykonania. Nie znaczy to jednak, że awykonalna i utopijna. Myślę, że czekają na nią tysiące potomków tych, których onegdaj wywieziono wbrew ich woli do komunistycznego raju tylko dlatego, że byli Polakami.

Inicjatywa senatora Grzegorza Biereckiego, aby dokonać repatriacji Polaków z terenów byłych republik sowieckich, to pomysł znakomity i ze wszech miar godny realizacji

Po pierwsze, należy rozpropagować możliwość repatriacji w tych rejonach, gdzie są największe skupiska naszych rodaków. Trzeba pokazać Polskę jako kraj dużych możliwości i dobrych perspektyw dla repatriantów. Czyli trzeba ich przekonać, że warto wrócić na łono ojczyzny, że jest tu miejsce także dla nich.

Po drugie, trzeba w Polsce stworzyć odpowiednie przepisy regulujące repatriację i otwierające ją jako splot możliwości rozwojowych wspieranych przez państwo. To kwestia odpowiedzialności za tych, których namawiamy do powrotu.

Po trzecie, trzeba zadbać o sprawy mieszkaniowe (np. wykorzystanie pustostanów), socjalne (zatrudnienie, fundusze, nostryfikacja dyplomów), edukację (pełny dostęp do struktury oświatowej i akademickiej), sprawy administracyjne (wyszkolenie specjalistów ds. repatriacji).

Po czwarte, temat trzeba oswoić społecznie, to znaczy wyraźnie powiedzieć, że repatriant to nie jest imigrant, to nie jest obcy.

Po piąte, cały system repatriacyjny należy zabezpieczyć przed oszustami tylko podającymi się za Polaków.

Po szóste, koniecznie trzeba skrócić czas procedury repatriacyjnej. Obecnie trwa to przynajmniej kilka lat. To kwestia usprawnienia działań odpowiednich służb.

Warto zapoznać się z doświadczeniami Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie im. Jana Olszewskiego. Ta działająca już od ponad 30 lat instytucja może być nieprzebranym źródłem wiedzy i kontaktów.

Dlaczego należy rozpocząć repatriację naszych rodaków ze Wschodu? Przyczyny zdają się być dwie. Pierwsza to nasz patriotyczny obowiązek. Ci Polacy mają prawo do swojej ojczyzny, a ojczyzna ma obowiązek ich przyjąć. Druga przyczyna to pragmatyzm demograficzny. Polaków jest coraz mniej. Zasiedlanie kraju przybyszami z Azji czy Afryki jest eksperymentem ryzykownym o czym świadczą doświadczenia Niemców, Francuzów czy Brytyjczyków. Polska potrzebuje Polaków. Nie zastąpią ich Ukraińcy ani Kolumbijczycy.

Polska diaspora tylko w USA i Kanadzie liczy ok. 10 mln osób wskazujących na polską tożsamość. Ale trudno oczekiwać, by chciały one zmieniać kraj zamieszkania. Nie te realia i nie ten poziom życia. Natomiast dla ok. 1 mln Polaków z byłych republik sowieckich Polska może okazać się krajem atrakcyjnym. Pełnym perspektyw i – co ważne – bezpiecznym.

Gdzieś wyczytałem, że w Polsce jest prawie 20 tys. pustostanów mieszkalnych. Ten zasób byłby dobry na początek akcji repatriacyjnej. Być może część rodaków chciałaby się poświęcić rolnictwu. I na to byśmy znaleźli sposób. Warto dodać, że na Wschodzie mieszka wielu wykształconych Polaków i fachowców.

Rok temu poznałem panią Gabrielę z Mołdawii. Jest lekarzem kardiologiem. Mówi piękną polszczyzną i marzy o tym, by zamieszkać w Polsce. W obecnej sytuacji jej na to po prostu nie stać. W przeliczeniu na złotówki zarabia ok. 5 tys. zł. W Polsce nie da się z tego kupić mieszkania i odłożyć jakichś oszczędności, by utrzymać się przez pierwsze miesiące. Potrzebna jest zatem szeroka pomoc państwa. To nasz obowiązek.

Niestety jak wspomniałem na początku, apel senatora Biereckiego nie wywołał prawie żadnej reakcji. Szlachetny wyjątek stanowi tu Akademicki Klub Obywatelski im. Lecha Kaczyńskiego. Ale to za mało. Daleko za mało.

eprasa.pl 405bf1fd3a

Michał Korsun prezentuje:
Szymon „Zbawca narodu" Hołownia chce do ONZ

Referencja: Shutterstock x3

Wycinki z przeszłości

Mówi się, że dawniej ludzie byli silniejsi. I wiele na to wskazuje. „Gazeta Krakowska" w 1973 r. pisała o Nigeryjczyku S. Ibeabuchim, który na oczach tysięcy widzów przeciągał liną 30 osób, podnosił zębami człowieka, a na piersi znosił 600 kg cementu. Największe emocje budził jednak jego warkocz – przywiązany 50-kilogramowy kloc unosił bez użycia rąk. „Przez pół roku żyłem w dżungli i przejąłem siłę zwierząt – mówił atleta".

(sp)

Najsilniejszy człowiek świata?

Próba wytrzymałości... warkocza

Na ulicach Brazzaville zwraca powszechną uwagę potężnie zbudowany mężczyzna z warkoczem, sięgającym do pasa. Występując na stadionie na oczach tysięcy widzów Nigeryjczyk — S. Ibeabuchi pokonywał w przeciąganiu liny 30-tu ludzi, podnosił zębami za pas człowieka i robił tak zwany most: na pierś kładziono mu 12 worków cementu, ważącego w sumie 600 kg. Za gwóźdź programu nowego Samsona wchodzi jednak próba wytrzymałości... jego warkocza. Silaczowi przywiązywano do włosów kloc o wadze 50 kg, a następnie Ibeabuchi unosił z ziemi ten ciężar, bez pomocy rąk. Przez pół roku żyłem w dżunglach razem z dzikimi zwierzętami i przejąłem ich siłę — stwierdził atleta.

GAZETA Krakowska

Z WOLEJA

Filipiński niedosyt

Ryszard Czarnecki

Kiedyś była choroba filipińska (*casus* Aleksandra Kwaśniewskiego). Teraz po siatkarskim mundialu w tym jedynym katolickim kraju Azji jest filipiński niedosyt. Trudno, żeby było inaczej. Przed mistrzostwami świata Biało-Czerwoni byli na pierwszym miejscu światowej federacji piłki siatkowej – FIVB. Zresztą po mistrzostwach dalej są liderem.

W tym roku wygraliśmy Ligę Narodów. Jesteśmy aktualnymi mistrzami Europy, a w pierwszej czwórce na Filipinach plasowały się tylko drużyny ze Starego Kontynentu. Według ratingów bukmacherów Polska była faworytem do złotego medalu. Mieliśmy bowiem w drużynie najlepszego siatkarza świata. To wszystko powodowało, że oczekiwaliśmy złotego medalu MŚ – po raz czwarty w naszej historii. Dlaczego? Bo z trzech ostatnich finałów mistrzostw globu wygrywaliśmy dwa, a z pięciu ostatnich finałów siatkarskich mundiali mieliśmy dwa złote i dwa srebrne medale. Czy nie było „oczywistą oczywistością", że sportowa Polska oczekiwała Mazurka Dąbrowskiego – tej najpiękniejszej melodii świata? A jednak tak się nie stało. Mamy podium, mamy szósty medal w historii MŚ w piłce siatkowej mężczyzn, ale to „tylko" brąz. Proszę, nie każcie mi się z tego cieszyć. To byłby minimalizm, a ten zabija pragnienie zwycięstwa.

Jesteśmy jedynym krajem, który nieprzerwanie zdobywa medale na MŚ od 11 lat. To był najgorszy wynik naszej drużyny od półtorej dekady. Które z tych stwierdzeń jest prawdziwe? Oba!

Jeden z byłych trenerów naszej kadry skrytykował obecnego trenera, Serba, że w półfinale przeciwko Italii nie skorzystał z Artura Szalpuka. Jeden z naszych mistrzów olimpijskich z 1976 r. (jedyne polskie siatkarskie złoto na IO) też skrytykował trenera Grbicia, że nie dał pograć zmiennikowi atakującego Bartosza Kurka, czyli Kewinowi Sasakowi, i w związku z tym w półfinale nie był on w „trybie meczowym", jak parę miesięcy temu, gdy okazał się kluczową postacią w zwycięskiej polskiej reprezentacji, która w finale Ligi Narodów zdemolowała... Italię. Inni pytają, dlaczego na mundial w Manili nie pojechali zawodnicy w pełni zdrowi. Wątpliwości można mnożyć. Choćby po to, żeby wygrać następne mistrzostwa świata.

eprasa.pl 405bf1fd3a

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Zaparkuj swój umysł

Jednym z darów Warszawy, z którego korzystamy tak często, jak potrafimy, są Łazienki Królewskie. To tam podczas długich spacerów powstawały zarysy argumentów, które ułożyły się na naszą książkę poświęconą *problemowi* sztucznej inteligencji – „AI Eksploracja" (wyd. Zona Zero).

Jako socjologowie czasem zastanawiamy się nad cywilizacyjną tajemnicą parków. Parki nie są ludziom – a przynajmniej wydaje się, że nie są – niezbędne do istnienia. A jednak istnieją i są pielęgnowane, niekiedy sporym nakładem środków.

Parki mają w sobie coś paradoksalnego. Są sztuczne – zaplanowane, zaprojektowane, pielęgnowane – ale jednocześnie udają dzikość. Ścieżki są wytyczone, drzewa posadzone, a jednak wszystko wygląda tak, jakby to natura wzięła górę. Zupełnie jak z teatralną scenografią, która udaje rzeczywistość – często z powodzeniem. I chyba właśnie w tej sztuczności kryje się urok.

Jakim ludzkim tęsknotom wychodzą naprzeciw parki? Potrzebie przebywania od czasu do czasu w jakimś odmiennym od codziennych zadań świecie? Parki to przecież enklawy – tam panują inne zasady niż w tej rzeczywistości, która rozciąga się tuż obok.

Dbałość o parki to przejaw pewnej dojrzałości cywilizacyjnej. Sądzimy, że ludzka zbiorowość, która przestanie dbać o swoje parki, utraci coś ważnego ze swego potencjału wspólnotowości.

Ostatnio do Łazienek chodziliśmy często – i wcześnie, w porze wschodu słońca, i później – by trochę przedłużyć sobie lato. W Polsce prawie zawsze jest ono zatrważająco krótkie. Na szczęście Łazienki są całoroczne. Czasem idąc przez ten przecież duży park (tu przyznamy, że czasem byśmy chcieli, aby był jeszcze większy), wypatrujemy jakiejś nowej alejki, którą jeszcze nie szliśmy. Czyżbyśmy w ten sposób chcieli swoim umysłom dać szanse dostrzeżenia czegoś nowego, co nas zaskoczy?

W świecie, który ciągle nam mówi, że musimy być produktywni, park przypomina, że czasem trzeba po prostu być

Łazienki, które powstały w XVIII w. jako prywatny ogród królewski, dziś są dostępne dla każdego. To ciekawe, jak przestrzenie kiedyś przeznaczone dla elity stały się terenem wspólnotowym. Czy to nie jest metafora naszego społeczeństwa? W parku nie ma podziałów na bogatych i biednych, na młodych i starszych. Jest wspólna potrzeba spokoju, a także miejsce, gdzie każdy może znaleźć swój kącik. Współcześnie, gdy miasta rosną, a przestrzeń staje się coraz bardziej komercjalizowana, parki są jak wyspy niezależności – tam nie musimy niczego kupować, by poczuć się dobrze.

Wychodząc z Łazienek, często czujemy, że nasz umysł jest odnowiony. Jakby park był miejscem, w którym możemy zostawić swoje obciążenia, by wrócić do miasta z lekkim sercem. I choć wiosna, lato, jesień i zima zmieniają krajobraz, sama idea parku pozostaje niezmienna – to przestrzeń, która przypomina nam, że bycie człowiekiem to nie tylko funkcjonowanie w systemie, lecz także umiejętność czerpania radości z rzeczy prostych, ponadczasowych.

I może to jest ta największa tajemnica parków: w sensie technicznym nie są one dla nas niezbędne, ale bez nich nie bylibyśmy sobą. W świecie, który ciągle nam mówi, że musimy być produktywni, park przypomina, że czasem trzeba po prostu być. Być w cieniu drzewa, w słońcu zachodzącym nad stawem, w cichej chwili, kiedy nie musimy niczego udowadniać.

Właśnie dlatego, gdy zastanawiamy się nad przyszłością naszych miast, nie powinniśmy mówić, że mamy „możliwość" budowy parków, ale że jest to „obowiązek". Bo jeśli utracimy tę zieleń, stracimy nie tylko szczególną przestrzeń, lecz także zdolność do łagodnych marzeń.

W kolejnym tygodniu, siedząc w parku na ławce, pomyśl tak: „Nie ty odpoczywasz. To drzewa wykorzystują ciebie, by przypomnieć sobie, że są obserwowane – w końcu bez ludzi park byłby tylko lasem".

Nie tylko w parku możecie spróbować „zaparkować" swój umysł. Pozwólcie sobie na refleksję, by dostrzec to, co zwykle umyka. Bo parki to nie tylko miejsca do spacerów – to przestrzenie, w których odkrywamy, że czasem najlepszą puentą jest cisza. A może właśnie dlatego parki są tak ważne – bo uczą nas, że nie wszystko musi mieć puentę?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl 405bf1fd3a

Czytaj nas w najlepszej cenie!

Teraz **tylko 7,35 zł** za jedno wydanie (w prenumeracie rocznej), podczas gdy cena w kiosku to **12,90 zł**.

Jak zamówić papierową prenumeratę tygodnika SIECI ?

1

Wybierz swoją prenumeratę

	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
cena prenumeraty	118 zł	207 zł	**375 zł** NAJLEPSZY WYBÓR
cena w kiosku	~~167,70 zł~~	~~322,50 zł~~	~~657,90 zł~~

Informacje o prenumeracie: tel. 22 616 36 00 (poniedziałek-piątek w godz. 14-16)

2

Zamów i opłać

- Zamów prenumeratę przez stronę **www.sieciprawdy.pl/prenumerata** i opłać przelewem ze swojego konta
- **Jeśli nie korzystasz z internetu**, opłać prenumeratę na poczcie, podając dane do wpłaty w okienku

Wytnij karteczkę-niezbędnik na pocztę

Dane do opłacenia prenumeraty Sieci na poczcie:

Nazwa odbiorcy: Fratria sp. z o.o.

Nr konta: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290

Tytuł wpłaty: .....

.....

(tu wpisz adres dostawy prenumeraty – to warunek otrzymania prenumeraty)

Kwota: .....

(tu wpisz cenę wybranej prenumeraty, np. 375 zł)

eprasa.pl-405bf1fd3a

wPolsce24

W świecie pełnym kłamstwa – mówimy prawdę.
W świecie manipulacji – wybieramy uczciwość.
W świecie propagandy – stoimy po stronie dziennikarskiej wolności.
Wspierając TV wPolsce24 – bronicie Polski.

WESPRZYJ patriotyczne media

numer konta:
69 1020 4900 0000 8202 3036 2577
tytuł wpłaty: **DAROWIZNA**

Twoje dane osobowe będą
przetwarzane zgodnie
z polityką RODO

eprasa.pl 405bf1fd3a